tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 7 (1362)
9-15.02.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. JERZY BRALCZYK W GRONIE FELIETONISTÓW „PRZEGLĄDU"

WOJCIECH KUCZOK
SZANSE POLAKÓW NA IGRZYSKACH

SAMOCHODY ELEKTRYCZNE
NIE NA MRÓZ

RELACJE POLSKA – RFN
WSPOMNIENIA
MARIANA ORZECHOWSKIEGO

NAJDROŻSZE OBRAZY
2025 ROKU



JAKA POLSKA?
SUWERENNA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl/e1e01459e

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY



Zakochaj się w Teatrze!

Świętuj Walentynki razem z nami!

13-15 lutego

Gramy w całej Polsce

Gdańsk • Gdynia • Kozienice • Kraków
Lublin • Olsztyn • Otwock • Piotrków Trybunalski
Poznań • Sierpc • Warszawa • Wrocław

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 4e1e01459e



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Polscy trumpiści w odwrocie

Amerykanie przyzwyczajeni do czołobitności i hołdów, jakie im składali polscy politycy, przegapili zmiany w postawach Polaków. Nie zauważyli, że za plecami pochlebców są też ludzie o innych poglądach. I że znacząca część społeczeństwa serio traktuje deklaracje o suwerenności naszego państwa. Wielu wyborców Nawrockiego myślało, że jego okrzyki: „Po pierwsze, Polska, po pierwsze, Polacy!" są na serio. Nie na pokaz. I nie po to, by cynicznie wykorzystać patriotyczne nastroje.

Stało się wręcz odwrotnie. Ludzie czują się oszukani. Rozczarowanie nie dotyczy tylko Nawrockiego. Stoją przecież za nim PiS i Konfederacja Bosaka i Mentzena. Polskie partie trumpistów tak gorliwie poparły wybór Trumpa i są tak bezkrytyczne nawet wobec jego najgłupszych decyzji, że zaczynają ponosić konsekwencje tej polityki. A to dopiero początek ich problemów. Kula śniegowa, pchnięta przez Trumpa i jego polskich wyznawców, dopiero się rozpędza. Nie ma dobrej przyszłości przed partiami trumpistów nad Wisłą. Myśleli po staremu, że przylepienie się do Amerykanów jest świetną inwestycją. Że na dobrych relacjach z USA, czyli na błyskawicznym spełnianiu zachcianek patrona, można robić karierę. Bo tak przez dziesięciolecia było. Kolejne pokolenia polityków wchodziły w ten mechanizm bez głębszej refleksji. Stracili więc niezbędną w polityce czujność. Wybór Trumpa potraktowali rutynowo. Jak wszystkie poprzednie wybory amerykańskich prezydentów. I ta rutyna ich teraz gubi. Polityk, na którego tak gorliwie postawili, jest kimś spoza kategorii. Chodzącym i mówiącym dziwolągiem. Trump dla polskich polityków jest jak pocałunek śmierci. A że w internecie nic nie ginie, to jeszcze wiele razy obejrzą obrazki, gdy w czerwonych czapeczkach cieszyli się w Sejmie z wyboru Trumpa. Przed wyborami ten obrazek będzie dowodem ich głupoty i zaprzaństwa. A Trump zadba o to, by jego ocena była o wiele gorsza niż dziś. Niemożliwe? Chyba nikt się nie założy.

W polityce często jest tak, że spory między oponentami służą obu stronom. Ale nie teraz. Wojnę, którą prezydent Nawrocki wydał marszałkowi Czarzastemu, już przegrał. Reakcja opinii publicznej jest dla niego w przeważającej mierze negatywna. Czarzasty, punktując Nawrockiego za brak reakcji na obrażanie przez Trumpa polskich żołnierzy i politykę na kolanach i w interesie, ma poparcie większości Polaków. Marszałek trafnie odpowiedział na ich oczekiwania. Nadszedł czas, by ktoś z pierwszej ligi twardo przypomniał Amerykanom, że jesteśmy państwem suwerennym, a Polacy to dumny naród. Wielu mogło to powiedzieć, ale z różnych powodów tego nie zrobili. Zabrakło refleksu. I odwagi.

Mam też bardzo dobrą wiadomość. Do grona naszych autorów dołączył prof. Jerzy Bralczyk z cyklem „Zrządzenia i zrzędzenia". **Pierwszy felieton przeczytacie na s. 7.**

BĄKOWSKI



eprasa.pl 4e1e01459e

W NUMERZE

KRAJ

8 **Jaka Polska? Suwerenna**
Klakierzy Trumpa kontra Czarzasty

12 **Zima zła?**
Pierwsza taka od 15 lat

16 **Elektryczny szrot**
Test mrozu niezdany

20 **Faryzeusze prawa i sprawiedliwości**
„Rzeźnicy Ziobry" nie chcą ustąpić

42 **Po ludzku trzeba żyć**
– rozmowa z Markiem Chmielewskim

ZAGRANICA

24 **Bułgaria: przyjście niezbawiciela**
Korespondencja z Bułgarii

28 **Droga na subkontynent**
Umowa handlowa UE-Indie

32 **Mycie mózgów młodym Australijczykom**
Nastolatki odcięte od TikToka

HISTORIA

36 **Przesiedleńcy czy wypędzeni?**
Relacja z rozmów Orzechowski-Genscher

SPORT

40 **Zostaliśmy na lodzie**
Medalowe szanse na igrzyskach zimowych

KULTURA

46 **Aktorski kameleon**
– rozmowa z Małgorzatą Gorol

48 **Zęby, zabójczy kartridż i samotność**
„Niewyczerpany żart" na deskach Narodowego

50 **Miliony na płótnie**
Najdroższe obrazy roku 2025

52 **Qulturalia**

66 **Oblicza wody w kulturach Azji i Oceanii**
Wystawa w Muzeum Azji i Pacyfiku

OBSERWACJE

54 **Ostatni szczyt Wandy Rutkiewicz**
Jak Polki zdobywały Himalaje

ZWIERZĘTA

58 **W krainie baribali**
Nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Polscy trumpiści w odwrocie

7 **Jerzy Bralczyk**
Z perspektywy wieku

19 **Jan Widacki**
Lekarz bez granic

23 **Stanisław Filipowicz**
Czas Apokalipsy

27 **Roman Kurkiewicz**
Od hegemonii do patostreamingu

31 **Andrzej Szahaj**
Małe ojczyzny, wielkie miłości

45 **Tomasz Jastrun**
Autostrady do raju

53 **Wojciech Kuczok**
Przez szczeliny



DROGA NA SUBKONTYNENT
Umowa handlowa UE-Indie

28
ZAGRANICA



46
KULTURA

AKTORSKI KAMELEON
– rozmowa z Małgorzatą Gorol



58
ZWIERZĘTA

W KRAINIE BARIBALI
Nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 4e1e01459e

O obcych w Polsce

Do różnych odmian konfederatów i pisowców, przeciwników imigrantów: nie chcecie obcych rozumiem, że jedni z was chcą ich zastąpić w pracach na budowie, drudzy w Biedronce. Marzą też o pracy na zmywaku w restauracji, a co ambitniejsi chcieliby być kelnerami. Chętnie też będą dowozić pizzę, która stała się narodowym polskim daniem. Praca w rolnictwie także jest marzeniem wielu tych „intelektualistów". Spróbujcie rywalizować z imigrantami o te stanowiska pracy. Lepiej mówicie po polsku, więc wygracie.

To, że tacy idioci istnieją, nie dziwi w dużym kraju. Ale to, że mają rosnące poparcie społeczne, źle świadczy o kondycji intelektualnej narodu. Ja chcę obcych w Polsce. Chcę, aby pracowali i byli dobrze traktowani. Od tego zależy pomyślność gospodarcza naszego wymierającego narodu.

Jak wiele razy w przeszłości znów dajemy się uwieść emocjom wokół nieracjonalnych i głupich pomysłów. A mniej liczni, którzy z tym się nie zgadzają, raczej milczą, nie chcąc dyskutować z takim posłem Kowalskim. To zła postawa, bo Kowalski może urządzić nam życie. Nie można do tego dopuścić. Ludzie nie chcą wdawać się w pyskówki, polemizować z szerzonym kłamstwem. Ale trzeba to robić. Pokazać, że istniejemy. W Polsce następuje zamach stanu rozłożony na lata, który wkrótce może się domknąć. Czy chcemy żyć w Polsce przypominającej lata 30. XX w.? Jesteśmy blisko tego.

Wiesław Żółtkowski

Niech WOŚP gra i pomaga

Pojawiło się znowu w przestrzeni publicznej wiele informacji o Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy, niestety jak zwykle fałszywych, niesprawdzonych. Ich autorami są osoby, od których powinno się oczekiwać rzetelności, a nie prymitywnych kłamstw, np. o przekazywaniu sprzętu szpitalom w leasing, co obwieściła jedna europosłanka.

Oto konkrety:

1. Podaje się, że kwoty zbierane przez Orkiestrę są ułamkiem budżetu NFZ. Proponuję tym osobom sprawdzić, jak to się ma do kwot przekazywanych przez NFZ na wyposażenie placówek służby zdrowia, a nie do budżetu, z którego opłaca się wynagrodzenia, utrzymanie budynków NFZ itp. Analizując tę sytuację, łatwo ustalić, że WOŚP zbiera regularnie ok. 25% wydatków NFZ. To mało?

2. W zbiórkach Orkiestry bierze udział ponad 100 tys. wolontariuszy, a nie osób opłacanych z naszych składek. Myślę, że należałoby okazać im szacunek za ciężką pracę, a nie pisać, że formuła WOŚP się wyczerpała.

3. Bezsprzecznie nawet jedno życie uratowane dzięki WOŚP uzasadnia jej funkcjonowanie.

Zbigniew Czarnecki

Z samych prawaków zguba Polaków



U Staszica „panowie" nie byli po prostu zepsutymi elitami moralnymi. Byli konkretną klasą społeczną, zakorzenioną w feudalnym sposobie produkcji, która żyła z renty, blokowała rozwój sił wytwórczych, sabotowała państwo, bo państwo było dla niej wtórne wobec prywatnych interesów stanowych. Zguba Polski wynikała ze stosunków produkcji, a nie z tego, że „panowie byli głupi lub źli". Nie bądźmy infantylni.

Wyjątkowo zabawna jest już zamiana „panów" na „prawaków", która przesuwa ciężar z analizy klasowej na analizę ideologiczną. Przecież „prawacy" nie są klasą, są formacją ideologiczną, która może reprezentować różne interesy klasowe (kapitału narodowego, drobnomieszczaństwa, lumpenproletariatu, aparatu państwa). Nie z prawaków zguba Polski, parafrazując mistrza Staszica, lecz z kapitału bez kontroli społecznej, z państwa bez klasy pracującej jako podmiotu i z narodu używanego jako zasłona dymna dla wyzysku.

Marcin Konarski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Czterokrotna olimpijka, łyżwiarka szybka Natalia Czerwonka. To ona poniosła polską flagę na stadionie San Siro w Mediolanie podczas ceremonii otwarcia zimowych igrzysk.

FOT. FOTOSTAND/WASSMUTH/IMAGO SPORT/FORUM

eprasa.pl 4e1e01459e

W ubiegłym roku liczba ludności Polski spadła o 157 tys. osób. W nowy rok weszliśmy jako kraj mający **37 mln 332 tys.** mieszkańców **(GUS).**

•

Z europejskiego programu SAFE, którego celem jest zmniejszenie uzależnienia od uzbrojenia z USA i wzmocnienie przemysłów obronnych krajów Unii Europejskiej, Polska otrzymała **43,7 mld euro.** Za tę kwotę ma być zrealizowanych 139 projektów, w 80% przez polskie firmy.

•

Za 15 mld zł zostanie zbudowany w Polsce **nowy system antydronowy San,** który ma wykrywać i neutralizować nisko lecące obiekty.

•

Sąd zdecydował o tymczasowym areszcie na trzy miesiące dla Zbigniewa Ziobry. Postanowienie nie jest prawomocne.

•

Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł, że **sędzi Beacie Morawiec** uchylono immunitet z naruszeniem Europejskiej konwencji praw człowieka. Sędzia Morawiec była prezeską Stowarzyszenia Sędziów „Themis", występującego w obronie niezależności sądów.

•

Firmy pożyczkowe nie zostały objęte podwyżkami CIT na podobnych zasadach jak banki i SKOK-i. Dlaczego rynek, którego wartość oblicza się na kilkadziesiąt miliardów złotych rocznie, płaci znacząco mniejszy CIT? Zyski tych firm płyną do Wielkiej Brytanii, Francji i państw bałtyckich.

•

Rosną zaległości finansowe emerytów. Prawie **350 tys. seniorów jest zadłużonych na ok. 12 mld zł.** Największa grupa to mieszkańcy Śląska, a najbardziej zadłużeni są emeryci z Mazowsza.

•

Prawie hektar Ogrodu Saskiego został ogołocony z drzew, by przygotować budowę Pałacu Saskiego. Architektoniczne badziewie zostało całkowicie zniszczone przez Niemców i mówienie o odbudowie jest oczywistym kłamstwem. A na pobliskiej Pradze ludzie ciągle chodzą do wychodków na dworze. Wstyd.

•

Są kolejne dymisje w Służbie Ochrony Państwa po audycie, który ujawnił panujący tam bałagan. Po odwołaniu szefa tej formacji gen. Radosława Jaworskiego, którego czeka postępowanie dyscyplinarne, zdymisjonowano czterech dyrektorów kluczowych pionów.

•

Aż 61% pracowników w Polsce było świadkami romansu w ich miejscu pracy, a 26% przyznaje, że sami nawiązali intymną relację ze współpracownikiem **(badania LiveCareer.pl).**

•

Polski Związek Łowiecki alarmuje, że **coraz więcej dzików żyje w miastach.** W Warszawie ok. 3 tys., a w Łodzi ok. 2 tys.

•

Liczba sklepów internetowych w Polsce zbliża się do **75 tys.**

•

W najnowszym odwiercie geotermalnym w Szaflarach temperatura wody sięga 120 st. C, a wydajność złoża może wynosić ok. 400 m sześc./godz.

PRZEBŁYSKI



Wicewojewoda Sitnik (do wymiany)

Jeśli jesteś w koalicji rządzącej, to masz na głowie odpowiedzialność i obowiązki. I dla osłody rozmaite frukta oraz kawałek tortu. Czasem zbyt duży. Jak w przypadku Polski 2050. Jest tam wielu sensownych ludzi, ale trafiają się i takie niewypały jak Jacek Wiśnicki, były wiceprezydent Warszawy, czy Robert Sitnik, wicewojewoda mazowiecki. Posadę wicewojewody zawdzięcza partii, w której jest (jeszcze?) sekretarzem generalnym. Z zawodu przedsiębiorca w branży chłodniczej, ogólnopolską niesławę zyskał wizytą w koszmarnym dla psów schronisku w Sobolewie. Pojechał. Zrobił sobie fotki, jak głaszcze psy. Sitnik musi mieć coś ze wzrokiem, bo niczego złego tam nie zauważył. Tłumaczył się z tego też głupio. Zwala na jakieś organy, które mu nie przekazały, że w Sobolewie jest taki syf.



10 postulatów Jacka Karnowskiego

Im bardziej dramatyczny jest spadek urodzeń, tym więcej pomysłów, co z tym zrobić. Najbardziej oryginalny przedstawił Jacek Karnowski, szef tygodnika „Sieci". W tekście „10 postulatów za życiem". By nic nie uronić z tej krynicy, przedstawiamy jego postulaty w odcinkach:

• Zakaz propagandy antyrodzinnej, która powinna być karana co najmniej tak surowo jak handel narkotykami.

• Przyznanie rodzinom z dziećmi większych praw politycznych, np. dodatkowy głos na każde dziecko.

Cdn.



Święczkowski w środku zamachu stanu

Dla PiS Bogdan Święczkowski gotów był na wszystko. A dla Ziobry był jak saper rzucany na miny. Z tą różnicą, że nie rozbrajał, ale zakładał. Przeciwnikom politycznym i wszystkim, którzy podpadli Ziobrze. Wtedy jeszcze niezłomnemu szeryfowi. A dziś popiskującemu zbiegowi.

Za szeryfa robi teraz w PiS Bogdan Święczkowski. Do posady „prezesa" Trybunału Konstytucyjnego dorabia jako analityk końca demokracji. Ogłosił, że „ustrojowy zamach stanu ciągle trwa". Podobnie jak „zawłaszczanie państwa przez grupę rządzących". Gdyby te słowa nie padły w prawicowym tygodniku, można by się łudzić, że doszło do spóźnionej samokrytyki. Tak przecież przez osiem lat było. I tak ma być, gdy Ziobro wróci i wyśle dzisiejszą władzę na dożywocie.

Kosztowny magazyn

Jeśli światowej sławy artysta Rafał Olbiński mówi o Muzeum Sztuki Nowoczesnej, że „nie ma w nim żadnej oryginalnej myśli, wygląda jak magazyn Leroy Merlin, wystarczy zmienić szyld", to ta gorzka ocena ma swoją wagę.

Jeszcze gorzej wygląda historia budowy tego magazynu. Raport Najwyższej Izby Kontroli pokazał, jak rosły koszty budowy. Najpierw mówiono o 270 mln zł, a skończyło się na wydaniu ponad 650 mln zł. Ogromna różnica, ale czy ktoś odpowie za szastanie publiczną kasą? Ten ktoś to Urząd Miasta Warszawy. Ekipa prezydenta Trzaskowskiego tak nadzorowała budowę, że w wieloletnim chaosie wykonawcy robili, co chcieli. A efekty widać. Jakby mało było nieszczęść, dochodzi jeszcze styl zarządzania placówką. Dyrektor Joanna Mytkowska zamieniła muzeum w swoją grupę towarzyską.

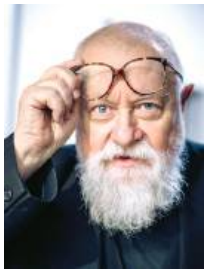


FOT. YOUTUBE, MATERIAŁY PRASOWE (2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4e1e01459e



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl



Jerzy Bralczyk

Z perspektywy wieku

Zrządzenia i zrzędzenia

We wczesnej młodości z upodobaniem, a nawet radością czytałem w „Kulturze" felietony Hamiltona, wiekowego starca, który patrzył na sprawy z perspektywy wieku i ciekawych przeżyć sprzed pierwszej światowej. Nawet w jego stylu dopatrywałem się czegoś niemal archaicznego, a przez to bardzo dla mnie atrakcyjnego. Miał dystans starszego pana, ale nie zrzędził (to był zresztą pseudonim pewnego młodego krytyka).

Jestem oto w wieku felietonowego Hamiltona, ale, jakkolwiek wykorzystuję swoje lata do nieco czasem kokieteryjnych autoironicznych prowokacji, wciąż taka perspektywa, na pewno ułatwiająca emocjonalną zgodę na rzeczywistość, wydaje mi się trudna. I, prawdę mówiąc, choćbym udawał dystans, zdenerwowania nie tylko nie potrafię poskromić, ale i ukrywać.

Jednym z powodów do zdenerwowania jest zresztą dla mnie stosunek mediów (chciałoby się napisać: bliźnich, ale skąd mam wiedzieć, jaki jest stosunek bliźnich z mediów!) do nas, starych. Te wszystkie „trzecie wieki", ci „seniorzy", te zapewnienia, że wiek to tylko liczba (nie mam pojęcia, co to ma znaczyć i dlaczego ma nas pocieszać), są, proszę wybaczyć, nietaktowne i brzmią jak zapewnienia na temat nieoczywistości oczywistego. Rosiewicz w piosence do „Czterdziestolatka" śpiewał: „Nie wbijaj w głowę, żeś przeżył połowę, ale że dopiero pół" – nie wiem, dlaczego pół to ma być mniej niż połowa. Że krócej brzmi?

Lata to lata (o, takie zdania lubię, są na pewno prawdziwe). Czasu więcej nie zdobędziemy, mija, i nasza relacja z nim przypomina zamienne relacje myśliwego i zwierzyny: albo czas nas goni, my uciekamy, a jak nas dogoni, zabija; albo czas ucieka, my go gonimy, jak dogonimy, zabijamy.

Ale ponieważ czasu zdobyć się nie da, próbujemy zrekompensować to zdobywaniem przestrzeni. Kupujemy morgi i metry, podróżujemy naprawdę (co to znaczy?) i w internecie, na różne sposoby się rozprzestrzeniając. I dlatego dziękuję za udostępnienie mi na stare lata kawałka przestrzeni na zrzędzenia w moim ulubionym tygodniku.

I, proszę, jeśli już Państwo o mnie pomyślą, to jako o zrzędzącym na zrządzenia losu staruszku, nie jako o seniorze w trzecim wieku. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4e1e01459e

Jaka Polska? Suwerenna

Nawrocki i PiS stali się ekspozyturą interesów amerykańskich w Polsce

Robert Walenciak

Mamy kolejny etap wojny na górze. Tym razem do walki z rządem, którą prowadzi Karol Nawrocki, przyłączył się ambasador USA w Polsce Thomas Rose. Z całym impetem. Stawka jest kluczowa. Najkrócej ujmując: jaka Polska?

Teoretycznie jest to wojna pierwszej i drugiej osoby w Polsce, czyli prezydenta z marszałkiem Sejmu. Ale też, miejmy świadomość, zaangażowali się w nią ci, których wpływ na polską politykę jest jeszcze większy – premier Donald Tusk i zgłaszający namiestnikowskie aspiracje ambasador USA Thomas Rose.

Czyja Polska? O to też w tej wojnie chodzi.

•

A wojna zaczęła się już w czerwcu 2025 r., gdy po wygranych wyborach prezydenckich Karol Nawrocki zadeklarował, że jego głównym celem jest szkodzenie rządowi i obalenie Donalda Tuska, jak mówił – najgorszego premiera w historii III RP. Nawrocki postawił się jako ten, kto realizuje wolę narodu i ma zamiar pełnić funkcję nadpremiera. Gonić rząd do roboty, recenzować i obalić.

To nie były czcze zapowiedzi. W następnych miesiącach mieliśmy serię wet do ustaw uchwalonych przez parlament. Ich liczba przekroczyła już 20.

Karol Nawrocki zaczął również wchodzić w kompetencje rządu. Zwołał Radę Gabinetową, ciało określone w konstytucji jako forum dyskusji i wymiany informacji o najważniejszych sprawach kraju. On zaś próbował ją przekształcić w rodzaj nadrządu, chciał przepytywać ministrów i ich strofować, ale został sprowadzony na ziemię. Rada Gabinetowa skończyła się jego porażką.

Prezydent ruszył też w kierunku MSZ, MON i MSWiA. Kontynuował więc blokadę nominacji ambasadorskich, żądając, by minister Radosław Sikorski uzgadniał z nim każdego ambasadora. Przepychanka trwa, a sprawa wciąż jest nierozwiązana.

Nawrocki wezwał także do Pałacu Prezydenckiego szefów służb specjalnych. W jakim celu? Na podstawie jakich przepisów? To wezwanie okazało się nieskuteczne, premier zabronił im samodzielnych kontaktów z Nawrockim. Żeby więc szefów służb ukarać i pokazać, jaką władzę ma prezydent, Nawrocki odmówił podpisania nominacji na pierwszy stopień oficerski absolwentom szkół wywiadu i kontrwywiadu. Sprawa częściowo rozwiązała się po paru miesiącach, kiedy to szefowie służb przyszli do Pałacu Prezydenckiego razem ze swoimi ministrami. I to ministrowie odpowiadali na prezydenckie pytania.

Już w czerwcu 2025 r. Karol Nawrocki zadeklarował, że jego głównym celem jest szkodzenie rządowi i obalenie Donalda Tuska.

Po paru miesiącach okazało się, że bilans działań Nawrockiego jest ujemny. Nie rozbił rządu, wręcz przeciwnie – zjednoczył go i zmobilizował. A sam zaczął w sondażach tracić – Polaków raziły ślepe ataki na rząd i niektóre weta, chociażby do ustawy łańcuchowej. Okazało się również, że nadzieje prawicy związane z Nawrockim, że oto zarzuci Sejm swoimi ustawami i przejmie inicjatywę, są iluzoryczne. Nic takiego się nie stało, prezydent nie podporządkował sobie Sejmu. Dodatkowo musiał przełknąć gorzką pigułkę, bo nowy marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty ostentacyjnie włożył projekty ustaw, które przyszły od prezydenta, do sejmowej zamrażarki. „Prezydent ma swój długopis, ja mam swój", rzekł, nawiązując do prezydenckich wet.

Nawrocki jeszcze raz próbował odzyskać inicjatywę, zapraszając do pałacu przedstawicieli klubów parlamentarnych. Znów chciał się postawić w roli nadzorcy. I znów mu się nie udało. Jako pierwsza odmówiła mu lewica. Przewodnicząca klubu Nowej Lewicy oświadczyła, że nie jest zainteresowana wizytą u Nawrockiego. Narzuciła w ten sposób ton. Po kilku dniach do tej inicjatywy dołączyła Koalicja Obywatelska. Z kolei ci przedstawiciele klubów, którzy do prezydenta poszli, nie ukrywali rozczarowania, że rozmowa była o niczym. Miał być *game changer*, a wyszedł kapiszon.

•

Prawica w ostatnich miesiącach musiała przełknąć jeszcze inne wielkie rozczarowanie. Donald Trump! Gdy wygrywał wybory w listopadzie 2024 r., posłowie PiS założyli czerwone czapeczki z napisem MAGA i wołali w Sejmie: „Donald Trump! Donald Trump!". PiS chwaliło się, że ma znakomite kontakty ze sztabem Trumpa i że już dostarczyło nowemu prezydentowi USA wykaz nieprzychylnych wypowiedzi Donalda Tuska.

Potem wmawiano nam, że znakomite kontakty z amerykańskim prezydentem ma Karol Nawrocki.

eprasa.pl 4e1e01459e



Amerykański ambasador Thomas Rose przyłączył się do walki z rządem, którą prowadzi prezydent Karol Nawrocki. Warszawa, 6 listopada 2025 r.

Zbudowano nawet teorię, że Trump nie chce rozmawiać z Tuskiem, za to chętnie rozmawia z Nawrockim, więc to Nawrocki powinien sprawy Polski z nim załatwiać. Trump tej teorii przyklasnął, na wszystkie wideokonferencje zapraszając jako przedstawiciela Polski nie premiera RP, lecz prezydenta.

PiS i Konfederacja budowały więc obraz Polski, która powinna się opierać na Ameryce i sympatii Donalda Trumpa. I oczywiście zawsze Trumpa popierać, „bo tylko Ameryka może nas obronić". A ona ufa w Polsce jedynie prawicy.

Ta legitymacja, która miała dowodzić, że prawicy władza się należy, upadła. Trump swoimi decyzjami rozbił jedność Zachodu, obrażał nasze poczucie sprawiedliwości oraz przyzwoitości. Żądanie oddania Grenlandii, przymilanie się do Władimira Putina, ataki na Europę, obrażanie żołnierzy, którzy walczyli u boku Amerykanów, narcyzm i nieprzewidywalność – to wszystko zrujnowało obraz amerykańskiego prezydenta, jaki wytworzyli sobie Polacy.

Dowodzą tego badania CBOS. Na pytanie: „Jak ocenia pan(i) dotychczasową działalność prezydenta USA?", aż 60% ankietowanych odpowiedziało, że źle lub bardzo źle. A broniło go ledwie 28%. 60% przyznało, że prezydentura Trumpa budzi ich obawy. W innym pytaniu aż 41% uznało, że ta prezydentura przyczynia się do spadku bezpieczeństwa Polski. Ledwie 24% miało przeciwne zdanie. Zaufanie do Ameryki, a zwłaszcza do Trumpa, runęło na naszych oczach.

Dla Nawrockiego i PiS to nie było ważne. Oni grali i wciąż grają zgodnie ze swoją agendą – stawiają wszystko na USA. Nawrocki i jego kancelaria są wręcz ekspozyturą amerykańskich interesów w Polsce. Gdy Sejm przegłosował ustawę mającą chronić Polaków przed amerykańskimi big techami, by zapewnić stosowanie w Polsce przepisów unijnego Aktu o usługach cyfrowych (DSA), Karol Nawrocki ją zawetował. Gratulacje składali mu ambasador USA w Polsce Thomas Rose i Elon Musk. A gdy Unia Europejska przyjęła program SAFE, na mocy którego Polska na zakup uzbrojenia uzyska 43 mld euro, nagle kancelaria Nawrockiego stała się jego największym krytykiem. Dlaczego? Bo zdaniem szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ministra Sławomira Cenckiewicza, nie będzie można za te pieniądze kupować uzbrojenia w USA. W ten sposób Kancelaria Prezydenta wcieliła się w lobbystów amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. I dalej gra tę rolę, o czym za chwilę.

Gdy Donald Trump wysunął w Davos absurdalną ideę powołania Rady Pokoju, międzynarodowego ciała przypominającego ONZ, ale tak skonstruowanego, że to on decydowałby, kto w niej zasiada i które głosowania uznaje się za wiążące, a które nie, pół świata zastygło w konsternacji. Ale nie Jarosław Kaczyński. Ten szybko oświadczył, że do rady powinniśmy wejść – ba, jeszcze zapłacić miliard dolarów, by zasiadać w niej na stałe.

Z kolei gdy Trump powiedział w telewizji Fox, że na misji w Afganistanie walczyli tylko żołnierze amerykańscy, a wojska sojuszników „trzymały się trochę z tyłu", czyli się dekowały, liderzy państw uczestniczących w misji zażądali przeprosin. Nawrocki nie. Tłumaczył, że prezydent USA nie miał na myśli Polaków.

Tak oto Nawrocki i PiS stali się najgorszą, służalczą ekspozyturą interesów amerykańskich w Polsce.

•

Ta miłość to pewnie koktajl wiary, że Ameryka stanie za nami murem, ale i kalkulacji, że ekipa Trumpa, bardzo ideologiczna, preferuje partie prawicowe i zwalczające Unię Europejską. Chętnie więc powierzy im władzę. Czy to wiara słuszna?

Politykę USA w Warszawie prowadzi ambasador Rose, dyplomata amator, były dziennikarz i PR-owiec. Od pierwszych dni swojego pobytu epatuje pompatycznymi komunikatami, deklarującymi wielką sympatię prezydenta Trumpa do Polaków i niezłomny sojusz. Kto pamięta czasy Układu Warszawskiego i przyjaźni polsko-radzieckiej, ten przypomni sobie tę poetykę. „Wszyscy cenimy wspaniałych polskich przywódców, Karola Nawrockiego i Donalda Tuska", pisze Rose w serwisie X. A jak jest w rzeczywistości?

W ostatnich dniach przez polskie media przewinęły się intrygujące informacje. Pierwsza, że ambasador spotkał się z Jarosławem Kaczyńskim. I miał mu powiedzieć,

eprasa.pl 4e1e01459e

że Ameryka nie godzi się na powyborczy sojusz PiS z Konfederacją Grzegorza Brauna. Wycofa wtedy swoje poparcie. Coś musiało być na rzeczy, bo Kaczyński nagle zaczął mówić, że nigdy nie zawrze koalicji rządowej z Braunem.

Ciekawsza była druga informacja. Oto bowiem PiS miało namawiać Władysława Kosiniaka-Kamysza na wspólną koalicję, oferując mu fotel premiera. W trakcie tych namów politycy PiS mieli twierdzić, że uzyskali dla takiego scenariusza poparcie ambasadora Thomasa Rose'a.

Mogliśmy zobaczyć, że ambasador USA zachowuje się jak namiestnik. Mówi polskim liderom, z kim mogą zawrzeć koalicję, a z kim nie, układa te koalicje i wpływa na prezydenckie weta. A to dopiero początek.

•

Gdy Rose budował nową koalicję rządową, do marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego wpłynął list od przewodniczącego Izby Reprezentantów i przewodniczącego Knesetu w sprawie wspólnego światowego apelu o przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Donaldowi Trumpowi. Na ten apel Czarzasty odpowiedział w poniedziałek, 2 lutego, prostymi słowami: „Nie musimy wybierać: USA czy Europa. Tak naprawdę Stany Zjednoczone same wybrały, że ich obecność w Europie będzie się zmniejszać. Myślenie, że to nie dotyczy Polski i amerykańscy żołnierze nadal będą tu stacjonować, jest ułudne. Amerykanie są naszym sojusznikiem. A NATO jest gwarantem naszego bezpieczeństwa. Rosja to wróg śmiertelny. (...) Budowanie nowych platform, takich jak Rada Pokoju, jest, moim zdaniem, ułudne. Wzmacniać trzeba Unię Europejską, NATO, ONZ, WHO i siebie. W tym tkwi nasze bezpieczeństwo. Moim zdaniem prezydent Trump destabilizuje sytuację w tych organizacjach, reprezentując politykę siły i przy użyciu siły prowadzi politykę transakcyjną". Po czym zakończył: „Nie poprę wniosku o Nobla dla prezydenta Trumpa, bo na niego nie zasługuje".

•

Przejdźmy z Sejmu do Pałacu Prezydenckiego.

Dzień później Karol Nawrocki ogłosił, że na 11 lutego zwołuje Radę Bezpieczeństwa Narodowego. I że będą omawiane trzy tematy. Pierwszy: pożyczka zaciągnięta przez rząd na realizację programu SAFE. Drugi: zaproszenie Polski do Rady Pokoju. I trzeci: „podjęte przez organy państwa działania, mające na celu wyjaśnienie wszelkich okoliczności wschodnich kontaktów towarzysko-biznesowych Marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego".

De facto więc będą dwa tematy: protrumpowskie lobbowanie i atak na Czarzastego. A o co chodzi w tym ataku? Otóż pod koniec stycznia „Gazeta Polska" opisała sprawę rzekomych kontaktów Czarzastego i jego żony Małgorzaty z Rosjanką handlującą dziełami sztuki. Według gazety Swietłana Czestnych ma udziały w spółce hotelowej, której wiceprezesem jest Małgorzata Czarzasty. A jednocześnie pracuje w domu aukcyjnym związanym z jednym z rosyjskich banków. To wszystko według Nawrockiego jest podejrzane. Tylko czy takie sprawy powinny być omawiane na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego?

Pośrednio na to pytanie odpowiadał minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński: „Traktuję to jako tanie politykierstwo. Przecież wszyscy wiemy, że pan marszałek jest osobą objętą osłoną kontrwywiadowczą, wszyscy wiemy, że jeżeli byłyby jakiekolwiek wątpliwości, służby musiałyby reagować. Pan prezydent i jego doradcy to doskonale wiedzą, ale chcą bić polityczną pianę".

Z kolei Czarzasty na ten atak odpowiedział kontratakiem. I zgłosił propozycję rozszerzenia porządku obrad o jeszcze jeden punkt: „Wyjaśnienie charakteru kontaktów prezydenta Karola Nawrockiego ze środowiskami pseudokibiców oraz osobami powiązanymi z przestępczością zorganizowaną, wyjaśnienie przeszłej pracy w charakterze ochroniarza w Hotelu Grand". Czarzasty komentował: „Panie prezydencie, ja jestem czysty, a pan? Porozmawiajmy o tym na Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Chciałem panu powiedzieć, że, po pierwsze, nie dam się zastraszyć. Po drugie, czekam na pana oświadczenie w sprawie pana przeszłości. Po trzecie, nie zmienię linii postępowania wobec pana".

Mamy oto wojnę formalnie pierwszej i formalnie drugiej osoby w Polsce. Chyba musiało do niej dojść, bo ten konflikt jest potrzebny i Nawrockiemu, i Czarzastemu. Nawrocki wciąż szuka politycznego impetu, więc – gdy dyscyplinowanie rządu mu nie wyszło – szuka go jako pogromca komuny i przyjaciel USA. Spór z Czarzastym, wypominanie mu PZPR-owskiej przeszłości, krzyki, że to „stary komuch", są mu na rękę i są mu bliskie. Był prezesem IPN, na antykomunizmie zarabiał, więc co może wymyślić?

Pomóż swoim mediom!

1,5%

Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej prosi o wsparcie i pomoc dla naszych dziennikarzy seniorów. Aby przekazać 1,5% podatku dochodowego w rozliczeniu PIT-36 lub PIT-37 należy wpisać numer KRS Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej:

KRS: 0000043110

SERDECZNIE DZIĘKUJEMY!

eprasa.pl 4e1e01459e



Marszałek Włodzimierz Czarzasty, rabin Szalom Dow Ber Stambler i ambasador Thomas Rose na uroczystości zapalenia menory chanukowej w Sejmie. 15 grudnia 2025 r.

Czarzasty też na tym konflikcie zyskuje. Pokazuje się jako twardy przeciwnik Nawrockiego, który mu nie odpuści. Tak buduje swoją pozycję. Lewica nie jest już nijaka, a on sam zajmuje się innymi sprawami niż kadrówka w swojej partii.

A chwilę potem do sporu włączył się Thomas Rose.

•

Nie wiadomo, dlaczego musieliśmy czekać kilka dni, aż ambasador zareaguje na słowa Czarzastego, że ten nie podpisze apelu o Nagrodę Nobla dla Trumpa. Ale warto było, bo Rose zaatakował marszałka polskiego Sejmu niczym taran. W czwartek, 5 lutego, napisał: „Nie będziemy już utrzymywać kontaktów ani komunikować się z marszałkiem Sejmu Czarzastym, którego oburzające i nieuzasadnione obelgi pod adresem prezydenta Trumpa stały się poważną przeszkodą dla naszych doskonałych relacji z premierem Tuskiem i jego rządem. Nie pozwolimy nikomu szkodzić stosunkom polsko-amerykańskim ani okazywać braku szacunku Donaldowi Trumpowi, który tak wiele uczynił dla Polski i narodu polskiego".

Tak oto ambasador Rose przeszedł do historii dyplomacji. Bo na pewno studenci będą o nim się uczyć jako o tym, który przyjeżdża do kraju urzędowania i ogłasza, z kim będzie utrzymywał stosunki, a z kim nie, jaki polityk na jakie stanowisko zasługuje i kto szkodzi, a kto przeciwnie. Jest zarazem wielkim językoznawcą, bo trzeba wyobraźni, by w opinii, że Trump nie zasłużył na Nobla, dojrzeć „nieuzasadnioną obelgę".

Trochę próbował go mitygować Donald Tusk, pisząc: „Panie Ambasadorze Rose, sojusznicy powinni się szanować, a nie pouczać. Przynajmniej tak w Polsce rozumiemy partnerstwo". Ale te słowa tylko nakręciły Rose'a do kolejnych ataków.

„Szanowny panie premierze, zakładam, że pańska wiadomość została mi wysłana przez pomyłkę, bo z pewnością kierował ją pan do marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, którego nikczemne, lekceważące i obraźliwe komentarze na temat prezydenta Trumpa mogły potencjalnie zaszkodzić pańskiemu rządowi – napisał Rose. – Był pan prawdziwie wzorowym sojusznikiem i wielkim przyjacielem Stanów Zjednoczonych. I wiem, że zgadza się pan, że obrażanie i poniżanie prezydenta Stanów Zjednoczonych – najwspanialszego przyjaciela, jakiego Polska kiedykolwiek miała w Białym Domu – to ostatnia rzecz, jaką powinien zrobić jakikolwiek polski przywódca". Po czym wdał się w polemiki z internautami, pytając ich: „Czy mamy zabrać z Polski żołnierzy i sprzęt?".

Oto więc argument ostateczny. Amerykanie twierdzą, że są gwarancją obrony Polski przed Rosją, toteż w zamian żądają wszystkiego. Prawa do układania nam rządu, do decydowania, który polityk może mieć władzę i jakie ustawy może uchwalać polski parlament. Jeżeli zaś uchwalane regulacje dotyczą interesów amerykańskich firm, to nie mogą tym interesom szkodzić. Podobnie z naszymi stosunkami z UE – muszą być podporządkowane interesom amerykańskim, a w sprawie SAFE – interesom amerykańskiej zbrojeniówki. No i musimy podziwiać prezydenta Trumpa. Aha, i znosić ambasadora, który po tych niegodnych dyplomaty wyczynach powinien już pakować walizki. Taki jest rachunek za „wolność".

•

Znaleźli się polscy politycy, którzy ten rachunek, czyli całkowitą podległość, podpisują. Wiadomo zresztą, na co liczą. PiS i Nawrocki już wołają, że Czarzasty jest przez Amerykanów skreślony. A w ich ustach to brzmi, jakby za chwilę miał go czekać los Madura. Mamy też wielkie poruszenie w internecie. 51% internautów broni prawa Polski do suwerenności, 41% uważa, że w imię bezpieczeństwa powinniśmy ustępować Amerykanom.

Zapowiada się więc szczególna rozgrywka. Zupełnie przerastająca stawką dotychczasowe połajanki. Bo wszedł w nią z gestem ambasadora Nikołaja Repnina, zaufanego Katarzyny II, Thomas Rose. W efekcie i on, i Nawrocki postawili na szali pytanie: jaka Polska?

Bilans działań Nawrockiego jest ujemny. Nie rozbił rządu, przeciwnie – zjednoczył go i zmobilizował. A sam zaczął tracić w sondażach.

Robert Walenciak

r. walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MARCIN BANASZKIEWICZ/FOTONEWS/FORUM, MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

eprasa.pl 4e1e01459e



Zima zła?

To pierwsza taka zima od 15 lat. Czy faktycznie jest aż tak straszna, jak ją malują?

Kornel Wawrzyniak

Szczypie w nosy, szczypie w uszy,
Mroźnym śniegiem w oczy prószy,
Wichrem w polu gna!
Nasza zima zła!

Maria Konopnicka

Obraz srogiej zimy jest dla nas od ponad dekady opowieścią jak z bajki lub z zamierzchłych czasów. Ostatnie zimy w Polsce były rekordowo ciepłe. Czy obecny atak mrozu i gołoledzi rzeczywiście jest tak spektakularny, czy po prostu zapomnieliśmy, jak zima potrafi wyglądać? O zdanie zapytaliśmy ekspertów od klimatu, medycyny i bezpiecznej jazdy.

Ciepłe lody

Bielą się pola, oj bielą,
Zasnęły krzewy i zioła
Pod miękką śniegu pościelą...
Biała pustynia dokoła

Adam Asnyk

Zima potrafi dać w kość, o czym przekonujemy się od kilku tygodni intensywnych mrozów. Skąd jednak to zaskoczenie, skoro większość Polek i Polaków pamięta zarówno mrozy, jak i śnieg leżący nawet do połowy marca? Za obecny stan rzeczy są odpowiedzialne po części zmiany klimatyczne, a po części układy baryczne, które przywiały do nas mroźne powietrze.

– Zima w Polsce, i w ogóle w Europie Środkowej, to taka pora roku, w której zmienność temperatur jest największa. Zdarzają się zarówno bardzo zimne, jak i bardzo ciepłe sezony. Wahania są duże. Trudno też ze znacznym wyprzedzeniem przewidzieć, czy będzie akurat chłodna, czy ciepła zima, bo to w pewnym stopniu losowe. Ten stan rzeczy nie zmienia się mimo wzrostu średniej temperatury, czyli ocieplania się klimatu, będącego skutkiem wzrostu koncentracji gazów cieplarnianych w atmosferze. Obecny mróz jest wynikiem zafalowania prądu strumieniowego, które powoduje, że znad bieguna północnego spływają masy chłodnego powietrza obejmujące swoim zasięgiem Polskę – tłumaczy fizyczka atmosfery dr Aleksandra Kardaś.

eprasa.pl 4e1e01459e

Awaria przy ul. Lechickiej w warszawskich Włochach, jedna z wielu w Polsce. 4 lutego 2026 r.

Oczywiście w mediach nie brakuje doniesień o kolejnych poważnych skutkach zimy. Prawdą jest jednak, że od 2010 r. w okresie zimowym nie wiedzieliśmy podobnych obrazków.

– Globalne ocieplenie to wzrost średniej temperatury globalnej w ciągu wielu dekad i jeżeli popatrzymy na statystyki, nie ma wątpliwości, że ono cały czas postępuje. 11 ostatnich lat było w czołówce rankingu najcieplejszych w historii, a ostatnie trzy lata to już samo podium, z rokiem 2024 na czele. Widać, że mamy coraz więcej ciepła zgromadzonego w oceanie i atmosferze, co potwierdzają pomiary. Chłodniejsze okresy nie przekreślają tego, co się dzieje z globalną średnią. Tak samo jak śmierć jednej młodej osoby w wypadku samochodowym nie przekreśla zjawiska rosnącej średniej wieku w społeczeństwie – dodaje dr Aleksandra Kardaś.

Od 2010 r. w okresie zimowym nie wiedzieliśmy podobnych obrazków.

Tak ostra zima po tylu ciepłych latach zaskoczyła wszystkich. Zdaje się jednak, że największą niespodzianką pozostała dla resortu edukacji. Ministra edukacji apelowała o zachowanie szczególnej ostrożności. Kwestię zamknięcia szkół z powodu mrozów zostawiła natomiast do decyzji dyrektorów: „Dziś z powodu niskich temperatur zamkniętych jest ponad 160 szkół w całej Polsce. Mam prośbę do dyrekcji placówek w miejscowościach, gdzie temperatura spadła poniżej 15 st. C, a uczniowie i nauczyciele muszą dojeżdżać, o rozważenie czasowego zawieszenia zajęć lub przejścia na naukę zdalną na czas tak silnych mrozów”, napisała na Instagramie Barbara Nowacka i dodała: „Drodzy uczniowie, ubierajcie się ciepło! Czapka, szalik i rękawiczki obowiązkowe. Uważajcie wszyscy na siebie!”. Co te biedne dzieci zrobiłyby bez pani minister!

2 lutego, kiedy w nocy odnotowano nawet minus 23-25 st. C, zamkniętych było zaledwie 330 szkół w całej Polsce. Przypomnijmy, że w kraju mamy ok. 25 tys. szkół. Nieśmiała sugestia ministry, w dodatku we wpisie internetowym, to jednak trochę mało przy takich warunkach. Część szkół odwoływała zajęcia nie ze względu na warunki atmosferyczne, ale z powodu awarii pieców lub problemów z dostępem do wody.

Komunikaty o przerwach w dostępie do wody są przy takich uderzeniach mrozów bardzo częste w całym kraju. 4 lutego „Kurier Poranny” opisywał, że kilka awarii dziennie to dla białostockich wodociągowców norma: „Miesiąc styczeń zakończyliśmy z ilością 42 awarii. Obecnie mamy średnio od dwóch do czterech awarii dziennie. (…) Dla porównania – w okresie letnim to około dwóch awarii miesięcznie”, relacjonował prezes Wodociągów Białostockich Przemysław Tuchliński. Zima nie oszczędza też innych miast. W warszawskim Ursusie z powodu awarii bez ogrzewania zostało ponad 500 bloków.

– Wiele osób już się odzwyczaiło od takiej zimy. Te młodsze nie miały nawet okazji podobnej doświadczyć. Nagle wychodzą różne niespodzianki, np. w ostatnich latach jesienna kurtka wystarczała też na zimę, bo nie było niskich temperatur, a teraz można zmarznąć. Niektóre dzieci uważają, że śnieżna zima to taka, podczas której raz spadł śnieg. Starsi tymczasem pamiętają, że kiedyś jak śnieg spadł raz, to potem leżał całkiem długo – komentuje dr Aleksandra Kardaś.

2 lutego, kiedy w nocy odnotowano minus 23-25 st. C, zamkniętych było zaledwie 330 szkół w całej Polsce.

Ciepłe ubrania to jedno. Zaskoczenie nie ominęło także elektrociepłowni. W Kołobrzegu spalanych jest ok. 270 ton miału węglowego dziennie. Prezes Miejskiej Energetyki Cieplnej Andrzej Olichwiruk twierdził w mediach, że to 80% więcej niż rok wcześniej. Kołobrzeska elektrociepłownia przy takich mrozach działa na 75% mocy. Prezes MEC przestrzega, że standardowy zapas węgla, czyli 33 tys. ton, w tym roku nie wystarczy. To wszystko zaś oznacza podwyżki cen ogrzewania. A Kołobrzeg jest tylko jednym z wielu przykładów. Oczywiście mieszkańcy podłączeni do miejskich sieci ciepłowniczych i tak są w zdecydowanie lepszej sytuacji niż osoby grzejące gazem. Według specjalistów przy tak silnych mrozach dobowe wydatki na ogrzewanie mogą wzrosnąć nawet do 240 zł.

Koszty ogrzewania rosną niezależnie od wybranego źródła ciepła. Serwis Farmer.pl wylicza, że w przypadku powietrznej pompy ciepła dzienny koszt ogrzewania domu wynosi ok. 21 zł przy 0 st. C i aż 92 zł przy minus 20 st. Tańsza ma być gruntowa pompa ciepła – odpowiednio 17 zł i 33 zł przy tych samych temperaturach.

Trzaska mróz, trzaskają kości

Lodowym blaskiem gwiazd promienie
Skrzą się nad pola śnieżno-białe
I rozlewają w krąg milczenie
Melancholijne, oniemiałe

Antoni Lange

W ostatnich dniach Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej przestrzegał przed opadami marznącego deszczu. Na chodnikach i szosach panuje wówczas gołoledź, która jest głównym powodem poślizgnięć, a w konsekwencji wielu urazów i złamań.

– Najpowszechniejszym urazem zimą jest złamanie nasady dalszej kości promieniowej w nadgarstku. Upadając, ludzie odruchowo podpierają się ręką. Reakcja na złamanie jest różna, bo zależy zarówno od energii przy upadku, jak też od stanu kości. Dlatego dużą część pacjentów stanowią kobiety ok. 70. roku życia. Trudność systemowa polega

eprasa.pl 4e1e01459e



na tym, że większość takich złamań powinna być operowana. Dyżury ortopedyczne są jednak w sezonie zimowym przeciążone, dlatego próbujemy przeważnie nastawiać złamania i leczyć gipsem. Dziś, kiedy rozmawiamy, w samej Warszawie na wszystkich dyżurach pojawi się ok. 100 osób ze złamaniem kości promieniowej. Gdyby chcieć leczyć te wszystkie złamania w zgodzie z zasadami, musielibyśmy chyba otworzyć nowy szpital – przyznaje specjalista ortopedii i traumatologii, dr n. med. Grzegorz Adamczyk, ordynator Centrum Medycznego Gamma.

Do tej pory najwięcej pacjentów, którzy ucierpieli na skutek gołoledzi, odnotowano w zachodniej i północnej Polsce. Według kierowniczki SOR Wielospecjalistycznego Szpitala Miejskiego w Poznaniu przyjęto nawet 300% więcej pacjentów urazowych. Najstarszy miał 102 lata. Można więc śmiało stwierdzić, że szpitalne oddziały ratunkowe są oblężone w wyniku mroźnej i śliskiej zimy. Najczęstsze zimowe urazy są zazwyczaj efektem zupełnie banalnych sytuacji.

– Nasza placówka ma specyfikę bardziej sportową, jednak z konieczności zamieniamy się w sezonie zimowym w ośrodek urazowy. Myślę, że wszystkie oddziały ortopedyczne i traumatologiczne są skupione na urazówce, bo w tej chwili jest nieprawdopodobna liczba wypadków. Wiem to z własnej praktyki. Przez cztery dni w tygodniu do swoich normalnych zajęć dokładam wieczorami dodatkowe operacje urazowe – mówi dr Grzegorz Adamczyk. – Ortopedów jest dziś zdecydowanie za mało – zaznacza równocześnie. – Po pierwsze, starzejemy się jako środowisko. Po drugie, zdarzają się lata, kiedy jest mniej kandydatów do specjalizacji niż miejsc szkoleniowych. To skutkuje długimi kolejkami do specjalistów.

Śliskie chodniki są utrapieniem dla osób starszych. Obawy nasila panujące od lat przekonanie, że złamane biodro u osoby w podeszłym wieku jest początkiem końca. Okazuje się, że to wiedza na poziomie miejskich legend. Specjalista przekonuje, że współcześnie z takim urazem jest inaczej.

– Złamane biodro nie jest wyrokiem. Jest takie powiedzenie, którego bardzo nie lubię, że pierwsze duże złamanie to ostatnie złamanie. Niestety, starsze osoby interpretują poważniejsze złamanie jako koniec wszystkiego. Często pojawia się fatalizm. Tymczasem operacja biodra nie jest aż tak obciążająca dla organizmu, jak mogłoby się wydawać. Utrata krwi w jej trakcie to zaledwie 100-120 ml. Dlatego trzeba stawiać na rozwiązania operacyjne i jak najszybciej pionizować pacjenta. Najlepiej już kilka dni po zabiegu – podsumowuje dr Adamczyk.

Złamania to nie tylko problem osób starszych. Prof. Paweł Łęgosz, kierownik Katedry i Kliniki Ortopedii i Traumatologii WUM, podkreślał w rozmowie z Polską Agencją Prasową, że ze złamaniami mają problem coraz młodsze osoby. Kości stają się bardziej łamliwe z powodu niezdrowej diety. W środowisku lekarzy mówi się o tym zjawisku „kość makdonaldowa".

Najpowszechniejszym urazem zimą jest złamanie nasady dalszej kości promieniowej w nadgarstku.

Zima zaskoczyła drogowców?

Tężał mróz, wicher rósł,
Pędząc jak w sto koni,
Trzeszczy wóz, trzeszczy mróz,
Chłop zębami dzwoni

Julian Tuwim

Zimowe warunki na drogach stanowią wyzwanie zarówno dla kierowców, jak i zarządców infrastruktury drogowej. Obecność lodu lub śniegu znacząco zwiększa ryzyko kolizji wynikających z utraty kontroli nad pojazdem. W przypadku interwencji policji kierujący mogą zostać ukarani mandatem oraz punktami karnymi.

– Jazda mroźną zimą przy gołoledzi na szosie jest trudna. Potrzeba tutaj więcej możliwości auta, ale przede wszystkim umiejętności kierowcy. Mając za oknem taką pogodę jak w ostatnich dniach, należy odpowiednio zadbać o przygotowanie samochodu. Nawet takie z pozoru drobnostki jak brak płynu do spryskiwaczy lub zaparowane szyby mogą mieć opłakane skutki. W sezonie bazą są zimowe opony. Zaznaczę, że kryterium wymiany nie jest śnieg czy mróz, ale temperatura. Nie warto też się śpieszyć – 50 km/godz.

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 4e1e01459e



Zima to nie tylko problemy, ale też atrakcje. Gigantyczne torosy, naturalne, wysokie na kilka metrów spiętrzenia kry, na plaży w Mikoszewie. 22 stycznia 2026 r.

zimą to nie to samo co 50 km/godz. latem. Chodzi o znacznie wydłużoną drogę hamowania. W daleką trasę warto zabrać koc i termos z herbatą w razie niespodziewanego postoju – tłumaczy instruktor jazdy Sławomir Moszczyński, znany jako Słaby Instruktor.

Tymczasem zima 2026 to dodatkowe koszty dla zarządców dróg. Mówimy o kwotach idących w miliony złotych. Zarówno duże, jak i mniejsze miasta już przekroczyły budżety na odśnieżanie. Według wyliczeń portalu Samorząd.pap.pl jeden dzień zimowego utrzymania dróg kosztuje w 57-tysięcznym Tczewie 32 tys. zł. Rzeczniczka tczewskiego ratusza przekazała mediom, że koszty wzrosły o niemal 400%, a budżet przewidziany na utrzymanie dróg zimą jest na wyczerpaniu. Rzeszów już wydał prawie 6 mln zł – to 80% podstawowego budżetu. Urzędnicy uspokajają jednak, że pieniędzy nie zabraknie dzięki specjalnym zapisom zawartym w umowie przetargowej. Lubelski Zarząd Dróg i Transportu Miejskiego podał, że koszty utrzymania dróg od 1 listopada przekroczyły już 14 mln zł. To więcej niż w całym sezonie 2024/2025. Widać, że mroźna zima drenuje miejskie kasy.

W daleką trasę warto zabrać koc i termos z herbatą w razie niespodziewanego postoju.

– Pamiętajmy o tym, że osoby, które mają prawo jazdy od trzech-pięciu lat, a nigdy nie wyjeżdżały w góry zimą, nie zetknęły się z taką zimową jazdą. Nie znają więc jako kierowcy takich zjawisk jak gołoledź czy opadająca mgła. Medal ma jednak dwie strony. Ostatnie lata z ciepłymi zimami sprawiły, że drogowcy zapomnieli, że zimą oprócz realizowania planowych prac drogowych trzeba również regularnie odśnieżać i odladzać, aby poprawiać przyczepność pojazdów do drogi – mówi Sławomir Moszczyński.

•

Osoby znające klasykę kina na pewno pamiętają film „Dzień świstaka". Tytułowe wydarzenie jest prawdziwą tradycją. Święto przypada 2 lutego, obchody odbywają się w miasteczku Punxsutawney w Pensylwanii, do którego przybywają wówczas dziesiątki tysięcy osób. Wszystko po to, aby sprawdzić, czy świstak Phil, wychodząc z norki, zobaczy swój cień. Jeśli tak, zimowa pogoda pozostanie z nami jeszcze przez co najmniej sześć tygodni. Brak cienia oznacza wczesną wiosnę. Cóż, wedle wieści z Pensylwanii czeka nas długa i mroźna zima…

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

„Burza na Śląsku" – odpowiedź autora

Zdumiewające. Tym słowem należy określić żądanie sprostowania mojego artykułu „Burza na Śląsku. Wówczas było to prawdziwe czarne złoto" („Przegląd" nr 2, 5-11.01.2026).

Sprostowanie nadesłał Południowy Koncern Węglowy. Jego szefom nie spodobało się, że w artykule napisałem, iż PKW buduje nową kopalnię Grzegorz. Zaprzeczono więc, podkreślając, że PKW „nie buduje kopalni Grzegorz", tylko szyb będący częścią Zakładu Górniczego Sobieski.

Wbrew pozorom nie jest to sprawa błaha. Stawia bowiem przed nami pytanie, w jaki sposób w górnictwie gospodaruje się publicznymi pieniędzmi. Pierwotnie budowa szybu Grzegorz kosztować miała pół miliarda złotych. Wtedy planowano, że będzie on miał głębokość 870 m. Dziś mówi się już „tylko" o głębokości pół kilometra. Jaki sens ma taka inwestycja w przeddzień zamknięcia kopalń i odejścia od węgla? Ja nie wiem.

Czy Grzegorz jest odrębną kopalnią, czy nie? Zamiast się spierać, przytoczę kilka cytatów. 27 czerwca 2025 r. tenże PKW informował: „Skarb Państwa (...) wyraził zgodę na (...) połączenie infrastruktury ZG Sobieski z drążonym obecnie szybem Grzegorz". PKW cytował prezydenta Jaworzna: „Ważna inwestycja PKW S.A. w ZG Sobieski (...) – połączenie kopalni z nowym szybem Grzegorz". Inna publikacja zamieszczona przez PKW – o „ważnej inwestycji (...) polegającej na połączeniu kopalni z nowym szybem Grzegorz". 8 października 2025 r. PKW opublikował informację: „Historyczny moment – połączenie szybu Grzegorz z wyrobiskami ZG Sobieski".

Przypomnijmy wypowiedź Beaty Szydło z uroczystości rozpoczęcia budowy: „Udowadniamy wszystkim niedowiarkom, którzy nie wierzyli w to, że w naszym kraju może powstać jeszcze zakład górniczy, że właśnie w Polsce można otworzyć nową kopalnię (...). Szyb Grzegorz jest tego doskonałym przykładem".

Śląski Urząd Wojewódzki pisał zaś: „Będzie nowa kopalnia! Prezes Rady Ministrów Beata Szydło uczestniczyła dziś w przekazaniu terenu inwestycji nowego szybu górniczego Grzegorz".

Pół roku temu PKW informował „Dziennik Zachodni", że bez tego szybu niemożliwa byłaby eksploatacja dotąd nietkniętego złoża Dąb.

Dodam, że inwestycja ta miała być gotowa w 2023 r., a nie jest zakończona do dziś.

Mateusz Cieślak

eprasa.pl 4e1e01459e

ELEKTRYCZNY SZROT



Ekstremalne mrozy ujawniły prawdę o samochodach elektrycznych

Marek Czarkowski

Suwałki, 2 lutego 2026 r., godz. 6.47. Termometr na ścianie budynku pokazuje minus 27,7 st. C. Temperatura odczuwalna minus 35 st. C. Na osiedlowym parkingu nieszczęsny właściciel Tesli Model 3 próbuje naładować akumulatory pojazdu elektrycznego. Samochód wyświetla mu komunikat: „Warming battery for charging", czyli „Ogrzewanie akumulatora przed ładowaniem". Pojazd, wart w standardowej konfiguracji od 174 990 do 184 990 zł, mówiąc brutalnie, zdechł i nic nie można zrobić. Właściciel napisał później na forum internetowym: „Trzy godziny czekania na ładowanie. Samochód pokazuje, że ogrzewa baterię, ale prąd nie wchodzi. W końcu musiałem wezwać lawetę".

To nie była motoryzacyjna ciekawostka, lecz ponura rzeczywistość polskiej zimy 2026 r., która zweryfikowała marketingowe opowieści producentów o „zimowej niezawodności" elektryków. Styczeń i początek lutego przejdą do historii jako miesiące, które obnażyły w Europie największe słabości elektrycznej rewolucji.

Gdy napływająca z Syberii masa arktycznego powietrza sprawiła, że temperatury w północno-wschodnich regionach kraju spadły nocą do minus 25-28 st., właściciele samochodów elektrycznych odkryli prawdę, którą koncerny samochodowe wolały przemilczeć. Akumulatory litowo-jonowe nie są i nigdy nie były przygotowane na ekstremalne mrozy. Gdyż praw fizyki i chemii nie da się oszukać.

Sercem każdego samochodu elektrycznego są akumulatory, w tym najpopularniejsze litowo-jonowe (Li-ion), w których nośnikiem ładunku są jony litu przemieszczające się między elektrodą dodatnią (katodą) a ujemną (anodą). Występują one w różnych wariantach chemicznych, m.in. NCA (nikiel-kobalt-aluminium), NMC (nikiel-mangan-kobalt) czy LFP (litowo-żelazowo-fosforanowe), które różnią się trwałością i kosztem. W optymalnej temperaturze plus 15-27 st. elektrolit, czyli ciecz ułatwiająca przepływ jonów, ma konsystencję płynną. Lecz gdy temperatura spadnie poniżej zera, dzieje się coś niepokojącego.

Przy minus 18-20 st. lepkość elektrolitu dramatycznie wzrasta – nawet o 400% w porównaniu z warunkami optymalnymi. Stosowany bowiem powszechnie w akumulatorach płyn zaczyna zamarzać. Konsekwencje są druzgocące. Przewodność jonowa spada o 50-70% przy minus 18 st. Jony litu, które w normalnych warunkach swobodnie „pływają" w elektrolicie, teraz brną przez gęstą substancję. Reakcje elektrochemiczne, które

eprasa.pl 4e1e01459e

powinny zachodzić w milisekundach, wymagają sekund. Dwu-, trzykrotnie wzrasta opór wewnętrzny baterii, czyli znaczna część energii jest tracona na wydzielanie ciepła zamiast napędzanie samochodu.

Kurczy się pojemność użytkowa akumulatorów, które w warunkach standardowych (27 st. C) oferują 100% pojemności, a w temperaturze minus 18 st. oddają zaledwie ok. 50% energii. Gdy temperatura spada poniżej minus 20 st., większość akumulatorów pracuje na poziomie ok. 40% swojej nominalnej wydajności.

Co gorsza, w niskich temperaturach bardzo trudno naładować samochód elektryczny. Próba ładowania zimnych akumulatorów może się skończyć ich trwałym uszkodzeniem. Odpowiedzialny jest za to proces *lithium plating*. W niskiej temperaturze to niekontrolowane osadzanie się metalicznego litu na powierzchni anody. Producenci akumulatorów litowo-jonowych wiedzą o tym, dlatego systemy zarządzania akumulatorami w samochodach elektrycznych drastycznie ograniczają moc ładowania, gdy temperatura spada poniżej 10 st. C.

Przy temperaturze minus 30 st. proces ładowania pojazdu może trwać ponad 50 godzin! Wydaje się to niemożliwe do zaakceptowania, lecz alternatywą jest zniszczenie akumulatorów wartych dziesiątki tysięcy złotych.

Fikcja szybkiego ładowania

Zima 2025/2026 dostarczyła wielu przykładów, że szybkie ładowanie na mrozie to długa procedura, o której ekolodzy i producenci samochodów elektrycznych nie wspominają. W mediach społecznościowych trafiłem na historię właściciela Tesli Model S, który w Wigilię, gdy temperatura spadła do minus 15 st., spędził kilka godzin na stacji ładowania, gdyż samochód odmawiał przyjęcia energii.

Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. W sezonie zimowym 2024/2025 chiński portal motoryzacyjny Autohome przeprowadził w północnych Chinach, przy temperaturach minus 20-25 st., test 67 samochodów, głównie elektrycznych. Wyniki były jednoznaczne: czas ładowania elektryków wydłużał się średnio o 100-200%. Tesla Model Y potrzebowała 35 minut zamiast standardowych 15-18 minut. Chiński model BYD Seal 06 ładował się 34 minuty. I to były najlepsze wyniki.

Sytuacja pogarszała się, jeśli pojazd miał duże akumulatory. Kosztująca nad Wisłą ok. 450 tys. zł chińska limuzyna Nio ET7 100kWh, produkowana przez koncern NIO Inc., potrzebowała aż 87 minut do pełnego naładowania w temperaturze minus 15 st. W tych samych warunkach BYD Seal 4WD potrzebował 69 minut. Może być jeszcze gorzej. Przy ekstremalnym mrozie podczas ładowania ze standardowego gniazdka 230V znaczna część przyjmowanej przez samochód energii nie trafia do akumulatorów, lecz jest zużywana na ich ogrzewanie, więc faktyczne ładowanie jest bliskie zeru.

Problemy są też z infrastrukturą nieprzygotowaną na siarczyste mrozy. Na forach internetowych można znaleźć wiele doniesień o niesprawnych stacjach ładowania. Właściciele elektryków pisali, że lód i wilgoć blokowały porty ładowania, uniemożliwiając podłączenie kabla. Przy czym w temperaturze minus 25 st. kable sztywniały, co utrudniało manipulacje.

W Europie odnotowano liczne awarie ładowarek, do których dochodziło już przy minus 8 st. Powszechny był spadek mocy wyjściowej sprawnych ładowarek, które automatycznie obniżały moc ładowania w bardzo niskich temperaturach. Część nowych, zwłaszcza luksusowych samochodów elektrycznych wyposażona jest w pompy ciepła ogrzewające kabinę. Problem w tym, że większość tych systemów ma wbudowane zapasowe grzałki oporowe, które automatycznie włączają się, gdy temperatura spada poniżej minus 15-20 st. Dlaczego? Bo pompa nie jest w stanie skutecznie ogrzać wnętrza samochodu przy dużym mrozie.

W przypadku Tesli Model 3 jest wiele udokumentowanych przykładów, gdy system wyłączał w samochodzie pompę ciepła, uruchamiając jednocześnie klasyczną grzałkę oporową, a ta pożerała energię jak szalona. W konsekwencji znacząco zmniejszał się dystans, jaki był w stanie pokonać pojazd ze stajni Elona Muska.

W badaniach przeprowadzonych w temperaturze minus 10 st. stwierdzono, że ogrzewanie kabiny i baterii może stanowić 35-55% całkowitego zużycia energii na krótkich trasach. Jeśli zatem jedzie się do pracy 10 km w temperaturze około minus 20 st. z włączonym ogrzewaniem, ponad połowa energii z baterii idzie na ogrzewanie, a nie na jazdę.

Samochody elektryczne nie nadają się na dłuższe trasy zimą.

Testy przeprowadzone w Norwegii w styczniu 2026 r. przy temperaturze minus 31 st. pokazały, że żaden z 25 testowanych pojazdów nie osiągnął deklarowanego zasięgu. Model Lucid Air, mimo że miał najdłuższy rzeczywisty zasięg 323 mil (520 km), stracił aż 46% oficjalnego zasięgu, wynoszącego 960 km. Volvo EX90, Opel Grandland i Suzuki eVitara odnotowały podobne straty.

Trzeba wyraźnie powiedzieć – samochody elektryczne nie nadają się na dłuższe trasy zimą. Zwłaszcza w Polsce, gdzie infrastruktura ładowania nie jest tak rozwinięta. Zimą jazda po mieście także nie należy do przyjemności. Przy temperaturze powietrza minus 15-18 st. ogrzanie wnętrza pojazdu do plus 20 st. wymaga mocy 5-7 kW. To więcej, niż samochód zużywa w trakcie jazdy.

Akumulatory muszą się ogrzać, co oznacza, że początkowo ich wydajność jest drastycznie obniżona. W ekstremalnych warunkach przestają działać systemy odzyskiwania energii, gdyż zimne akumulatory nie mogą jej bezpiecznie absorbować. I najważniejsze: w krótkiej trasie samochód elektryczny ma zbyt mało czasu, by ogrzać akumulatory i wnętrze, a każde kolejne

FOT.SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4e1e01459e

jego uruchomienie oznacza spore zużycie energii. W efekcie zasięg samochodów elektrycznych spada o 48-52% wobec deklarowanego. Właściciele samochodów z silnikami benzynowymi takich problemów nie mają.

Czy Chińczyk potrafi?

W ubiegłym roku w Polsce chińskie koncerny samochodowe sprzedały o ponad 600% więcej pojazdów niż w 2024 r. Przewaga ich modeli nad Audi, Volkswagenem, Fiatem, Renault i innymi europejskimi markami jest bezdyskusyjna. Za cenę o 40-50% niższą można się stać właścicielem chińskiego dobrze wyposażonego elektryka. Jest to szczególnie widoczne w segmencie pojazdów luksusowych. Model Zeekr 01, produkowany przez Zhejiang Geely Holding Group, bywa porównywany do Audi RS6. Przy czym za chiński pojazd trzeba zapłacić 240-310 tys. zł, a za niemiecką limuzynę – 690-700 tys. zł. Oba samochody są świetnie wyposażone, ale chiński lepiej. Jeśli tak dalej pójdzie, za dziesięć lat „niemiecki przemysł motoryzacyjny" będzie wspomnieniem… Choć może zdarzyć się inaczej.

Jakiś czas temu Volkswagen podpisał umowę o współpracy z chińskimi koncernami, w efekcie w ciągu 18 miesięcy Niemcy przedstawili cztery nowe modele samochodów, które zostały zaprojektowane i wprowadzone do produkcji zgodnie ze standardami Chin. Są one przeznaczone na chiński rynek. A w Europie wszystko dzieje się po staremu. Opracowanie i wdrożenie do produkcji nowego modelu samochodu zajmuje nadal dziesięć lat.

Nie mamy miliona

W 2025 r. po polskich drogach miał jeździć milion samochodów elektrycznych. Tak w 2016 r. obiecywał wicepremier Mateusz Morawiecki. Na szczęście okazało się to mrzonką. W końcu ubiegłego roku w Polsce zarejestrowanych było 132 775 osobowych i użytkowych całkowicie elektrycznych pojazdów. Gdyby był ich milion, właściciele pewnie staliby w kolejkach do ładowarek. A samo ładowanie kosztowałoby krocie.

W styczniu i na początku lutego br. z powodu silnych mrozów w kilku miastach pojawiły się problemy z autobusami elektrycznymi. W Warszawie na ok. 1,4 tys. autobusów 200 to elektryki. Z powodu mrozów ich zasięg spadł o 30-40%, przez co część nie była w stanie ukończyć kursów i wymagała zamiany na pojazdy z napędem wysokoprężnym. Identyczna sytuacja miała miejsce w Krakowie. W Wolsztynie zawieszono eksploatację kilku wyprodukowanych w Turcji autobusów elektrycznych.

Z ulic zniknęły osobowe samochody elektryczne, gdyż ich właściciele nie chcieli ryzykować. Przy okazji wyjaśniła się niezwykła popularność elektryków wśród bogatych mieszkańców Kalifornii. Tam jest zawsze ciepło, a to idealne warunki dla takich pojazdów.

Sytuacja może się zmienić, jeśli zostaną opracowane akumulatory, które zachowają wysoką sprawność w ekstremalnie niskich temperaturach. Pod koniec stycznia br. chiński koncern CATL zaprezentował serię akumulatorów sodowo-jonowych o nazwie Tianxing II, które mają trafić do masowej produkcji. Akumulatory te wykazują wysoką sprawność nawet w temperaturach rzędu minus 40 st., co rozwiązuje problem spadku wydajności na mrozie.

Pierwsze samochody wyposażone w te źródła prądu pojawią się na ulicach chińskich miast w połowie tego roku i będą to na razie nie osobówki, lecz małe ciężarówki. Dla europejskich koncernów to kiepska wiadomość. Już dziś Chińczycy są liderami w produkcji akumulatorów. Świetnie sobie radzą z silnikami i innymi częściami niezbędnymi w produkcji takich samochodów. Potrafią je szybko projektować i wdrażać do produkcji. I najważniejsze – ceną biją na głowę europejskie modele.

Lecz w lutym 2026 r. właściciele elektryków w Białymstoku, Suwałkach, Nidzicy, Olsztynie i w innych polskich miastach zadają sobie pytanie: dlaczego nikt nam o tym wcześniej nie powiedział?

Marek Czarkowski

Przegląd

Sprawdź ARCHIWUM PRZEGLĄDU

Znajdziesz w nim wszystko! Od powstania tygodnika w 1999 r.

Otrzymasz dostęp do bieżącego i archiwalnych numerów.



A w prezencie e-booka: „Jak ja to widziałem. Wspomnienia z życia w trzech ustrojach" prof. Andrzeja Karpińskiego

tygodnikprzeglad.pl/archiwum/

eprasa.pl 4e1e01459e



Z Galicji Jan Widacki

Lekarz bez granic

Wielu zastanawia się, dlaczego taką popularność zdobył Grzegorz Braun. Jak to możliwe, że ktoś, kto jeszcze niedawno miał w polskiej polityce pozycję klauna, dziś jest jedną z ważniejszych postaci sceny politycznej. Na tyle już się liczącą, że najpoważniejsi politycy rozważają, czy po wyborach w 2027 r. nie tylko będzie zasiadał w Sejmie, do którego wprowadzi podobnych sobie ksenofobów, nacjonalistów, antysemitów, rasistów i negacjonistów, w dodatku antyszczepionkowców i anty-Europejczyków – bo to jest raczej pewne – ale czy zostanie również koalicjantem PiS i czy ta koalicja będzie Polską rządzić.

To prawda, Brauna państwo polskie samo sobie wyhodowało. Pozwolono najpierw na to, by dopuścił się bezkarnie wandalizmu w krakowskim sądzie. Na oczach policjantów i ochrony zdewastował choinkę przystrojoną bombkami z napisem „Konstytucja", przez nikogo niepokojony wyniósł ją na ulicę i połamaną wrzucił do kosza. Nie było reakcji. Ani doraźnej, np. interwencji policji sądowej, ani później. A przecież to już było wykroczenie. Immunitet nie chroni nikogo na gorącym uczynku. Ale policjanci woleli nie ryzykować. Nie ufali państwu, którego praw mają strzec. Nie byli pewni, czy ta interwencja nie będzie im kiedyś poczytana za grzech, czy ktoś w przyszłości nie uzna, że stanęli po złej stronie, i nie obniży im z tego powodu emerytury.

No to bezkarny Braun hasał sobie w najlepsze dalej. A to w Niemieckim Instytucie Historycznym przerwał wykład prof. Jana Grabowskiego i zdemolował sprzęt nagłaśniający, a to poszalał w Sejmie z gaśnicą, a to dokonał „poselskiej interwencji" w szpitalu w Oleśnicy, a to po drodze zanegował istnienie komór gazowych w obozie Auschwitz… Każdy z tych czynów stanowił przestępstwo. Ukaranie już po pierwszym przerwałoby tę serię. Ale państwo okazało się za słabe, by egzekwować prawo. Próba postawienia Brauna przed sądem teraz, gdy urósł w polityczną siłę (i wciąż rośnie!), jest spóźniona.

Mamy jednak problem większy niż sam Braun. Tym problemem są ludzie, którym poglądy Brauna odpowiadają. Skąd oni się biorą, kto ich wychował i wyedukował? Bo oni są! Gdyby nie było Brauna, znalazłby się ktoś inny będący ich emanacją. To wychowankowie zakłamanych lekcji lukrowanej, zmitologizowanej historii. Takiej, jakiej od lat uczą szkoła, Kościół czy IPN. Wszyscy oni są przekonani o swoim patriotyzmie, który redukuje im się do hasła „Polska dla Polaków", o „odwiecznej polskiej tolerancji", która dziwnie komponuje im się z rasizmem i antysemityzmem. O odwiecznej (u nas prawie wszystko jest odwieczne) postawie „za waszą wolność i naszą", która nie przeszkadza im w postawach antyukraińskich i kwestionowaniu pomocy udzielanej Ukrainie. Są głęboko przeświadczeni o swoim chrześcijaństwie, które tak łatwo daje im się pogodzić z nienawiścią lub tylko pogardą dla bliźniego. To postawa nie tylko społecznego marginesu.

Opowiadała mi ostatnio jedna z wolontariuszek opiekujących się imigrantami, że posłała swoją podopieczną Gambijkę do znanego i cenionego krakowskiego lekarza.

Mamy problem większy niż sam Braun. Tym problemem są ludzie, którym poglądy Brauna odpowiadają.

Pan doktor, skądinąd naprawdę dobry lekarz, uważający się za humanistę, wielbiciela tradycji sarmackiej, bywalec opery, po znajomości Gambijkę przyjął, ale miał wielkie pretensje do wolontariuszki: „Przysłała mi pani »asfalta«, nie wiem, o co jej chodziło. Niech mi pani więcej nie przysyła jej ani innych »asfaltów«!".

Jak widać, dla pana doktora „asfalt" nawet nie ma płci. To nie człowiek, to kawałek asfaltu. Skąd tyle pogardy? Skąd to mniemanie o własnej wyższości nad „asfaltem"? Ten „asfalt", co dla pana doktora, jak widać, nie było oczywiste, to też człowiek, też czasem choruje, cierpi i wymaga niekiedy pomocy lekarskiej. Co więcej, ten pogardzany „asfalt" w przeciwieństwie do doktora mówi biegle po angielsku i francusku. Może to tu jest źródło niechęci i demonstrowanej pogardy? Kompleksy? Freud się doktorowi kłania. Na szczęście bez trudu znaleziono w Krakowie innego lekarza, który bezinteresownie Gambijce pomógł. Na szczęście są i tacy. Jeszcze. I jeszcze wolno „asfaltom" pomagać. ■

sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e1e01459e

Faryzeusze prawa i sprawiedliwości

Akolici PiS udający sędziów nie cofną się przed niczym, aby zachować swoje wpływy



Gdyby Michał Lasota, Piotr Schab i Przemysław Radzik mieli choć odrobinę przyzwoitości, usunęliby się w cień. Krajowa Rada Sądownictwa, 7 listopada 2025 r.

Andrzej Sikorski

21 stycznia br. uzbrojeni funkcjonariusze policji pod wodzą „żurkowych" prokuratorów napadli na Krajową Radę Sądownictwa. „To nie jest tak, że miałam jakikolwiek wpływ na to, żeby kogoś wpuścić bądź nie wpuścić do budynku, tylko został zastosowany przymus bezpośredni, aparat państwa zadziałał swoją siłą poprzez wprowadzenie funkcjonariuszy (…). Wszystkie drzwi były obstawione policjantami, było chyba ze stu policjantów, sytuacja nieprawdopodobna. Dla mnie to wyglądało jak w jakimś filmie gangsterskim", mówiła neosędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka, szkolna koleżanka Zbigniewa Ziobry i szefowa upolitycznionej, nieuznawanej przez środowiska prawnicze KRS.

Napastnicy nie tylko zajęli siłą pisowską świątynię sprawiedliwości – po „kilkunastu godzinach okupacji KRS pozostawiono zniszczone drzwi, szafy i sejfy". Według Łukasza Piebiaka, szefa Stowarzyszenia Prawnicy dla Polski skupiającego sędziów lojalnych wobec byłej partii rządzącej, cała akcja była starannie przemyślana i skoordynowana. Wybrano akurat taki dzień, gdy prezydenta Karola Nawrockiego nie było w Polsce, brał bowiem udział w forum ekonomicznym w Davos, „w Brukseli dział się Mercosur", a w Sejmie procedowano projekt ustawy o KRS.

O tym, że „w przypadkowość zaistniałej sekwencji zdarzeń trudno uwierzyć", mówiła też pierwsza prezes Sądu Najwyższego, neosędzia Małgorzata Manowska. Zdaniem przyjaciółki Andrzeja Dudy działania prokuratury, które zbiegły się z debatą w Sejmie nad projektem tzw. ustawy praworządnościowej, „budzą poważne wątpliwości odnośnie do ich motywu" i mogą być postrzegane jako próba „zastraszenia sędziów w przededniu dyskusji nad przygotowanymi przez rząd rozwiązaniami". Manowska zapomniała jednak dodać, że celem wspomnianej ustawy jest odpolitycznienie KRS i usunięcie z niej nominatów PiS. Zgodnie z wprowadzonymi zmianami już nie politycy, ale sędziowie będą wybierać swoich przedstawicieli do KRS – tak jak to było przed 2018 r.

Przeciwko ustawie praworządnościowej protestują sędziowie nieukrywający sympatii do PiS. Przez osiem lat rządów partii Jarosława Kaczyńskiego zostali tak zdeprawowani (licznymi przywilejami, możliwością dodatkowego zarobku, awansami i bezkarnością), że nie potrafią funkcjonować bez politycznego parasola. I tu dochodzimy do sedna sprawy „zamachu na KRS".

Wbrew kłamliwej narracji policjanci nie napadli na konstytucyjny organ, nie stosowali przemocy wobec sędziów, nikogo nie zastraszali, nawet nie podeptali godności i czci Dagmary Pawełczyk-Woickiej ani innych neosędziów znajdujących się w budynku. Prokuratorzy z Wydziału Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej przyszli w asyście policji do KRS, bo w tym budynku mieści się biuro rzecznika dyscyplinarnego sędziów sądów powszechnych i jego

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 4e1e01459e

zastępców. Prokuratorzy działali legalnie, w granicach prawa, w związku z prowadzonym śledztwem dotyczącym przywłaszczenia przez Piotra Schaba, Przemysława Radzika i Michała Lasotę funkcji głównych rzeczników dyscyplinarnych sędziów sądów powszechnych oraz ukrywania przez nich dokumentacji z postępowań dyscyplinarnych wobec sędziów i asesorów.

Wymienieni panowie za rządów PiS zwani byli „katami", „rzeźnikami" lub „egzekutorami Ziobry". Jako główni rzecznicy dyscyplinarni zajmowali się represjonowaniem sędziów za to, że ci stosowali się do wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Sądu Najwyższego, protestowali przeciwko upolitycznianiu sądownictwa i uczestniczyli w akcjach edukacyjnych dotyczących praworządności. Przy tym mafijne państwo PiS zapewniło Schabowi, Radzikowi i Lasocie całkowitą bezkarność. Zgodnie z przyjętą ustawą mogli oni dopuszczać się przestępstw (co zresztą robili, jak twierdzi prokuratura) i byli nieusuwalni przed upływem czteroletniej kadencji (sic!).

Nie mogąc tolerować takiego bezprawia, w kwietniu 2025 r. Adam Bodnar usunął z funkcji głównego rzecznika Piotra Schaba i jego zastępcę Przemysława Radzika. Kolejny zastępca, Michał Lasota, stracił stołek w lipcu 2025 r. decyzją Waldemara Żurka. Zdaniem ministrów sprawiedliwości zapewnienie przez PiS bezkarności rzecznikom było nadużyciem.

Panowie nie uznali odwołań, stwierdzili, że ich następcy są uzurpatorami, i zaczęli ich ścigać, próbując im postawić zarzuty dyscyplinarne. Mało tego! Przemysław Radzik wszczął absurdalne śledztwo w sprawie udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, której celem miał być „ustrojowy zamach stanu". Na celowniku „rzeźnika" Ziobry jest kilkadziesiąt osób – oprócz sędziów i prokuratorów członkowie rządu łącznie z premierem Donaldem Tuskiem.

Schab, Radzik i Lasota, mając wsparcie upolitycznionej KRS i polityków PiS, nie tylko nie uznali swoich odwołań, ale też nie chcieli wydać akt postępowań dyscyplinarnych, które prowadzili jeszcze za rządów PiS. Nie reagowali na liczne wezwania swoich następców i prokuratorów, a ci w końcu stracili cierpliwość. W czasie rzekomego najścia na KRS Schaba, Radzika i Lasoty nie było w zajmowanych nielegalnie biurach, a kierowniczka ich sekretariatu nie chciała wydać kluczy do szaf z przetrzymywanymi aktami. Dlatego policjanci musieli je otwierać za pomocą wiertarek i szlifierek. Zabezpieczono dokumentację ok. 120 spraw dyscyplinarnych. I to jest cała afera z rzekomym zamachem na KRS.

Gdyby Schab, Radzik i Lasota mieli choć odrobinę przyzwoitości, usunęliby się w cień, a nie udawali męczenników i obrońców praworządności. Panowie są wyjątkowo bezczelni, bo mają również wsparcie w upolitycznionej i nielegalnej Izbie Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego obsadzonej przez nominatów PiS. Bez zgody tej izby nie można im uchylić immunitetów sędziowskich i oskarżyć w związku z popełnionymi przestępstwami. A jest za co. W sprawie afery hejterskiej prokuratorzy chcą postawić Radzikowi dziesięć zarzutów. Najpoważniejszy dotyczy udziału w zorganizowanej grupie przestępczej kierowanej przez byłego wiceministra Zbigniewa Ziobry sędziego Łukasza Piebiaka, nazywanego przez wspólników „hersztem".

Przypomnijmy: współpracownicy Ziobry zawiązali szajkę, która miała prowadzić m.in. w mediach społecznościowych i propisowskich portalach akcje szkalujące sędziów broniących niezależności sądów. Wykorzystywano do tego poufne informacje z postępowań dyscyplinarnych i tzw. zielonych teczek, czyli znajdujących się w Ministerstwie Sprawiedliwości akt osobowych sędziów. Oprócz tego prokuratorzy chcą postawić Radzikowi, Schabowi i Lasocie zarzuty w śledztwach dotyczących ukrywania akt postępowań dyscyplinarnych, a Schabowi i Radzikowi jeszcze w sprawie niedopuszczenia sędziego Igora Tulei do orzekania mimo prawomocnych wyroków sądów.

Choć pierwsze wnioski o uchylenie immunitetów ziobrowym „rzeźnikom" wpłynęły do Sądu Najwyższego jeszcze w 2024 r., dotychczas nie zostały rozpatrzone. Niedawno prokuratura skierowała do SN kolejny wniosek o uchylenie wymienionym immunitetu. Chodzi o przestępstwa popełnione na szkodę Waldemara Żurka, wówczas sędziego Sądu Okręgowego w Krakowie.

Żurek podpadł PiS, bo bronił niezależności sądów. W ramach represji rzecznicy dyscyplinarni wytoczyli mu 23 bezpodstawne postępowania dyscyplinarne. Żurkowi postawiono kilkadziesiąt zarzutów, co miało go skompromitować jako sędziego i wywołać efekt mrożący – przestraszyć innych prawników. Sędzia był ścigany m.in. za rzekome fałszowanie orzeczeń, za nieprawomyślną choinkę bożonarodzeniową w holu krakowskiego sądu (z ozdobami z napisem „Konstytucja"), za odmowę orzekania z neosędziami, za lekcje o praworządności w ramach akcji Tour de Konstytucja PL oraz za solidaryzowanie się z represjonowanymi sędziami.

W 2022 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że Waldemar Żurek był ofiarą represji: „Na tym tle i mając na uwadze kumulację środków podjętych przez władze, wydaje się, że można je scharakteryzować jako strategię mającą na celu zastraszenie (lub nawet uciszenie) skarżącego w związku z poglądami, jakie wypowiedział w obronie praworządności (…). Trybunał uważa, że kwestionowane środki niewątpliwie miały »efekt mrożący« w tym sensie, że musiały zniechęcać nie tylko skarżącego, ale także innych sędziów do udziału w debacie publicznej na temat reform sądownictwa".

Za popełnione przestępstwa prokuratura chce postawić Schabowi, Radzikowi i Lasocie zarzuty z art. 109 a i 212 Kodeksu karnego. Zgodnie z brzmieniem pierwszego przepisu „kto przez uporczywe nękanie innej osoby lub osoby dla niej najbliższej wzbudza u niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia, poniżenia lub udręczenia lub istotnie narusza jej prywatność, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu". Natomiast drugie przestępstwo dotyczy pomówienia za pomocą środków masowego komunikowania i jest zagrożone karą do roku więzienia. ■

eprasa.pl 4e1e01459e

„Aferzyści prezydenta RP" – odpowiedź autora

Panie Prezesie!

Chybiony jest zarzut, że nieściśle wskazałem, że „w 2018 roku giełda BitBay została wpisana na listę ostrzeżeń publicznych KNF, w sytuacji gdy postępowanie w tej sprawie zostało prawomocnie umorzone, a w związku z tym przy wspomnianym wpisie na liście ostrzeżeń publicznie znajduje się wzmianka oznaczająca nieaktualność dokonanego wpisu".

Prawdą jest, że BitBay została wpisana w 2018 r. na listę ostrzeżeń publicznych KNF. To, że 12 maja 2023 r. uprawomocniło się wydane 15 czerwca 2022 r. przez prokuratora Prokuratury Regionalnej w Katowicach postanowienie o umorzeniu śledztwa, nie ma żadnego znaczenia. W tekście nie poruszałem wątku śledztwa prowadzonego przez prokuraturę. Przy tym należy mieć na uwadze, że wspomniane śledztwo zostało umorzone nie dlatego, że nie doszło do popełnienia przestępstwa (BitBay świadczyła usługi bez wymaganej zgody KNF), ale dlatego, że Sylwester Suszek – jak stwierdziła prokuratura – nie działał umyślnie.

Informację, że opłacenie Polish-American Strategic Industries Summit było częścią kampanii lobbingowej wycelowanej w członków administracji Donalda Trumpa, podałem, powołując się na „Gazetę Wyborczą". Autor artykułu Wojciech Czuchnowski jest wybitnym dziennikarzem śledczym, a jego informacje są zawsze sprawdzone i udokumentowane. Dopóki „GW" nie sprostuje tej informacji jako nieprawdziwej, „Przegląd" nie ma obowiązku tego robić. Przy tym niedorzeczne jest twierdzenie, że firma Zondacrypto nie prowadziła działalności lobbingowej, a sponsorowanie szczytu było podyktowane chęcią reklamowania marki. Po co wydawać pieniądze na reklamę (sponsorowanie imprezy) i jednocześnie zapraszać na nią wysokich urzędników Białego Domu, skoro Zondacrypto nie miała jeszcze licencji na świadczenie usług w USA? Działania reklamowe mogły być prowadzone, ale dopiero po uzyskaniu licencji. A skoro w czasie trwania Polish-American Summit Zondacrypto nie miała licencji, to nie mógł Pan reklamować swojej firmy, a jedynie prowadzić działania lobbingowe.

Twierdzi Pan, że nieprawdziwe jest stwierdzenie, jakoby objęcie Centrum Olimpijskiego sponsoringiem tytularnym przez Zondacrypto stanowiło działanie wymierzone w autorytet św. Jana Pawła II. Każdy, kto wychował się w Polsce, w kręgu kultury chrześcijańskiej (nawet osoba niewierząca), wie doskonale, że Jan Paweł II jest otoczony szczególną czcią, a w 2014 r. został kanonizowany, czyli ogłoszony świętym Kościoła katolickiego. Od tego czasu Jan Paweł II podlega ochronie prawnej jako przedmiot czci religijnej. Zgodnie z art. 196 Kodeksu karnego, „kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch". Zestawienie świętego Kościoła katolickiego z Zondacrypto (wcześniej BitBay), założoną przez przestępców i która jest wykorzystywana przez przestępców (o czym mówił w Sejmie premier Tusk), wypełnia znamiona przestępstwa obrazy uczuć religijnych. Chyba doszedł Pan do takiego samego wniosku, bo jak podał Onet (18 stycznia 2026 r.), na siedzibie PKOl nie zawiśnie neon, na którym oprócz Jana Pawła II miała się pojawić nazwa Zondacrypto. Zacytuję prezesa Polskiego Związku Narciarskiego Apoloniusza Tajnera, który w rozmowie z Onetem powiedział: „Prezes Piesiewicz, w celu pozyskania sponsora, wszedł w układ z firmą, która nie kojarzy się zbyt etycznie, mając w tle PKOl i Centrum Olimpijskie, budynek, którego prawo do nazwy na trzy lata zostało sprzedane giełdzie kryptowalut, a od dawna patronem Centrum jest przecież Jan Paweł II. Dlatego dodatkowy człon w nazwie Centrum nie wygląda dobrze".

Nigdy nie twierdziłem, że wyjechał Pan z Polski, gdy „zaczęło się robić gorąco" w związku z zaginięciem Sylwestra Suszka. Natomiast wyjechał Pan z Polski, gdy zaczęło się robić gorąco, gdy BitBay zainteresowali się dziennikarze „Superwizjera" TVN.

Nigdy nie twierdziłem, że przejął Pan majątek Sylwestra Suszka. Tak twierdzi Nicole Suszek, siostra Sylwestra Suszka, co wyraźnie w tekście zaznaczyłem. Nigdy nie twierdziłem, że jest Pan przestępcą. Przestępcą był prezes BitBay Sylwester Suszek, przestępcami byli lub mieli związki ze środowiskiem przestępczym udziałowcy BitBay. Prawdą jest, że Polska jest jedynym krajem w Unii Europejskiej, w którym kryptowaluty są poza kontrolą państwa, a przestępcy i aferzyści mogą liczyć na wsparcie wpływowych polityków (i nie chodzi tylko o Zondacrypto, ale też o inne giełdy kryptowalut). Gdyby tak nie było, prezydent Karol Nawrocki (przy wsparciu PiS) nie zawetowałby ustawy o kryptowalutach. Przy tym prezydent nie potrafił w sposób racjonalny i rzeczowy wyjaśnić, czym się kierował, wetując ustawę. Jest to tym bardziej szokujące, że premier Tusk na zamkniętym posiedzeniu Sejmu ostrzegał posłów, jakie zagrożenia niesie dla bezpieczeństwa państwa niekontrolowany rynek kryptowalut. Według doniesień medialnych premier polskiego rządu wymienił Zondacrypto w kontekście powiazań z rosyjską mafią i mówił, że służby rosyjskie używają kryptowalut do opłacania swojej agentury wpływów oraz aktów dywersji. Nieprzypadkowo na polecenie Prokuratora Krajowego powstał specjalny zespół, którego zadaniem jest koordynacja i monitorowanie spraw przestępczości związanej z funkcjonowaniem rynku kryptowalut, w tym „wykorzystania kryptowalut w procederze prania pieniędzy oraz finansowania terroryzmu, szpiegostwa i przestępczości narkotykowej".

Niedorzeczne jest twierdzenie, że działalność Zondacrypto jest apolityczna. Wspomniany Polish-American Strategic Industries Summit był wydarzeniem stricte politycznym, pod patronatem upolitycznionej Telewizji Republika, zaangażowanej w brutalną walkę polityczną po stronie PiS i Karola Nawrockiego. Politycznym wydarzeniem była konferencja ogólnoświatowej skrajnej prawicy CPAC (Conservative Political Action Conference) w podrzeszowskiej Jasionce, gdzie sponsorem była Zondacrypto. To właśnie w Jasionce Karol Nawrocki złożył deklarację, że jeśli zostanie prezydentem, nie podpisze rządowej ustawy kontrolującej rynek kryptowalut. Wśród uczestników CPAC było wielu polityków PiS, m.in. urzędujący prezydent Andrzej Duda, były premier Mateusz Morawiecki, były szef MON Mariusz Błaszczak, były minister edukacji Przemysław Czarnek czy Maciej Świrski, przewodniczący KRRiT. Współorganizatorem imprezy była Telewizja Republika.

Na koniec uwaga. Twierdzi Pan, że jest rezydentem Księstwa Monako od ponad pięciu lat, siedziba Zondacrypto znajduje się w Estonii, a jako adres korespondencyjny podał Pan adres (powszechnie dostępny w internecie) swojej kancelarii w Katowicach, zastrzegając ten adres do wiadomości redakcji (podobnie jak adres siedziby spółki w Estonii). Sprostowanie napisał Pan 2 stycznia 2025 r. w Katowicach, czyli na rok przed moim artykułem. Nawet jeśli pomylił się Pan w dacie, nie wiem, jak Pan sporządził sprostowanie, skoro nie było Pana wtedy w Katowicach.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 4e1e01459e

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Czas Apokalipsy

W powietrzu jest wojna, Europa oddycha wojną. Nadzieje na trwały pokój nie mają żadnej podstawy. Przeczą im wszystkie przewidywania dotyczące nieuchronnego starcia pomiędzy Wschodem i Zachodem. Dokąd zmierza Europa, na co ostatecznie gotowi są nasi „chętni"? Na co ich stać? W wywiadzie dla „Newsweeka" Emmanuel Todd, autor wydanej u nas właśnie „Klęski Zachodu", mówi: „Sytuacja jest absurdalna: europejskie rządy, które nie były w stanie wygrać wojny z Rosją razem z Amerykanami, wyobrażają sobie, że mogą ją wygrać bez Amerykanów". Ile jest warta europejska polityka, skoro nie ma w niej miejsca na trzeźwe oceny? Niedobrze. Upojenie fikcją to równia pochyła, z łatwością może się przerodzić w obłęd. Jak wiele dzieli nas od eksplozji namiętności, po której pozostać mogą już tylko popioły?

Ktoś zapyta: a cóż takiego wynika z apeli w obronie pokoju? Wszystkim przecież i tak rządzą głębiej ukryte mechanizmy i to właśnie one zdobywają przewagę nad dobrymi intencjami i deklaracjami. Być może tak właśnie jest.

W okresie poprzedzającym wybuch II wojny światowej o pokoju mówiono nieustannie. Przypomina o tym Richard Overy w swojej historii II wojny „Krew i zgliszcza": „W 1936 r. odbył się wielki kongres pacyfistyczny w Brukseli, na którym powołano Międzynarodową Kampanię Pokojową (International Peace Campaign, IPC) jednoczącą grupy antywojenne i pacyfistyczne z całej Europy Zachodniej". Klimat nie sprzyjał wojnie. Pod petycją w sprawie zwołania konferencji pokojowej, skierowaną do premiera Chamberlaina w marcu 1939 r., zebrano ponad milion podpisów. Politycy brytyjscy dążenie do rozlewu krwi nazywali „aktem godnym wściekłego psa".

Niestety, fatum wojny okazało się silniejsze od wszelkich zahamowań. To ciekawe, oświecenie nie stworzyło żadnych form mądrości, która chroniłaby nas przed szaleństwem. Jesteśmy zawsze tylko o krok od utraty równowagi. Opętanie zaczyna się wraz z językiem – im więcej mówimy o wojnie, tym bardziej oczywista staje się jej obecność. Pokój ma szanse tylko wtedy, gdy wojnę traktujemy jako groźną, nikczemną aberrację. Nie należy pić wody z zatrutej studni. Dokąd prowadzą nas „chętni"?

Sigmund Freud przedstawiał ludzkie życie jako pole walki: zmagania dwóch śmiertelnych wrogów – Erosa i Tanatosa. Eros inspiruje radość życia, Tanatos otwiera bramy śmierci, wzniecając pragnienie samounicestwienia. Jesteśmy więc zawsze gotowi poddać się szaleństwu autodestrukcji i podpalić cały nasz świat. W 1932 r. Freud i Albert Einstein zastanawiali się wspólnie nad pytaniem: „Dlaczego wojna?". Ustalając swoje stanowisko, Freud mówił o „popędzie śmierci" – uważał, że działa on bez ustanku. Przypominamy więc tykającą bombę, to nasz temperament.

Zakładamy, że humaniści brzydzą się przemocą. Czyżby? W 1914 r. Thomas Mann sformułował swoje „Myśli w czas wojny": piętnował „okropny świat, którego już nie ma – albo przynajmniej nie będzie, gdy przeminie ta wielka burza!". A więc szlachetna nadzieja na oczyszczenie? Pytanie tylko, czy każdą burzę można przetrwać.

W książce rozmowie „Apokalipsa tu i teraz" (wyd. 2007) francuski antropolog René Girard zaznacza, że apokalipsa zaczęła się pod Verdun i trwa od tej pory nieustannie. Swój pogląd tłumaczy następująco: chodzi o „możliwość końca Europy, świata Zachodu i świata jako całości". „Ta możliwość – dodaje – stała się dziś realna".

Europa oddycha wojną. Nadzieje na trwały pokój nie mają żadnej podstawy.

Co u nas? Jak tam nasza „klasa polityczna", nasi politycy? Pustka, żadnej refleksji – to ofiary marketingowej iluzji świata, który można prowadzić na smyczy. Zahipnotyzowani własnymi hasłami już dawno temu porzucili pojęcie rzeczywistości. A rzeczywistość dobija się do drzwi. My tymczasem: wojna, wojna! Absurdalny triumfalizm – trwa zaklinanie faktów. Cóż tam Grenlandia, niech żyje NATO! Potraktowanie Grenlandii jako „kawałka lodu", który można nabyć drogą kupna – protestuje Aaja Chemnitz, duńska posłanka reprezentująca Grenlandię – to skandal niemniejszy niż groźba użycia siły. Oto puenta transatlantyckiej solidarności: nowe oblicze sojuszu opartego na „wartościach". Przy jakim ołtarzu zapalą teraz kadzidła nasi politycy? Dobrze, że epoka otoczyła nas woalem postprawdy, bo byłby straszny wstyd.

Politycy w „demokratycznym" świecie powinni nas chronić przed szaleństwem. A tymczasem? Kanclerz Niemiec chce bronić Grenlandii przed Rosją! Nasi stratedzy kopią rowy. Nie na tym rzecz polega, porządek trzeba zrobić w ludzkich głowach, wydostać się z postrzeczywistości. Fanfaronada nie zastąpi zdolności myślenia. Uznany autorytet w sprawach geopolityki, Robert Kaplan, w najnowszej książce „Waste Land" („Ziemie jałowe") pisze, że zbyt nikła jest liczba tych, którzy myślą tragicznie, byśmy mogli uniknąć tragedii. Nie ma racji? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e1e01459e

Bułgaria: przyjście niezbawiciela

Euro przypieczętowało transformację – obywatelom odmówiono prawa głosu w fundamentalnej sprawie

Bojan Stanisławski
Korespondencja z Bułgarii

Decyzja Rumena Radewa o rezygnacji z urzędu prezydenta Bułgarii była wydarzeniem bez precedensu w najnowszej historii kraju. Radew, sprawujący funkcję głowy państwa od 2017 r., a więc przez niemal dekadę, zdecydował się ustąpić w trakcie drugiej kadencji, wiele miesięcy przed konstytucyjnym terminem zakończenia mandatu. Tuż po Nowym Roku ogłosił, że rezygnuje z funkcji i wchodzi do bezpośredniej walki politycznej o pełnię władzy wykonawczej.

19 stycznia 2026 r. Radew wygłosił specjalne telewizyjne orędzie, w którym poinformował, że to jego ostatnie wystąpienie w roli prezydenta Republiki Bułgarii. Był to moment wyczekiwany z olbrzymim napięciem, jakiego bułgarska przestrzeń publiczna nie doświadczyła od burzliwej końcówki lat 90. Wcześniej przez wiele tygodni spekulowano, czy Radew rzeczywiście zdecyduje się na ten krok, czy ograniczy się do symbolicznych gestów i bezpiecznie domknie kadencję. Jeszcze kilka godzin przed wystąpieniem dominowały wątpliwości, czy na pewno do rezygnacji dojdzie, czy Radew po prostu nie wywiesi białej flagi, rozstając się z polityką jako nieudanym eksperymentalnym okresem w generalskiej biografii.



Decyzja Rumena Radewa o rezygnacji z urzędu prezydenta była wydarzeniem bez precedensu w historii kraju.

Protest zwolenników prawicy przeciwko wprowadzeniu euro. Sofia, 22 lutego 2025 r.

Nadzieje i rozczarowania

W chwili gdy prezydent pojawił się na ekranach, Bułgaria zamarła. Ludzie przerywali codzienne zajęcia, by śledzić orędzie. W kawiarniach, restauracjach, salonach fryzjerskich i małych sklepach telewizory przyciągały wzrok wszystkich obecnych. Na głównych ulicach Sofii grupy przechodniów zatrzymywały się, by oglądać transmisję na ekranach smartfonów. Taksówkarze podkręcali głośność odbiorników, pasażerowie w komunikacji śledzili wystąpienie na swoich urządzeniach, a media społecznościowe wypełniały się westchnieniami nadziei.

W tym kontekście orędzie nabrało szczególnego ciężaru. Radew był tego świadom i choć zachował charakterystyczny dla siebie spokój, dało się dostrzec jego poruszenie i stremowanie. Zapowiedział kategorycznie, że nie zamierza wycofywać się z życia publicznego ani ograniczać do roli komentatora czy arbitra. Przeciwnie – potwierdził, że chce sprostać narastającym oczekiwaniom społecznym i aktywnie włączyć się do polityki parlamentarnej oraz zawalczyć o realny dostęp do pełni władzy wykonawczej. Jednocześnie poinformował, że następnego dnia prześle rezygnację do Trybunału Konstytucyjnego. 20 stycznia formalny wniosek rzeczywiście został złożony, a 23 stycznia Trybunał Konstytucyjny przyjął i zatwierdził rezygnację. Od tego momentu obowiązki głowy państwa przejęła dotychczasowa wiceprezydent Ilijana Jotowa.

Kilka dni później Radew udzielił długiego wywiadu w znanym telewizyjnym programie publicystycznym „Panorama". Było to wystąpienie wyczekiwane i szeroko komentowane, ponieważ Radew po raz pierwszy wprost odniósł się do swojej decyzji i jednoznacznie odrzucił narrację towarzyszącą od dekad bułgarskiej polityce: o kolejnym zbawcy, który ma zstąpić z firmamentu i rozwiązać problemy społeczeństwa.

Gest Radewa, choć oczekiwany, wymyka się standardowym kategoriom analizy politycznej. Nie był to ruch wymuszony kryzysem

eprasa.pl 4e1e01459e



konstytucyjnym ani bezpośrednią presją instytucjonalną. Mówimy o decyzji uzasadnionej odpowiedzialnością za stan państwa i jego instytucji, podjętej świadomie w sytuacji, w której Radew dysponował pełnią prerogatyw prezydenckich, wysokim poziomem zaufania społecznego oraz silną pozycją symboliczną. Zamiast domknąć kadencję w bezpiecznej roli głowy państwa, wybrał brutalną rywalizację polityczną o być może ostatnią szansę dla Bułgarii i Bułgarów.

Aby zrozumieć wagę tego kroku, trzeba go umieścić w szerszym kontekście bułgarskiej transformacji ustrojowej. Od końca lat 90. życie polityczne funkcjonuje w rytmie kolejnych „ostatnich nadziei" i rozczarowań. Każda faza kryzysu rodziła figurę zbawcy – polityka, który miał wreszcie uporządkować państwo, przywrócić normalność lub rozliczyć przeszłość. Ten mechanizm wytwarzał ogromne oczekiwania społeczne, a następnie równie głębokie frustracje, prowadząc do postępującej, obecnie graniczącej z ostateczną, erozji zaufania do instytucji i samej idei politycznej sprawczości.

Radew już na starcie próbował zerwać z tą logiką. W pierwszym wystąpieniu po rezygnacji podkreślił, że nie zamierza być kolejnym wybawcą, który obiecuje szybkie i bezbolesne rozwiązania. Zamiast tego mówił o wspólnej odpowiedzialności, o konieczności zbiorowego wysiłku i o tym, że żaden lider – nawet wyposażony w silny mandat społeczny – nie jest w stanie samodzielnie odwrócić destrukcyjnych procesów trwających od niemal 40 lat. Zapowiedział bezwzględne odsunięcie mafii od władzy i wprowadzenie „oczekiwanego przez wszystkich minimum normalności".

Dopiero w tym miejscu pojawia się pytanie, które w kolejnych tygodniach zaczęło dominować w bułgarskiej debacie publicznej: czy to początek realnej próby przełamania logiki katastrofy potransformacyjnej, czy jedynie kolejna odsłona dobrze znanego cyklu nadziei i rozczarowań.

Co na to Christow

W poszukiwaniu odpowiedzi warto się odwołać do jednego z najważniejszych i najbardziej bezkompromisowych bułgarskich intelektualistów ostatnich lat. Prof. Iwo Christow to socjolog i prawnik, wieloletni badacz bułgarskiej transformacji ustrojowej, autor licznych książek i analiz poświęconych degradacji państwowości, strukturalnej przemocy ekonomicznej oraz kryzysowi idei narodowej. Postać powszechnie rozpoznawalna i uznawana przez główny nurt za kontrowersyjną, otwarcie zwalczana przez środowiska antykomunistycznej inteligencji, które Christow określa z kolei mianem „szkodliwej sofijskiej sekty". Charakteryzuje go radykalizm formułowanych diagnoz, ale także bezlitosna konsekwencja, z jaką od lat nazywa po imieniu mechanizmy rządzące bułgarskim życiem publicznym. Mówi wprost o kolonialnej peryferyjności, oligarchicznym modelu władzy, instytucjonalnym przechwyceniu państwa przez przestępczość zorganizowaną, o społeczeństwie zredukowanym do masy biernych obserwatorów własnego upadku. W przeszłości Christow był posłem do parlamentu z list Bułgarskiej Partii Socjalistycznej (nigdy formalnie nie był z nią związany), dziś funkcjonuje jako niezależny komentator, stojący w opozycji do całego potransformacyjnego establishmentu.

Profesor opisuje krok Radewa jako skrajnie ryzykowny, wręcz niebezpieczny, ale zarazem jedyny możliwy w obecnych warunkach, mający jeszcze jakikolwiek sens.

Po zaledwie miesiącu funkcjonowania euro ceny podstawowych produktów – z chlebem na czele – wzrosły nawet o 30%.

Zdaniem socjologa Radew świadomie schodzi z instytucjonalnego szczytu – z pozycji prezydenta obdarzonego symbolicznym autorytetem i cieszącego się względnym bezpieczeństwem – co ewidentnie nie jest aktem ambicji, lecz odpowiedzią na „totalny rozkład instytucji i systemu państwa, erozję ustrojową oraz przerażającą socjalno-kulturową degradację, wszechogarniającą destrukcję i prymitywizm". W ten sposób Christow wyraził się w programie „Bez obaw", prowadzonym przez Wasiła Wasilewa.

Według diagnoz Christowa Bułgaria nie jest po prostu krajem „źle rządzonym" ani „niedorozwiniętą demokracją", jak przyjęło się mówić, lecz systemem głęboko zniekształconym,

FOT. SHUTTERSTOCK, HRISTO VLADEV/ANADOLU/ABACAPRESS.COM/EAST NEWS

eprasa.pl 4e1e01459e

w którym oligarchiczny model władzy stał się głęboko utrwaloną normą.

„Model ten nie tylko blokuje jakikolwiek ewentualny rozwój, ale również systematycznie niszczy podstawowe instytucje i funkcje państwa. Sądownictwo przestało gwarantować elementarną sprawiedliwość, system ochrony zdrowia produkuje coraz większe nierówności i coraz bardziej chore społeczeństwo, a obecny system edukacji wytwarza patologiczną biomasę funkcjonalnych analfabetów. W takim kontekście opowieści o reformach brzmią jak słaby żart, a oczekiwanie stabilności to oczywiste złudzenie", konstatuje profesor.

Jednocześnie z aprobatą i ulgą komentuje stanowcze odrzucenie przez Radewa roli kolejnego zbawcy: „Bułgarskie społeczeństwo zostało przez dekady wychowane w logice oczekiwania na cud – na lidera, który załatwi sprawę, odwróci bieg historii i zdejmie z obywateli ciężar odpowiedzialności. Radew, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, jasno mówi, że nie zamierza znosić praw fizyki ani historii. Nie obiecuje cudów, proponuje wielki wspólny wysiłek, wspólną próbę ratowania tego, co jeszcze da się uratować". I w tym Christow widzi zasadniczą różnicę: nie w obietnicy zbawienia, lecz w brutalnym uświadomieniu skali katastrofy.

Należy jednak wyraźnie wskazać, że realistyczne podejście Radewa nie oznacza, iż stawka jest mniejsza. Przeciwnie – to być może ostatni moment, w którym jakakolwiek próba zrzucenia jarzma transformacji ma sens. Radew wkracza bowiem w przestrzeń nierównej walki, którą musi wygrać. Wszyscy będą przeciwko niemu: zmęczona, ale wciąż groźna mafia polityczno-biznesowa, aparat medialny, oportunistyczne elity oraz ich międzynarodowi kuratorzy – niemieccy konserwatyści, przede wszystkim skupieni wokół Europejskiej Partii Ludowej. Zresztą Radew decyduje się działać właśnie dlatego, że Unia Europejska, w obecnym stanie wewnętrznego kryzysu i tożsamościowo-politycznego nieporozumienia, nie potrafi skutecznie wesprzeć swoich faworytów.

Dla bułgarskiej oligarchii zbliżająca się kampania przed kwietniowymi wyborami do Zgromadzenia Narodowego będzie brutalną wojną o przetrwanie, dla społeczeństwa zaś – ostatecznym testem zdolności do zbiorowego działania w okolicznościach ostatecznych.

> To nie jest „źle rządzony" kraj, lecz głęboko zniekształcony system z oligarchicznym modelem władzy.

W koronie euro

Pierwszym sprawdzianem nowego projektu politycznego Radewa będzie kwestia narastającego kryzysu wynikającego z przyłączenia Bułgarii do strefy euro od początku bieżącego roku. Decyzja ta została podjęta wbrew wyraźnemu sprzeciwowi znaczącej większości społeczeństwa i mimo ostrzeżeń przed skutkami ekonomicznymi takiego ruchu. W dodatku bez referendum, mimo wielokrotnych apeli Radewa o jego przeprowadzenie. Mało tego – złożony przez niego 12 maja 2025 r. oficjalny wniosek o referendum został zwrócony przez ówczesną przewodniczącą Zgromadzenia Narodowego Natalję Kiselową, co stanowiło ewidentne podeptanie konstytucji. Kiselowa odmówiła włączenia prezydenckiego wniosku do porządku obrad, argumentując, że jest on niezgodny z traktatami ratyfikowanymi przez parlament. Nie miała jednak prawa odrzucić wniosku, nie leżało też w jej kompetencjach wydawanie ocen dotyczących jego ewentualnych wad prawnych. O takich sprawach może się wypowiadać wyłącznie bułgarski Sąd Konstytucyjny. Parlament miał obowiązek przeprowadzić debatę i głosowanie.

Euro jest więc faktem dokonanym. Protesty przeciwko wprowadzeniu wspólnej waluty były liczne i masowe, ale całkowicie zignorowane. Tym samym euro stało się symbolicznym przypieczętowaniem bułgarskiej transformacji – obywatelom odmówiono demokratycznego prawa głosu w fundamentalnej dla nich sprawie, a na wszechogarniającą biedę i korupcję nałożono koronę w postaci europejskiej waluty, opowiadając żenujące dykteryjki o tym, że Bułgaria „przystąpiła do klubu bogatych".

„Pierwsze skutki tej decyzji są już widoczne. Po zaledwie miesiącu funkcjonowania euro ceny podstawowych produktów – z chlebem na czele – wzrosły nawet o 30%. To dopiero początek zjawiska, które większość analityków określa mianem wtórnej pauperyzacji: gwałtownego spadku realnych dochodów, szczególnie wśród emerytów, najgorzej zarabiających pracowników najemnych i mieszkańców prowincji. W bułgarskich warunkach grozi to jednak nie tylko dalszym zubożeniem, lecz także wtórną demoralizacją społeczną – zanikiem resztek zaufania, solidarności i poczucia sensu wspólnotowego", komentuje Wania Grigorowa, ekspertka ekonomiczna, była działaczka związkowa, obecnie sofijska radna.

> Protesty przeciwko wprowadzeniu wspólnej waluty były liczne i masowe, lecz całkowicie je zignorowano.

Rozpędzający się kryzys związany z euro jest pierwszym problemem, z którym Radew musi się zmierzyć, i właśnie na tym polu rozstrzygnie się, czy jego projekt polityczny jest w stanie sprostać wyzwaniom, czy zostanie zmiażdżony. Eksprezydent wkracza na pole minowe, konfrontując się z zadaniami wymagającymi rozwiązania „na wczoraj". Euro nie jest więc tylko kwestią monetarną, będzie dla Radewa testem zdolności do realnego sprawowania władzy w warunkach politycznie wrogich i kryzysowych ekonomicznie.

Bojan Stanisławski

eprasa.pl 4e1e01459e



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Od hegemonii do patostreamingu

Od wejścia Trumpa do realnej polityki trwa nieprzerwanie telenowela, w której USA mogą się przejrzeć, zobaczyć agonię swojej hegemonii jako farsę. Zarówno dla milionów Amerykanów i Amerykanek, jak i choćby dla Europy emitowany dzień po dniu real-sitcom z Donaldem Trumpem w roli najgłówniejszej z głównych musi być jak koszmarny sen. Funkcjonowanie Trumpa jest zaiste pozaintelektualnym stand-upem o wulgarności władzy absolutnej, o jej grafomańskim przesłaniu, o czymś, co można by nazwać uświęconym kretynizmem. Dla tych, którzy z racji swoich interesów wciąż próbują nas przekonać, że mamy do czynienia z demokratycznie wybranym prezydentem mocarstwa jądrowego i militarnego, więc po prostu należy się dostosować i grać według jego nut, ważna jest „autentyczność" samej postaci Trumpa. Cóż, Trump jest sobą i wyłącznie sobą, na tym polega całe nieszczęście tej persony. Kiedy zderzamy się z ogromem infantylizmu i groteskowości tego przedstawienia jednego aktora, musimy się przyznać do czegoś w rodzaju porażki, nasza wyobraźnia nie pomieściła takiej figury na politycznej szachownicy świata. Kiedyś rozmawiałem ze swoimi studentami o fenomenie polskiego patostreamera i zapytałem ich, o co chodzi, skąd jego sława przekładająca się na gigantyczne zarobki. Usłyszałem, że sławę zdobył, rozpalając ognisko w swoim mieszkaniu. A dalej poszło samo.

Sława goni sławę i sławą pogania. Kiedy słucham tłumaczeń i prób racjonalizowania aktywności Trumpa, mam nieodparte wrażenie, że to ten sam przypadek. Być może kiedyś badacze dotrą do dokumentów i uda im się odtworzyć historię tego, jak USA nie potrafiły skutecznie przeciąć drogi po globalną władzę marnej kreaturze z dziesiątkami zarzutów – a innych wciąż mu nie postawiono, lecz powoli, wraz z ujawnieniem milionów dokumentów w tzw. sprawie Epsteina, kruszeje kultura milczenia, tuszowania i wyparcia. Sam Trump przyjmuje rzecz jasna strategię obrony przez atak i zaczyna nazywać siebie ofiarą dawnego przyjaciela. Istota tych przestępstw, zbrodni i skala przemocy seksualnej funkcjonującej systemowo, epsteinowskiej „republiki seksu, władzy i pieniędzy", a w konsekwencji ogrom krzywd wyrządzonych dzieciom, schodzą dziś na dalszy plan. I zadziwiające jest obserwowanie, że rośnie jak na drożdżach spekulacji politycznych próba powiązania działań Epsteina z wywiadem jednego państwa. Rosji. Tropy oczywiste, jak wywiad izraelski (Epstein miał izraelskie obywatelstwo i paszport) czy amerykański, nie są dogłębnie śledzone.

Daleko nie trzeba szukać – dołożył do tego cegiełkę Donald Tusk, a jego fraza, że skandal epsteinowskich pedofilów mógł być „współorganizowany przez rosyjskie służby wywiadowcze", poszła szeroko w świat. Na jakiej podstawie? Nie nam wiedzieć. Pojawiły się także interpretacje, że Epstein tak naprawdę nie był jakimś agentem którychś służb specjalnych, tylko faktycznie sam stworzył nieformalną, samodzielną agencję wywiadowczą, taki biznes oparty na zbieraniu haków, kompromitujących nagrań jak największej grupy osób posiadających czy to realną ogromną władzę, czy nieformalną, opartą na wielomiliardowych majątkach, a wszystko w celebryckiej oprawie, bo „show must go on".

Spektakl Trumpa, który w ostatnich dniach ogłosił, że chce, aby powstające lotnisko pod Nowym Jorkiem i stacja kolejowa w samym Nowym Jorku zostały nazwane jego imieniem, skutecznie odciąga naszą uwagę od amerykańskich wysiłków zmierzających do przemeblowania nie tylko samych USA czy Europy (w tym Polski) na nową, skrajnie konserwatywną, militarystyczną modłę opartą na stosunkach podległości wasalnej. Tu dopiero widać, jaką rolę w tym cyrku odgrywają obecny i poprzedni prezydent Polski. Bierność i uległość dające dostęp do fruktów z trumpowskiego stołu.

Czy krytyczna reakcja marszałka Czarzastego na apele o wsparcie kandydatury Trumpa w wyścigu po pokojowego Nobla wystarczy? Raczej nie. Chociaż wielki jest tupet ambasadora USA w Polsce Toma Rose'a, który ogłosił: „Od dziś nie będziemy już utrzymywać kontaktów ani komunikować się z Marszałkiem Sejmu Włodzimierzem Czarzastym, którego oburzające i nieuzasadnione obelgi pod adresem prezydenta Trumpa stały się poważną przeszkodą dla naszych doskonałych relacji z premierem Tuskiem i jego rządem. Nie pozwolimy nikomu szkodzić stosunkom polsko-amerykańskim ani okazywać braku szacunku Donaldowi Trumpowi, który tak wiele uczynił dla Polski i narodu polskiego".

Za chwilę przyjdzie nam się mierzyć z próbami nazwania Księżyca, a co tam, Słońca, a potem całego Układu Słonecznego, imieniem człowieka, który w swoich imaginacjach zapobiegł ostatnio trzem wojnom nuklearnym. Satyra i wyobraźnia już nie nadążają. Może światło nazwać falami Trumpa? Prezydent Nawrocki z całą pewnością to poprze.

Polacy i Polki w 60% bardzo źle oceniają prezydenturę Trumpa. Włodzimierz Czarzasty poszedł za tym głosem. Mocno i zauważalnie, również na świecie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e1e01459e

Droga na subkontynent

Umowa między największymi demokratycznymi obszarami świata nie zachwyca Donalda Trumpa



Wiceprezydent Indii Chandrapuram Ponnusami Radhakrishnan, przewodniczący Rady Europejskiej António Costa, premier Narendra Modi i przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, New Delhi, 24 stycznia 2026 r.

Mateusz Mazzini

Po raz pierwszy o utworzeniu strefy wolnego handlu, która dzisiaj obejmuje 1,9 mld mieszkańców, obie strony zaczęły dyskutować w 2007 r. Świat był wówczas inaczej umeblowany i znaczenia umowy popisanej pod koniec stycznia br. nie da się zrozumieć bez krótkiego powrotu do przeszłości.

Dwie dekady rozmów

Unia Europejska była wtedy najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie stosunków międzynarodowych, z gospodarką równą Stanom Zjednoczonym, niezachwianymi normami demokracji i ochrony praw człowieka oraz pod każdym względem różową przyszłością obywateli. Na Starym Kontynencie panowało przekonanie, że to raczej reszta świata powinna zabiegać o względy Europejczyków, a nie odwrotnie. Ci z kolei mogli łaskawie spojrzeć na oferty krajów globalnego Południa, ale tylko na własnych warunkach.

Druga strona tego równania też wyglądała inaczej niż dziś. Indie nie były jeszcze najludniejszym krajem świata ani nie dominował w nich agresywny, nacjonalistyczny, miejscami przesycony przemocą populizm. Początek rozmów między Brukselą a New Delhi miał miejsce w świecie przed Trumpem, Orbánem, Modim, brexitem czy eksplozją mediów społecznościowych. Świecie, dodajmy, znacznie bardziej przewidywalnym, w którym istniało jeszcze paliwo napędzające optymizm czasów „końca historii" i prognoz Francisa Fukuyamy.

Dwie dekady później na wielu płaszczyznach uprawiania polityki role całkowicie się odwróciły. Indie mają największy na świecie rynek wewnętrzny, dynamiczną i wciąż rosnącą klasę średnią, niskie koszty pracy, dostęp do relatywnie taniej energii. Mają również premiera, który swoje przywództwo postrzega w kategoriach cywilizacyjnych, a nie jedynie politycznych. Narendra Modi nie mówi nawet po angielsku, o czym często przypomina oksfordzki historyk i podcaster Tom Holland, autor

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/KOMISJA EUROPEJSKA

eprasa.pl 4e1e01459e

książki o historii chrześcijaństwa „Dominion". Nie mówi nie dlatego, że jest niekompetentny – on po prostu nie musi, co samo w sobie jest wyznacznikiem zmiany w myśleniu, jaka zaszła wśród tamtejszych elit. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że Indie dzisiaj nie zamierzają zginać karku przed nikim, nawet przed Stanami Zjednoczonymi.

Z kolei Unia Europejska desperacko potrzebuje dwóch rzeczy: dywersyfikacji partnerów w strategicznych obszarach, takich jak handel i bezpieczeństwo, oraz wzmocnienia pozycji geopolitycznej. Próba siłowego zwasalizowania Wspólnoty przez Donalda Trumpa i jego ruch MAGA, grożąca nawet naruszeniem suwerenności i integralności terytorialnej Danii, wybudziła europejskich przywódców z trwającego od 1989 r. letargu strategicznego. Co samo w sobie jest ciekawe, bo rok szantaży ze strony Trumpa był bardziej skuteczny niż prawie dwie dekady mniej lub bardziej intensywnych ataków na Europę przeprowadzanych przez Władimira Putina. Nic lepiej nie ilustruje priorytetów i punktów odniesienia europejskiej klasy politycznej niż szybkość reakcji na zagrożenia zewnętrzne. Oraz to, skąd one pochodzą.

Nagle więc brukselscy urzędnicy, razem z obudowującą ich codzienną pracę bańką ekspertów, analityków i komentatorów, przypomnieli sobie o tym, o czym np. Rosja – nie mówiąc o Chinach – doskonale wie od lat. Że poza północnym Atlantykiem też jest życie, i to całkiem bogate.

Dobrze zilustrowała to już w marcu 2025 r. uwaga prezydent Meksyku Claudii Sheinbaum o tym, że Trump może zbudować na południowej granicy USA mur i po jego wewnętrznej stronie znajdzie się 340 mln obywateli, ale po drugiej pozostanie 7,5 mld ludzi, którzy Ameryce wcale nie muszą być przychylni. Od lat ci ludzie łączą się w różne sojusze, od ideologicznych przez handlowe po militarne. ALBA, multilateralna antykapitalistyczna struktura Hugona Cháveza, to w zasadzie trup i może nie ma co o niej wspominać, za to BRICS jest najjaskrawszym przykładem takiej współpracy.

Coraz częściej, zwłaszcza na globalnym Południu, ma ona inny charakter niż tradycyjne sojusze demokratyczne z półkuli północnej. Jest nieformalna, przebiega poza instytucjami albo bez ich tworzenia, opiera się na wspólnocie interesów sektorowych. Krótko mówiąc, jest bardziej elastyczna – i właśnie elastyczności, a nie sztywnych ram ideologicznych, dziś wymaga. Być może dlatego wszystko, co przez ostatnie kilkanaście lat działo się w takich miejscach jak Ameryka Łacińska, Azja czy Afryka, przebiegało bez udziału Unii Europejskiej.

Sprzeczności się łączą

W pewnym sensie zamknięcie negocjacji UE z Indiami zostało przyśpieszone i wymuszone przez warunki zewnętrzne. Z politycznego punktu widzenia dowodzi to, że jednak w Brukseli nastąpiła rewolucja w myśleniu, bo powoli odchodzi się tam od doktrynerstwa. Nazywając rzeczy po imieniu, robienie interesów z krajami, które może nie do końca podzielają europejską wizję świata, przestaje śmierdzieć już nawet oficjalnie.

Ten stan rzeczy na czynniki pierwsze już w 2023 r. rozłożyła na łamach magazynu „Foreign Affairs" Oriana Skylar Mastro, wykładowczyni Uniwersytetu Stanforda, była żołnierka służąca w amerykańskich siłach powietrznych. Mastro zauważyła, że BRICS jest dobrym przykładem nowej formy współpracy między państwami, bo zawiera sprzeczności, a jednocześnie nieustannie się rozwija. W gronie państw założycielskich znalazły się bowiem komunistyczne Chiny, autokratyczna Rosja, demokratyczne Indie i Brazylia, kraj nie tylko demokratyczny, ale też bardzo liberalny. Taki rozstrzał ustrojowy nie przeszkadzał przywódcom w zacieśnianiu współpracy. Problemem nie były nawet różne punkty odniesienia w handlu i gospodarce. Republika Południowej Afryki jest politycznie bardzo antyzachodnia, ale już tamtejsze elity biznesowe są zorientowane głównie na rynki europejskie, a w nieco mniejszym stopniu na rynek amerykański.

Podobnie Indie, które regularnie łamią prawa mniejszości, zwłaszcza religijnych, ale gospodarczo chciałyby zbliżyć się do Zachodu, żeby uniknąć dominacji Chin. Zdaniem Skylar Mastro wszystko to jest możliwe właśnie dzięki brakowi sztywnych ram instytucjonalnych, nadmiarowych procedur i przywiązania do górnolotnych idei, które czasami dominują nad realnym interesem narodowym. W czasach – jak nazwał to w Davos Mark Carney – „realizmu opartego na zasadach" trzeba być bardziej pragmatycznym. I tego od Indii (ale nie tylko od nich) może się nauczyć Unia Europejska.

Indie mają największy na świecie rynek wewnętrzny, rosnącą klasę średnią, niskie koszty pracy i dostęp do taniej energii.

Szczegóły umowy o wolnym handlu nie zostały jeszcze w całości upublicznione, lecz wiadomo, że obejmie ona 96% wszystkich towarów, które są wymieniane pomiędzy Indiami i wspólnym rynkiem europejskim. Kluczowy jest fakt uwzględnienia w porozumieniu produktów spożywczych, zwłaszcza z punktu widzenia Indii. Tradycyjnie bowiem był to kraj hołdujący zasadom protekcjonizmu, chroniący swój rynek wewnętrzny, szczególnie w produkcji żywności.

Ten sektor ma wymiar symboliczny, bo indyjskie rolnictwo rozwijane było w duchu kolektywnym, bardziej socjalistycznym niż wolnorynkowym, nie mówiąc o kwestiach religijnych, które są w tym kraju równie ważne jak rachunek ekonomiczny. Wpuszczenie produktów z Europy, zwłaszcza stanowiących bezpośrednią konkurencję dla lokalnych producentów, jest olbrzymim przełomem.

Na ile rzeczywiście wzmocni to pozycję UE wobec Chin, Rosji i USA, czas pokaże, choć wiadomo, że jest to ruch w dobrą stronę. A potwierdza

eprasa.pl 4e1e01459e

to chociażby reakcja Donalda Trumpa, która pokazuje, że w Waszyngtonie porozumienie z Brukselą nie pozostało niezauważone. W poniedziałek 2 lutego Agencja Reutera zacytowała wpis Trumpa z jego platformy Truth Social, w którym ogłosił, że premier Modi po rozmowie z nim miał się zgodzić na wstrzymanie przez jego kraj procederu kupowania taniej ropy od Rosji. Do momentu oddania tego tekstu do redakcji informacja nie została jeszcze potwierdzona przez stronę indyjską, tak samo jak druga część tej wypowiedzi – że Indie zgodziły się pracować na rzecz „całkowitego wyeliminowania wzajemnych ceł" w handlu z USA. Już sama gotowość do odcięcia się od rosyjskiej ropy miała jednak nakłonić Trumpa do redukcji ceł na indyjskie produkty z 50% do 18%. Natychmiast po publikacji tego wpisu europejscy komentatorzy, zwłaszcza prawicowi, zaczęli wychwalać prezydenta USA, mówiąc, że w ten sposób dławi gospodarkę Rosji i machinę wojenną Putina. Prawda jest jednak bardziej skomplikowana.

Warto robić interesy z Indiami

James Crabtree, były dziennikarz „The Financial Times", dziś analityk Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (ECFR), mówi „Przeglądowi", że uderzenie w Rosję to co najwyżej skutek uboczny działań Trumpa. Ważniejsza jest chęć osobistego wzbogacenia się, bo Amerykanie próbują przekonać rząd w New Delhi do zastąpienia rosyjskiej ropy wenezuelską, która teraz znajduje się pod kuratelą Białego Domu. Oczywiste jest, że Trump nie ma żadnego umocowania prawnego, aby decydować o losach wenezuelskich zasobów. Zarówno z punktu widzenia prawa międzynarodowego, jak i zwykłej moralności surowce pozostają własnością Wenezuelczyków i to oni powinni móc wskazywać ich ewentualnych odbiorców. Im więcej czasu mija jednak od interwencji w Caracas z początku stycznia, tym klarowniejsze stają się amerykańskie intencje. Co nie zmienia faktu, że Trump ewidentnie przypomniał sobie, że z Indiami warto robić interesy.

Crabtree twierdzi mimo wszystko, że decyzja Trumpa o redukcji ceł, jeśli rzeczywiście się zmaterializuje, jest dość zagadkowa. „Nowa umowa handlowa między USA a Indiami zawierałaby dokładnie te same parametry, które leżą na stole negocjacyjnym od roku. Wcześniej Trump nie był zainteresowany finalizowaniem porozumienia, więc coś musiało się zmienić. Być może pomógł Sergio Gor, nowy ambasador USA w New Delhi. Ale lekka frustracja z powodu porozumienia Indii z Unią Europejską też nie zaszkodziła", konkluduje analityk.

Wydarzenia kolejnych dni jedynie potwierdzają trend rosnącego pragmatyzmu w stosunkach międzynarodowych i wskazują, że Europa będzie szukać partnerów wszędzie, gdzie to możliwe.

Wpuszczenie produktów z Europy, zwłaszcza stanowiących konkurencję dla lokalnych producentów, jest przełomem w Indiach.

Niedługo po ogłoszeniu podpisania umowy z Indiami australijska cyfrowa gazeta „The Nightly" ujawniła, że zaraz po zaplanowanej na początek lutego Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen uda się na antypody, żeby sfinalizować kolejną „megaumowę", tym razem dotyczącą partnerstwa Unii z Australią – nie tylko w obszarze wolnego handlu, ale także współpracy w kwestiach bezpieczeństwa. Oznaczałoby to zamknięcie kolejnego etapu. Rozmowy o umowie bilateralnej z Canberrą były zawieszone od 2009 r., a żadna strona nie miała woli politycznej, żeby pchnąć je do przodu.

Trudno nie przypisać zasługi, jeśli chodzi o tę opóźnioną dywersyfikację europejskich partnerstw, właśnie administracji Trumpa, co do której charakteru mało kto ma w Europie wątpliwości. Amerykanie mogą być selektywnym partnerem, gotowym sprzedawać technologię czy uzbrojenie, ale na pewno nie będą sojusznikiem ideologicznym, który dzieliłby z Europą całościową wizję rzeczywistości. Otwarte jednak pozostaje pytanie, czy taką wizję w ogóle jeszcze warto z kimś współdzielić. Bo jeśli z porozumienia pomiędzy Indiami a UE płynie jakakolwiek lekcja, to mówi ona o powrocie do „prawdziwych" bądź „klasycznych" stosunków międzynarodowych.

Na łamach magazynu „The Bulwark" te kwestie wyjaśnił Robert Kagan, amerykański konserwatywny dyplomata i analityk. Kagan przypomniał, że wielostronne pokojowe współistnienie narodów jest wymysłem świata powojennego, a więc relatywnie nowym wynalazkiem w historii państw narodowych. Przed 1945 r. relacje międzypaństwowe były znacznie bardziej zmienne. Jednego roku ustalało się sojusz z jakimś partnerem, a rok później partner ten stawał się wrogiem, bo zmieniały się interesy i kalkulacja strategiczna. Ale nikt nikomu nie miał tego za złe, bo wszyscy rozumieli zasady gry. Na naszych oczach ta stara, zapomniana już gra wraca na salony. A razem z nią mapa, która rzeczywiście pokazuje cały świat, a nie tylko jego północny wycinek.

UE potrzebuje dywersyfikacji partnerów w strategicznych obszarach i wzmocnienia pozycji geopolitycznej.

W 1924 r. brytyjski pisarz Edward Forster opublikował wybitną powieść „Droga do Indii", opisującą narodziny indyjskiego ruchu narodowowyzwoleńczego i walkę z imperialną dominacją. Sto lat później Europa najwyraźniej wróciła do tego tytułu. Oby nie za późno.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 4e1e01459e

Kapitalizm i realizm



Andrzej Szahaj

Małe ojczyzny, wielkie miłości

Leciałem z Bydgoszczy w świat. W taksówce na lotnisko zaczęła się rozmowa o mieście nad Brdą. Moim rodzinnym. Rzadko sięgam myślą do dzieciństwa, ale ta rozmowa uruchomiła mechanizm wspomnień. A ponieważ dotyczyła też miejscowego języka, zacząłem sobie przypominać gwarę bydgoską, to, jak mówiłem nią jako dziecko i jak posługiwali się nią moi koledzy, a także moja matka, która rozmawiała w niej z sąsiadkami, aby zaraz potem przejść na literacką polszczyznę w rozmowie ze mną czy z moim ojcem. Grając w piłkę nożną, nigdy nie strzelaliśmy karnego, tylko zawsze elwę. Do szkoły dostawaliśmy sznytki, a nie kanapki. W cukierni kupowaliśmy sznekę z glansem, a nie drożdżówkę z dżemem. Odśnieżaliśmy ulicę szypą, nie łopatą. Ogródek podlewaliśmy szlauchem, a nie wężem. Zamiast „tak" mówiliśmy często „ja". Szukaliśmy wichajstra, a nie narzędzia, żeby coś naprawić. Łatwo zauważyć, że były to wpływy języka niemieckiego, wszak Niemców mieszkało onegdaj w Bydgoszczy bardzo wielu. Pamiętam wielkiego historyka niemieckiego Reinharta Kosellecka, z którym kiedyś się zaprzyjaźniłem – nieomal zapłakał na wieść, że jestem z Brombergu. Z Bydgoszczą związany był wspomnieniami.

Jesteśmy różni także dlatego, że różne są nasze małe ojczyzny.

Gdy z kolei poszedłem na studia do Poznania, przeżyłem szok z powodu innego języka Poznaniaków, a przede wszystkim ich silnego zaśpiewu (mogę mówić z tym akcentem godzinami, bardzo go lubię). To tam nauczyłem się używać na początku zdania sławnego „tej", jeździć bimbą, nie tramwajem, banem, a nie pociągiem, i mówić o lokalnym klubie piłkarskim Kolejorz, a nie żaden Lech. Szybko zrozumiałem, że fraza „dej zajarać" znaczy „daj zapalić", a „tej, co się tak lyrasz?" – „ty, co się tak lenisz?". „Łejera" zaś to po prostu wyraz zdziwienia. A powiedzenie o kimś „szczunder frechowany" (bezczelny gówniarz) jest tak samo obraźliwe w Poznaniu, jak było w Bydgoszczy. Na zajęciach z filozofii kultury poświęconych językowi jako najważniejszemu jej składnikowi przez lata prosiłem studentów, aby rozszyfrowywali zdanie: „W antrejce na ryczce stały pyry w tytce". Z reguły mieli kłopoty ze wszystkimi wyrazami z wyjątkiem pyr (a wy, drodzy Czytelnicy, jak sobie radzicie?). Wszyscy wszak w Polsce wiedzą, że w Poznaniu ziemniaki to pyry.

Z kolei gdy 35 lat temu przeprowadziłem się do Torunia, od razu uderzyło mnie sławne toruńskie „jo", czasem z dodatkiem „ni" („jo, ni"). I pamiętam, jak kiedyś, lecąc gdzieś w Stanach, nagle w tłumie usłyszałem to „jo". Pomyślałem: nasi tu są. Odwiedzając zaś polski sklep w Kalifornii, wdałem się w rozmowę z właścicielem, który, jak się okazało, też jest z Bydgoszczy. Licytowaliśmy się, kto się urodził w gorszej dzielnicy (ja na Szwederowie, on na Okolu; Bydgoszczanie wiedzą, o co chodzi i że Szwederowa w tej konkurencji nic nie przebije).

Piszę o tym wszystkim z sentymentem. W gruncie rzeczy bowiem to te małe ojczyzny z ich specyficznymi językami są światem, który nas kształtuje. A że jest ich dużo, to być może dlatego mamy czasami kłopoty, żeby się porozumieć i zrozumieć. I gdy patrzę na Polskę, widzę coś, co jest oczywiste, choć często ignorowane: jesteśmy różni nie tylko dlatego, że mamy różne światopoglądy, zapatrywania polityczne, ale także dlatego, że różne są nasze małe ojczyzny. Czasami mam wrażenie, że tworzą one światy same dla siebie i ludzie z zewnątrz nie mają szans w pełni ich zrozumieć. Takie mam odczucie, gdy jestem w Warszawie, Krakowie czy Lublinie (nawiasem mówiąc, dlaczego w Krakowie wychodzi się na pole, a nie na podwórko?).

Ta różnorodność to nasze bogactwo. Warto je pielęgnować, również w sztuce. I tu przychodzi mi do głowy wspaniała powieść Jerzego Sulimy-Kamińskiego „Most Królowej Jadwigi", napisana gwarą bydgoską. Nie wiem, czy jest jakaś napisana gwarą poznańską. Oby była. W każdym razie w czasach moich studiów obok wspaniałych poetów poznańskich, takich jak Barańczak, Krynicki czy Iłłakowiczówna, aktywny był też miejscowy grafoman, który co prawda nie pisał gwarą poznańską, ale co roku wypuszczał tomik, a frazę z jednego wiersza powtarzaliśmy z przyjaciółmi ze studiów z wielkim uwielbieniem: „Każda gwiazda, co w niebie miga, przypomina jej jego Miga". Wspominam go z równym sentymentem jak Barańczaka, konspiracyjnie wykładającego w 1978 r. w piwnicy poznańskiego domku na ulicy Swoboda 44, gdzie mieszkałem (czy to nie jest piękny adres?).

Odwiedzając Poznań, zawsze już będę się rozglądał za 19-latkiem, który szukał swojego miejsca na ziemi w tym specjalnym mieście. Spędzał godziny w legendarnych kinach Apollo, Muza i Rialto (o dziwo, wciąż istnieją!). Bawił się w Restauracji Botaniczna na Ogrodach i bywał nader często w Kociaku (hej, Poznaniacy, pamiętacie starego Kociaka?). A gdy miał naprawdę dużo pieniędzy, szedł na obiad do Smakosza na ówczesnej ulicy Czerwonej Armii, dziś Święty Marcin. Gdzie jest ten chłopak? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e1e01459e

Mycie mózgów młodym Australijczykom

Media społecznościowe zakazane dla nastolatków

Zuzanna Muszyńska



14-letnia Amy z Sydney zaczęła korzystać ze Snapchata, gdy miała 12 lat. Po szkole pisała do przyjaciół, wysyłała im „snapa", by zachować „streak". Streaki to cecha aplikacji Snapchat uważana za bardzo uzależniającą – nakłania parę użytkowników do wysyłania sobie codziennie co najmniej jednego zdjęcia lub filmiku. Nagrodą za trzydniowy streak jest emotka ognia, za sto dni – „100", a za tysiącdniową serię specjalne trofeum.

10 grudnia 2025 r. Amy, podobnie jak większość australijskich nastolatków poniżej 16. roku życia, obudziła się bez dostępu do aplikacji. W pierwszych dniach obowiązywania nowego prawa, zabraniającego małoletnim korzystania z wybranych mediów społecznościowych, odczuwała skutki odstawienia mediów online, od których była uzależniona. Wiedziała, że nie może korzystać ze Snapchata, ale z przyzwyczajenia co rano otwierała aplikację, by zobaczyć kolejny raz, że konto zostało zablokowane. Opisała to w swoim dzienniku opublikowanym przez portal BBC. Czwartego dnia Amy zauważyła, że, owszem, jest jej smutno, ponieważ nie może wysłać snapa przyjaciołom, ale przecież piszą do siebie na innych platformach. Po jeszcze kilku dniach, mając więcej czasu dla siebie, spróbowała biegania. Po miesiącu zauważyła, że jej nawyki się zmieniają. Zwykle po wejściu w Snapchata, którego włączała kilka razy dziennie, sprawdzała też TikToka i Instagram – traciła poczucie czasu i, jak napisała, „dawała się złapać algorytmowi".

Już tego nie robi. Po telefon sięga wtedy, kiedy czegoś bardzo potrzebuje. 14-latka twierdzi, że czuje się wolna po raz pierwszy od lat.

Australia mówi dość

Australijski parlament przegłosował nowe prawo rok wcześniej, jako jedną z regulacji funkcjonowania big techów (inne dotyczą m.in. obowiązku dzielenia się z autorami treści dziennikarskich zyskiem z reklam). Decyzja Canberry jest odpowiedzią na narastające problemy z cyberprzemocą, groomingiem (podstępnym nawiązywaniem więzi emocjonalnej, zaprzyjaźnianiem się z dzieckiem, by wykorzystać je seksualnie) oraz negatywnym wpływem social mediów na zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży.

Firmy technologiczne miały rok, by do zmiany zasad się przygotować. Rząd zobowiązał je do podjęcia „racjonalnych kroków" mających uniemożliwić młodym ludziom poniżej 16. roku życia zakładanie nowych kont na portalach społecznościowych i zablokować dostęp do kont

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4e1e01459e

utworzonych wcześniej. Na początek prawo objęło 10 platform: Facebook, Instagram, TikTok, YouTube, Kick, Reddit, Snapchat, Threads, Twitch i X. Na pozostałe przyjdzie kolej.

Australia jest pierwszym krajem, który odmawia uchylenia zakazu za zgodą rodziców – wraz z wyższym limitem wieku czyni to jej prawo najsurowszym na świecie. Za poważne lub powtarzające się jego naruszenia firmom technologicznym grożą niemałe kary finansowe, sięgające 49,5 mln dol. australijskich, czyli ok. 33 mln dol. amerykańskich. Nie dość jednak wysokie, bo, jak powiedział agencji Australian Associated Press były dyrektor wykonawczy Facebooka Stephen Scheeler, „zarobienie 50 mln dol. zajmuje Mecie (właścicielowi Facebooka i Instagrama – przyp. autorka) godzinę i 52 minuty". Rodzice i dzieci nie będą karani za naruszenie zakazu.

96% dzieci w wieku 10-15 lat korzysta z mediów społecznościowych, a siedmioro na dziesięcioro jest narażonych na szkodliwe treści.

Badania, które zlecił rząd australijski, wykazały, że 96% dzieci w wieku 10-15 lat korzysta z mediów społecznościowych, a siedmioro na dziesięcioro jest narażonych na szkodliwe treści, w tym materiały mizoginiczne i brutalne, a także treści promujące zaburzenia odżywiania i samobójstwa. Co siódmy ankietowany zgłosił, że doświadcza groomingu przez dorosłych lub starsze dzieci, a ponad połowa twierdziła, że padła ofiarą cyberprzemocy. Rzeczniczka ministra komunikacji Anika Wells powiedziała, że opóźniając dostęp młodych ludzi do mediów społecznościowych, rząd dał młodym Australijczykom (13-16) dodatkowe trzy lata na zbudowanie swojej tożsamości oraz społeczności w trybie offline. Wells przyznała również, że tak duża reforma na początku będzie przebiegać chaotycznie. Szefowa australijskiej komisji ds. bezpieczeństwa cyfrowego Julie Inman Grant nazwała reformę „długą grą" i ostrzegła, że prawodawca nie da się zniechęcić. Jej zdaniem „ludzkość osiągnęła punkt krytyczny", w którym „nasze dane to waluta, która napędza firmy technologiczne, a istnieją potężne, szkodliwe i zwodnicze mechanizmy, z którymi nawet dorośli nie są w stanie się zmierzyć".

Premier Anthony Albanese chciałby, żeby wraz ze zmianami w Australii zmieniło się życie na całym świecie. Według niego „to moment, w którym Australia mówi: dość tego".

Kto za, kto przeciw

Z badania przeprowadzonego przez Monash University w Melbourne wynika, że prawie czterech na pięciu dorosłych Australijczyków poparło zakaz. Obawy badanych dotyczyły jego skuteczności, ingerencji państwa w obowiązki rodzicielskie, cenzury i pozbawiania młodych ludzi korzyści płynących z uczestnictwa w społeczności i z czerpania informacji online, w tym wykluczenia środowisk zmarginalizowanych (LGBTQ+, osób neuroatypowych lub pochodzących z wiejskich społeczności), dla których internet jest często ważnym lub jedynym źródłem kontaktów z rówieśnikami czy grupami wsparcia. Nie brakło również obaw co do gromadzenia na dużą skalę i przechowywania danych niezbędnych do weryfikacji wieku użytkowników, chociaż rząd podkreślał, że przepisy obejmują „silną ochronę" danych osobowych.

Big techy podpisały się pod każdym słowem krytyki, dorzucając groźby, że bez nich dzieci trafią w najciemniejsze zakątki internetu. Reddit poszedł do sądu, podobnie jak para nastolatków wspierana przez posła Partii Libertariańskiej z Nowej Południowej Walii, która chce udowodnić, że nowe przepisy są niekonstytucyjne, gdyż pozbawiają przyszłych wyborców dostępu do powszechnej debaty politycznej.

Jak podały australijskie władze, w ciągu miesiąca od wprowadzenia zakazu platformy społecznościowe zablokowały 4,7 mln kont małoletnich Australijczyków. Tylko koncern Meta usunął podczas pierwszego tygodnia obowiązywania nowych regulacji ponad pół miliona kont.

Eksperci od początku zgłaszali obawy, że dzieci łatwo obejdą zakaz, okazując fałszywe dokumenty tożsamości lub zdjęcia, na których zostały postarzone za pomocą sztucznej inteligencji. Niektórzy młodzi użytkownicy społecznościówek powiedzieli BBC, że stworzą fałszywe profile przed terminem wprowadzenia ograniczeń. Inni przeszli na wspólne konta z rodzicami. Komentatorzy przewidywali też wzrost wykorzystania sieci VPN (wirtualna sieć prywatna), które ukrywają lokalizację użytkownika. Firmom nie narzucono jednej spójnej metody weryfikacji wieku, co według niektórych prowadzi do niespójnego egzekwowania przepisów na różnych platformach. Żadna metoda nie jest niezawodna.

Rodzice rozpaczają, że nie działają konta nadzorowane, a dzieci i tak oglądają YouTube, bez logowania się, poza planem rodzinnym (YouTube Premium/Family Plan), w którym dorośli decydowali, co wolno, a co nie.

Zwolennicy nowego prawa są jednak mniej zainteresowani tym, co działo się w ciągu pierwszych tygodni, czekają na to, co będzie za kilka lat. Nadzieje dotyczą szczególnie młodszych dzieci, bo nastolatki zawsze znajdą więcej sposobów na łamanie zakazu.

Dzieci zabierają głos

Premier Albanese wyznał, że marzy o narodzinach nowego pokolenia, ludzi czytających książki, uprawiających sport i grających na instrumentach. 13-letni Aahil, kolejny nastolatek, który rozmawiał z BBC, nie zaczął grać na instrumencie, nie czyta więcej książek ani nie uprawia nowej dyscypliny sportu. Zamiast tego spędza codziennie około dwóch i pół godziny na platformach społecznościowych – tyle samo, ile przed wprowadzeniem zakazu. Nadal ma konta na YouTubie i Snapchacie – na obu używa fałszywej daty urodzenia. Większość czasu poświęca

eprasa.pl 4e1e01459e

platformie gier Roblox i Discordowi popularnemu wśród graczy – żadna nie jest objęta zakazem. „Tak naprawdę nic się nie zmieniło”, stwierdza Aahil. Ale zmianę zauważa jego mama – na gorsze. Sądzi, że syn był pogodniejszy i bardziej skory do rozmów, kiedy mniej grał i spędzał więcej czasu w mediach społecznościowych.

15-letnia Lulu z Sydney, podobnie jak Aahil, założyła fałszywe konta na TikToku i Instagramie. Przyznaje, że chciałaby się uniezależnić od social mediów i stara się trochę więcej czytać. Jednak nie wychodzi z domu, nie uprawia sportu ani nie spotyka się z przyjaciółmi. Podobnie jak Amy i Aahil używa WhatsAppa i Messengera (portale nieobjęte zakazem), żeby skontaktować się z tymi, którzy nie pozakładali fejkowych kont na zakazanych portalach.

Amy opisała w pamiętniku, jak odkryła jedną z pierwszych nieprzewidywalnych korzyści braku TikToka kilka godzin po strzelaninie na plaży Bondi 14 grudnia 2025 r., podczas obchodów żydowskiego święta Chanuka. Dziewczyna cieszyła się, że nie spędza zbyt dużo czasu na TikToku, gdzie dostałaby przytłaczającą ilość informacji i niepokojących treści. Po miesiącu ocenia, że jej czas spędzony z telefonem skrócił się o połowę. Przełomowy był brak Snapchata. „Snapchat wysyła najwięcej powiadomień, to on zwykle przyciąga mnie do telefonu, a potem dzieje się cała reszta”, napisała.

W ciągu miesiąca od wprowadzenia zakazu platformy społecznościowe zablokowały 4,7 mln kont małoletnich Australijczyków.

Kopiuj-wklej z australijskiego prawa

Dania, Norwegia, Hiszpania, Francja, Grecja, Nowa Zelandia, Malezja, Singapur czy Brazylia obserwują Australię. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen przyznała, że decyzja Canberry była dla niej „inspirująca”. W listopadzie ub.r. Parlament Europejski uchwalił rezolucję idącą jeszcze dalej – poza ustaleniem 16 lat jako bariery dostępu do mediów społecznościowych i platform wideo proponuje odroczyć korzystanie z asystentów AI. Wzywa także do wyłączenia nieletnim najbardziej uzależniających funkcji (np. nieskończonego przewijania i automatycznego odtwarzania) czy do zakazu zachęcania na platformach do kidfluencingu, czyli bycia dziecięcym influencerem.

W Stanach Zjednoczonych projekt Ustawy o dzieciach poza mediami społecznościowymi, która zakazywałaby firmom dostarczania treści zalecanych algorytmicznie młodzieży poniżej 17. roku życia, zyskał ponadpartyjne poparcie. Na Australię patrzą też Niemcy. Przewodniczący Niemieckiego Stowarzyszenia Nauczycieli Stefan Düll w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel” nazwał siłowe podejście Australijczyków do dzieci „kompletną bzdurą”; on wolałby się skupić na twórcach nowych technologii i nakazać im udostępnienie użytkownikom, szczególnie najmłodszym, narzędzi samokontroli (np. blokady wiecznego przewijania). Niemiecka minister sprawiedliwości Stefanie Hubig uważa, że jasna i przede wszystkim skuteczna granica wiekowa w korzystaniu z mediów społecznościowych chroni prywatność dzieci i wspiera zdrowy rozwój.

W Wielkiej Brytanii od 2023 r. obowiązuje Online Safety Act, który nakazuje platformom rzetelną weryfikację wieku użytkowników i uprawnia niezależnego regulatora Ofcom do nakładania grzywny, a nawet blokowania działalności tych platform, które łamią zasady bezpieczeństwa dzieci poprzez publikację szkodliwych treści. Surowe (wobec platform) prawo pomogła przeforsować Fundacja im. Molly Rose. 14-letnia Molly Russell w 2017 r. odebrała sobie życie. Dziewczynka cierpiała na depresję wskutek oglądania negatywnych treści online.

Według sondażu YouGov trzech na czterech Brytyjczyków popiera nowelizację obecnego prawa na wzór australijski, z zakazem dostępu do mediów społecznościowych dla osób poniżej 16. roku życia. Zmiany poparła Izba Lordów. Premier Keir Starmer prawdopodobnie ugnie się pod naciskiem konserwatystów, części posłów swojej partii, pogrążonych w żałobie krewnych dzieci, których śmierć była związana z mediami społecznościowymi, oraz opinii publicznej. Ojciec Molly jest przeciwny zmianom. Jego zdaniem klasyfikację wieku należałoby przypisać do poszczególnych platform, zachęcając je do konkurowania o uwagę młodszych dzieci bardziej przyjaznymi i legalnymi treściami. Ale od tego ważniejszy jest kij na platformy, kluczowe narzędzie odstraszania, którym jest już działające prawo.

Inspirację z doświadczeń Australii czerpać będzie Polska. Projekt ustawy zakazującej korzystania z mediów społecznościowych przez dzieci do 15. roku życia to inicjatywa posłów Koalicji Obywatelskiej. Natychmiastowych zmian prawnych, z naciskiem na kontrolowany dostęp dzieci do społecznościówek, w tym szkolnych grup komunikacyjnych na WhatsAppie, żądają rodzice 11-letniej Danusi z Jeleniej Góry, zamordowanej w grudniu ub.r. przez starszą o rok koleżankę ze szkoły.

Czy to będzie wojna wygrana

Jak wynika z najnowszego raportu „Internet Dzieci”, opublikowanego przez Fundację Instytut Cyfrowego Obywatelstwa (ICO), ponad połowa dzieci w wieku 7-12 lat aktywnie korzysta z przynajmniej jednego serwisu społecznościowego lub komunikatora. Najpopularniejszy jest TikTok, którego używa co trzecie dziecko. Najmłodsi użytkownicy uruchamiają go wielokrotnie w ciągu dnia i spędzają na nim najwięcej czasu. TikTok to m.in. urywki z transmisji internetowych polskich patostreamerów, dla których rajem jest polski YouTube. Badania NASK (Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej – Państwowego Instytutu Badawczego) pokazują, że co czwarty nastolatek

eprasa.pl 4e1e01459e

ogląda te kontrowersyjne, wulgarne i często agresywne treści, np. prowadzących, którzy biegają przed kamerą nago, czy „zabijanie na niby". Połowa nastolatków twierdzi, że rodzice nie interesują się tym, że dzieci mają takie lub podobnie bulwersujące treści na wyciągnięcie ręki.

Magdalena Bigaj, prezeska ICO, medioznawczyni, badaczka i edukatorka cyfrowa, postuluje w książce „Wychowanie przy ekranie" uczenie dzieci higieny cyfrowej od małego: „Myjemy nasze ciało, chronimy je ubraniem, więc dlaczego nie mielibyśmy »myć« i chronić naszych mózgów, aby jak najdłużej były w dobrej formie?". Zaleca indywidualne podejście. Radzi nie wierzyć w cyfrowe diety cud. A przede wszystkim należy świecić przykładem. Nie jeść, nie spać z telefonem obok. Rozmawiać z dziećmi o treściach, które nieletni chłoną. Kreować bezpieczne środowisko, w którym takie rozmowy są możliwe.

To dużo na początek. Czy resztę zrobi dla nas państwo? – Doświadczenia Australii pokazują, że regulacje dotyczące wieku dostępu do mediów społecznościowych nie są prostym lekarstwem, ale próbą odzyskania kontroli nad środowiskiem, które przez lata rozwijało się bez realnej odpowiedzialności wobec dzieci. Kluczowe pytanie nie brzmi dziś „czy to zadziała idealnie", lecz czy jako społeczeństwo jesteśmy gotowi jasno wyznaczyć granice i przenieść ciężar odpowiedzialności z rodzin na producentów usług cyfrowych. I co możemy zrobić, by tak się stało. Prawo nie musi być doskonałe, by było potrzebne – jego rolą jest także wyznaczanie norm i kierunku zmian. Jeśli potraktujemy te rozwiązania jako proces długofalowy, mogą stać się początkiem odejścia od modelu, w którym produkty cyfrowe podporządkowane są wyłącznie celom biznesowym ich właścicieli, a nie bezpieczeństwu konsumentów, zwłaszcza najmłodszych – mówi Magdalena Bigaj.

Połowa nastolatków twierdzi, że rodzice nie interesują się tym, że dzieci mają bulwersujące treści na wyciągnięcie ręki.

Możliwe, że ratunek przed zabójczymi algorytmami nadejdzie z ojczyzny całego tego zła. W Los Angeles rusza seria procesów, w których setki amerykańskich rodzin będą zeznawać, że Meta, Snap, TikTok i YouTube szkodzą dzieciom. Giganci technologiczni zostaną oskarżeni o celowe projektowanie swoich produktów tak, aby uzależniały. Wpędzone w uzależnienie dzieci, twierdzą powodowie, padają ofiarą depresji, zaburzeń odżywiania, samookaleczeń i innych problemów ze zdrowiem psychicznym. Jeśli uda się wygrać tę wojnę – a szanse są – będziemy kiedyś spać nieco spokojniej, nasze dzieci też.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 4e1e01459e

Przesiedleńcy czy wypędzeni?

Nieznana relacja z rozmów Mariana Orzechowskiego z Hansem-Dietrichem Genscherem

W całej powojennej historii relacje między Polską a RFN miały niezwykłą wagę. Nawet w III RP co jakiś czas wyciąga się „niemiecką kartę". Ostatnio robi to PiS, co powoduje, że i premier Donald Tusk musi się odnosić do podnoszonych przez Jarosława Kaczyńskiego żądań reparacji. Punktów spornych między Polską a RFN byłoby więcej, gdyby ich części nie udało się uregulować przez ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego i Tadeusza Mazowieckiego.

Poniżej drukujemy nigdzie do tej pory nieupubliczniane obszerne wspomnienia prof. Mariana Orzechowskiego, ministra spraw zagranicznych w latach 1985-1988. Tekst jest skrótem części „Niemieckie obrachunki", napisanym przez byłego ministra w 1991 r. Z tych wspomnień publikujemy opis dwóch wizyt – Mariana Orzechowskiego w RFN w 1986 r. i Hansa-Dietricha Genschera, wieloletniego lidera FDP, wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych (1974-1992, z krótką przerwą w 1982 r.) w Polsce w 1988 r.

Opis obu wizyt pokazuje, jak wiele spraw trzeba załatwić, przezwyciężając wzajemne uprzedzenia i fundamenty dotychczasowej polityki. Bez tych działań coś, co nazywamy polityką pojednania i współpracy, byłoby tylko w sferze marzeń.

Paweł Dybicz

12 listopada 1985 r. Sejm powołał mnie na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Nominację poprzedziła długa rozmowa z Jaruzelskim. Istotną jej częścią były stosunki polsko-niemieckie, a zwłaszcza stosunki z RFN. Jednym z moich podstawowych zadań miała być ich poprawa, „oczyszczenie przedpola" dla ich normalizacji.

Dalekie od „normalności" były nie tylko stosunki z RFN, ale i z NRD. Za fasadą oficjalnej przyjaźni skrywało się wiele wzajemnych urazów, nieporozumień, nierozwiązanych problemów spornych. (…).

Stosunki z Republiką Federalną Niemiec były wówczas bardzo chłodne. Hans-Dietrich Genscher w ostatniej dosłownie chwili odwołał przewidzianą na jesień 1985 r. wizytę w Polsce. Powód był banalny, ale wystarczający. MSZ za wiedzą i zgodą Jaruzelskiego odmówiło wizy dziennikarzowi z „Die Welt", który miał towarzyszyć Genscherowi. Uznano go za rewizjonistę, źle nastawionego do Polski. (…)

Bardzo szybko po mojej nominacji wróciliśmy do sprawy wizyty Genschera w Polsce. Zasugerował on jednak, abym ja pierwszy przyjechał do Bonn. Sugestie przyjęliśmy. W rozmowach z Jaruzelskim ustaliliśmy główne założenia wizyty. Miałem w Bonn przedstawić nie tylko naszą gotowość porozumienia, ale i konkretną koncepcję „oczyszczenia przedpola", umożliwiającą porozumienie, a w przyszłości i pojednanie polsko-niemieckie. „Oczyszczenie przedpola" oznaczało usunięcie przeszkód wynikających głównie z tzw. niemieckich pozycji prawnych, blokujących w szczególności obrót prawny, uregulowanie sprawy nazewnictwa, podpisanie wielu umów itd., w zamian Polska była gotowa uwzględnić niemieckie postulaty dotyczące obecności kulturalnej RFN w Polsce. Chodziło głównie o wymianę młodzieży. Było to prawdziwym „konikiem" kanclerza Kohla. Niemcom zależało także na upamiętnieniu ważnych dla nich miejsc historycznych. Szło głównie o Krzyżową na Dolnym Śląsku, gdzie w czasie drugiej wojny światowej zbierała się – pod przewodem Jamesa von Moltke – grupa przeciwników Hitlera. RFN zabiegała także o opiekę nad grobami niemieckimi w Polsce.

Dla nas najważniejszy był pakiet spraw gospodarczych. Tu byliśmy praktycznie bezbronni i Niemcy o tym doskonale wiedzieli. W szczególności zależało nam na uregulowaniu miliardowego długu (tzw. dług Jumbo) przyznanego w czasach Gierka na szczególnie korzystnych warunkach. Zabiegaliśmy o kredyty inwestycyjne oraz o wsparcie RFN dla naszych starań w Klubie Paryskim, dotyczących spłaty zadłużenia. Dwie sprawy były nadzwyczaj trudne, „gorące": odszkodowania cywilno-prawne dla polskich robotników przymusowych w Niemczech i dla więźniów obozów koncentracyjnych oraz mniejszość niemiecka w Polsce.

Wizyta w Bonn miała zademonstrować polską wolę dialogu oraz gotowość do kompromisu. Na łatwe sukcesy nikt z nas nie liczył.

Na początku lutego 1986 r. poleciałem do RFN. Wizyta w Bonn zaczynała się nietypowo – w niedzielę, od spotkania w prywatnej willi Hansa Dietricha i Barbary Genscherów, gdzieś na peryferiach Bonn. Przede mną podejmowano w niej tylko dwóch ministrów spraw zagranicznych. Jednym z nich był amerykański sekretarz stanu Cyrus Vance, a drugim – Henry Kissinger. Prasa bońska pisała, że oto po tych „wielkich i znanych" Genscher „wyróżnił" swego „nieznanego kolegę znad Wisły". To „wyróżnienie" było znakiem, że gospodarzowi bardzo zależy na stosunkach z Polską. *(W błąd wprowadzała prasa polska kilka lat później, informując, że prof. Krzysztof Skubiszewski był pierwszym*

eprasa.pl 4e1e01459e



Podczas wizyty w Polsce Hans-Dietrich Genscher (z lewej) spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Marianem Orzechowskim. Warszawa, 10 stycznia 1988 r.

ministrem zaproszonym na prywatną kolację przez Genschera).

Genscher był bardzo miły, wręcz czarujący. On to potrafi, jeżeli chce lub jeżeli mu na czymś czy na kimś zależy. Przed kolacją, prywatną, ale jednak z kucharzami i kelnerami z bońskiego MSZ, przy drinku, wymieniliśmy poglądy na całokształt wzajemnych stosunków i ich perspektywy. W luźnej, jakby prywatnej rozmowie, zostały wyłożone „na stół" wszystkie podstawowe punkty, ujawniony sposób myślenia o nich. Nie były to dwa monologi, lecz żywa dyskusja. Ujawniła ona, że parę punktów możemy uznać za wspólne. Mogły się one stać dobrą podstawą stosunków Polska-RFN.

Po pierwsze, wspólne było przekonanie, że stosunki między naszymi państwami mają wymiar większy niż tylko dwustronny. Bez porozumienia polsko-niemieckiego, a w perspektywie i pojednania, nie można było myśleć o Europie bez podziałów, bezpiecznej i współpracującej (pojęcia w rodzaju „europeizacja Europy", „wspólny dom europejski" nie były jeszcze znane). W naszym podejściu do tej kwestii ujawniły się także istotne różnice. Dla Genschera, operującego rozległymi wizjami przyszłej zjednoczonej Europy, w której granice przestaną pełnić dotychczasową rolę, staną się „przepuszczalne" dla idei i ludzi, takie kwestie, jak obrót prawny między Polską i RFN, obywatelstwo niemieckie, nazewnictwo itd. były „drobne", „błahe", „tuzinkowe". Ja patrzyłem – i musiałem patrzeć na to zupełnie inaczej. I mnie bliska była idea i wizja zjednoczonej Europy „od Atlantyku po Ural", „Europa ojczyzn". Zbyt dobrze jednak znałem realia stosunków polsko-niemieckich, aby nie pamiętać, że sprawy dziś „tuzinkowe" jutro mogą się stać zarzewiem nieporozumień i konfliktów, jeżeli ich w porę i racjonalnie się nie rozwiąże. Tak nawiasem mówiąc, uważając kwestie sporne za mało istotne, Genscher wcale nie był skłonny do ustępstw, do jakiejkolwiek rezygnacji z niemieckiego punktu widzenia.

Uważając kwestie sporne za mało istotne, Genscher wcale nie był skłonny do ustępstw.

Po drugie, wspólna była nasza zasadnicza gotowość i dobra wola poszukiwania dróg porozumienia – w sprawach nawet najtrudniejszych, beznadziejnych. Dla Genschera była to przede wszystkim sprawa wspomnianych już niemieckich pozycji prawnych z kluczową wówczas tezą o formalno-prawnym istnieniu Rzeszy Niemieckiej w granicach z 1937 r. Fundamentalne znaczenie dla Genschera miała również interpretacja układu z grudnia 1970 r. zawarta w uchwale Bundestagu z maja 1973 r. i rozstrzygnięć ich Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe. Inaczej mówiąc, chodziło o charakter międzynarodowo-prawny granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej: ostateczny i niepodważalny, czy też wymagający jeszcze potwierdzenia przez przyszłego, zjednoczonego suwerena ogólnoniemieckiego, a może i wcześniejszych negocjacji.

Cóż z tego, że osobiście Genscher nie miał wątpliwości, że granica polsko-niemiecka jest ostateczna, że nie może być przedmiotem dyskusji i że tylko nowa wojna światowa mogłaby doprowadzić do jej zmiany. Nie mógł tego jednak powiedzieć jako minister spraw zagranicznych bońskiego rządu koalicyjnego. Był związany ustawami, oficjalną doktryną polityczną i prawną. W tej sprawie do kompromisu dojść nie mogliśmy. Dopóki nie padły jednoznaczne słowa najwyższych władz RFN, nie mieliśmy

eprasa.pl 4e1e01459e

prawa wyzbywać się ostrożności, wręcz nieufności. Późniejsza historia rozmów w sprawach granic w okresie jednoczenia się Niemiec w pełni to potwierdziła.

Dla mnie, dla Jaruzelskiego najtrudniejsza była kwestia mniejszości niemieckiej. W przeciwieństwie do innych polityków bońskich z kręgu koalicji rządowej Genscher nie mówił – i parokrotnie sam zwracał moją na to uwagę – o „mniejszości niemieckiej" w Polsce, lecz o „ludziach przyznających się do niemieckości", pragnących ją kultywować w życiu rodzinnym i zbiorowym. Tak czy inaczej, prowadziło to do tego samego i Genscher doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nasze, polskie pole manewru w tej kwestii było niezwykle zawężone. Trzeba było liczyć się z doświadczeniami historii, przede wszystkim na dawnym pograniczu polsko-niemieckim, z nastrojami społecznymi, postawami regionalnego establishmentu, zwłaszcza na Górnym Śląsku, gdzie wszelkie rozmowy o „mniejszości niemieckiej" miały z reguły alergiczny charakter.

Dopiero po wizycie w Bonn, w wąskim gronie uświadomiliśmy sobie, że bez ruszenia z miejsca kwestii mniejszości niemieckiej nie ma co myśleć o przełomie w stosunkach z RFN. Zaczęliśmy wówczas gorączkowo poszukiwać rozwiązań kompromisowych możliwych do przyjęcia przez obie strony.

Po trzecie wreszcie, wspólna była gorzka świadomość, że do porozumienia polsko-niemieckiego jest jeszcze daleko, że na drodze do niego istnieje wiele barier i pułapek.

Prywatne spotkanie w willi Genscherów było w gruncie rzeczy najważniejszym punktem mojej bońskiej wizyty. (…)

Wizyta [Genschera w Polsce] zaczęła się dość niefortunnie. Wypadało się zrewanżować Genscherom za prywatny początek wizyty w 1986 r. Niestety, willi nie miałem, a mieszkanie nie nadawało się nie tylko na przyjmowanie ministra spraw zagranicznych… Prywatne spotkanie zorganizowano więc w Klarysewie, w dawnej rezydencji Gierka, wówczas przejętej przez KC PZPR. Genscher jest smakoszem. Lubi zjeść dobrze. Tymczasem kolacja w Klarysewie była gorzej niż zła. Gdy podano przystawkę, okazało się, że nie ma nożyków do masła. „Nie mamy na wyposażeniu", odpowiedziano zdziwionej żonie. Zupa była nijaka – jakiś krem jarzynowy. Genscher żartobliwie dopytywał się: „A co jeszcze dobrego przygotowała nam pani Orzechowska?". Najpierw wjechała na stół dziwna zielona sałata: pokrojona nożem, a na wierzchu polana majonezem, w którym topił się zielony groszek konserwowy. Było to nie do jedzenia… Drugie danie było wyraźnie przedobrzone: polędwica z ananasem, ale aby wyglądało bardziej luksusowo i wykwintnie, dołożono jeszcze połówki dużych brzoskwiń z puszki. Deser też nie był udany: naleśniki pochlapane czekoladą.

Najtrudniejsza była kwestia mniejszości niemieckiej. Genscher nie mówił o „mniejszości niemieckiej" w Polsce, lecz o „ludziach przyznających się do niemieckości".

Nie jestem pewien, czy Genscher nie uważał, iż taka kolacja w dawnej rezydencji Gierka jest moim (czy naszym, polskim) odwetem za nieprzejednane stanowisko niemieckie w sprawie odszkodowań dla polskich robotników przymusowych i więźniów obozów koncentracyjnych! Na uwagi zgłaszane kierownikowi rezydencji w Klarysewie usłyszeliśmy, że bywa tu często gen. Jaruzelski, pani Jaruzelska przyjmuje gości i nigdy nie miała krytycznych uwag!

A przecież kuchnia polska jest doskonała, może zaspokoić najbardziej wybrednych smakoszy. Poziom polskiej gastronomii – także tej na najwyższych piętrach władzy – jest poniżej wszelkiej krytyki. Nigdzie, w żadnym kraju na świecie, nie przyjmuje się gości zagranicznych tak żenująco źle jak w naszym kraju.

Merytorycznie wizyta Genschera była **bardzo** potrzebna i pożyteczna. Podczas kilku spotkań roboczych „wynieśliśmy przed nawias" wszystkie sprawy sporne, blokujące porozumienie. Uzgodniliśmy powołanie trzech zespołów roboczych. Miały one przygotować wstępne porozumienie we wszystkich obszarach stosunków wzajemnych. Finałem miała być wizyta kanclerza Kohla w Polsce (zakładaliśmy, że dojdzie do niej jesienią 1988 r.), a następnie, wiosną 1989 r. – prezydenta RFN.

Wizyta miała kilka dramatycznych momentów i punktów. Pierwszy z nich nastąpił w czasie plenarnego spotkania w gmachu MSZ. Mówiliśmy o wielu kwestiach dotyczących Polski i RFN: o budowie „wspólnego domu europejskiego", który może być budowlą na piasku, jeżeli nie będzie w nim dobrosąsiedzkiego współżycia Polaków ze wszystkimi Niemcami, o mniejszości niemieckiej w Polsce (każdy z nas powoływał się na odmienne doświadczenia i każdy też myślał o własnych „jastrzębiach"), o niemieckich grobach w Polsce (różne są niemieckie groby w Polsce i różny też jest do nich stosunek Polaków – mówiłem do Genschera), o dziwnych figlach, które może płatać pozornie tylko filologiczna kwestia nazewnictwa. Pokazaliśmy Genscherowi kserokopię paszportu wydanego w RFN, którego właścicielka urodziła się w „Hitlersee" („Jezioro Hitlera") na Śląsku Opolskim.

Mówiliśmy wreszcie o przesiedleniach i przesiedleńcach – czyli w niemieckiej terminologii o wypędzeniach i wypędzonych – i o naszym, Polaków, do tego stosunku. Tej sprawie poświęciłem dłuższy wywód. Powiedziałem mniej więcej: w stosunkach polsko-niemieckich istniały i istnieją nadal wyraźne komponenty moralne, a nie tylko wyłącznie polityczne. Dla nas, Polaków, takim moralnym składnikiem stosunków z Niemcami jest stosunek do tych wszystkich, którzy utracili *(Heimat)* na obszarach na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej i nad Bałtykiem. Jesteśmy świadomi, że była to dla nich osobista tragedia. Współczujemy im jako ludzie i po ludzku, rozumiemy

eprasa.pl 4e1e01459e



Spotkanie z przewodniczym Rady Państwa gen. Wojciechem Jaruzelskim, Warszawa 13 stycznia 1988 r.

dobrze ich emocje i sentymenty. Zawsze jednak będziemy się przeciwstawiać robieniu polityki z ludzkich uczuć.

Genscher słuchał tego wywodu z wyraźnym napięciem emocjonalnym. W ustach polityka polskiego słyszał takie słowa po raz pierwszy. Gdy skończyłem, powiedział: słuchałem tego, co Pan mówił, bardzo poruszony. Pan wie, że moja żona też pochodzi z ziem należących obecnie do Polski (pani Barbara Genscher pochodzi ze wsi niedaleko Jawora w województwie legnickim). To bardzo ważne, co Pan powiedział. Czy możemy to przekazać do prasy? Wyraziłem na to zgodę. Dla prasy w RFN moje słowa były swoistą sensacją. Nawiasem mówiąc, prasa zachodnioniemiecka przytoczyła jedynie fragment mojej wypowiedzi, pomijając to wszystko, co dotyczyło polityki i uczuć… (…)

Trzeci dramatyczny moment przeżył Genscher podczas spotkania z Jaruzelskim. Z reguły Generał przygotowywał się do wszelkich ważnych spotkań bardzo starannie. Wiedział doskonale, że treść jego wypowiedzi będzie uważnie słuchana i analizowana. Wszystko zaczęło się normalnie. Jaruzelski skomplementował Genschera za jego wybitny osobisty wkład w rozwój stosunków RFN-Polska. Jego wizytę uznał za ważne wydarzenie i wyraził nadzieję, że przyniesie ona „bogatą substancję". Genscher odpowiedział w podobnym duchu. Rozwój stosunków z Polską ma dla RFN wymiar europejski. Celem polityki RFN jest porozumienie i pojednanie z Polską na wzór porozumienia i pojednania z Francją. Perspektywę porozumienia i pojednania przybliżyć może kilka spraw szczególnie ważnych dla RFN. Genscher wymienił m.in. spełnienie życzeń tych wszystkich, którzy pragną wyjechać na stałe do RFN; stworzenie przez Polskę warunków dla rozwoju tożsamości kulturalnej i językowej osób czujących się Niemcami, pielęgnowanie grobów niemieckich; uczczenie pamięci niemieckiego ruchu oporu (Krzyżowa, Oświęcim); rozwój współpracy kulturalnej i stworzenie odpowiedniego instytutu niemieckiego w Polsce.

Jaruzelski, ku mojemu zaskoczeniu, zareagował niespodziewanie ostro. Jest rozczarowany wypowiedzią Genschera. Jej treść jest uboga. Przyszłość stosunków Polska-RFN można tworzyć jedynie na gruncie zaufania i konkretnych, liczących się faktów. Ostatnie lata przyniosły osłabienie tętna normalizacji wzajemnych stosunków. Odpowiedzialność za to ponosi RFN. Po raz pierwszy Jaruzelski powołał się na jakoby niechętne Polsce stanowisko RFN w okresie stanu wojennego. Wskazał na spadek obrotów handlowych, wycofanie się strony niemieckiej z obietnic kredytowych, warunkowanie rozwoju współpracy z Polską przebiegiem reform itd. Atmosferę wzajemnego zaufania podrywają audycje oficjalnej rozgłośni „Deutschlandfunk" oraz spotkania z przedstawicielami opozycji w Polsce w czasie wizyt polityków zachodnioniemieckich.

Genscher słuchał tego wszystkiego zewnętrznie spokojny. Znałem go już na tyle, aby zorientować się, że wcale tak nie jest. Najbardziej zabolały go słowa Jaruzelskiego o zaufaniu. Jego wypowiedź odczytał właśnie jako wyraz braku zaufania do RFN i jej polityków. Apelował więc do Jaruzelskiego o wzajemne zaufanie i traktowanie intencji RFN jako szczerych i całkowicie godnych zaufania. Potwierdzeniem tego jest jego, Genschera, osobiste zaangażowanie się w porozumienie z Polską, jego cała polityka, wysoko oceniana przez społeczeństwo RFN.

Natychmiast po spotkaniu, wyraźnie podekscytowany, zapytał mnie, co się właściwie Generałowi stało i o co tu idzie. Też nie wiedziałem. Próbowałem mu to wyjaśniać, w sumie chyba dość mętnie i bez przekonania. Generał był zadowolony. Był przekonany, że „dołożył" Genscherowi.

Wizyta Genschera przebiegała według tzw. trójczłonowego porządku: rząd-opozycja-Kościół (czwartym członem wizyty Genschera było jego nieoficjalne spotkanie z przedstawicielami mniejszości niemieckiej na Śląsku). Informacje o tych spotkaniach były z reguły skąpe, chyba że służby Kiszczaka miały do nich dostęp. Genscher spotkał się z Wałęsą. Mazowieckim, Geremkiem i Onyszkiewiczem. Jedynym echem tych wizyt ze strony Genschera były jego luźne uwagi, że opozycja jest bardzo patriotyczna i że w podstawowych kwestiach stosunków polsko-niemieckich między nią a rządem nie ma istotniejszych różnic.

Ze źródeł najbardziej poufnych wiem, że przedmiotem rozmów z przedstawicielami opozycji stał się także pakt Ribbentrop-Mołotow. Przedstawiciele opozycji postulowali, aby RFN uznała ten pakt za niebyły. Akcentowali moralny aspekt takiego gestu, a nie polityczno-terytorialny. Genscher zareagował podobno milczeniem, ponieważ „nie chciał dać się podjudzić Polakom przeciwko Związkowi Radzieckiemu", jak komentowano w jego otoczeniu. ■

FOT. PAP/GRZEGORZ ROGIŃSKI (2)

eprasa.pl 4e1e01459e

ZOSTALIŚMY NA LODZIE

Medalowe szanse Polski na igrzyskach Mediolan-Cortina 2026

Wojciech Kuczok

Igrzyska olimpijskie wracają w Dolomity. To właśnie w Cortinie d'Ampezzo pierwszy medal zimowy wykombinował dla nas Franciszek Gąsienica-Groń, kombinator norweski, choć polski, a ściślej – zakopiański. Połączył udane występy na skoczni i w biegu na 15 km dokładnie 70 lat temu.

Przywykliśmy do tego, że za polskie sukcesy olimpijskie zimą odpowiada narciarstwo: sportowcy skaczący i biegający przywieźli aż 17 z 23 naszych medali igrzysk rozgrywanych na śniegu i lodzie. W ostatnim ćwierćwieczu najbardziej regularni byli skoczkowie, którzy stawali na podium każdych igrzysk oprócz Turynu. O nich było najgłośniej, byliśmy wszak potęgą jako drużyna. Polska szkoła skoków triumfowała w zawodach pucharowych, mistrzowskich i olimpijskich zarówno indywidualnie, jak i drużynowo. Małyszomania przeszła płynnie w stochomanię, a potem żyłomanię, kubackomanię, mieliśmy bowiem deszcz zwycięstw zapewniany przez złotą generację tej dyscypliny.

Niestety, starzy mistrzowie, choć dzielnie zmagają się z peselozą, nie są już w stanie walczyć o najwyższe cele, a wśród następców na razie nie widać zawodnika gotowego do walki o coś więcej niż miejsce w pierwszej dziesiątce. Kamil Stoch jedzie do Mediolanu jako chorąży polskiej reprezentacji, legendarny olimpijczyk, dla którego będą to już szóste igrzyska, ale na skocznię do Predazzo pojedzie już tylko po to, by ze skokami honorowo się pożegnać. Jedynym podium, jakie w tym sezonie udało się zaliczyć Polakom w pucharze świata, było trzecie miejsce w słabo obsadzonych zawodach duetów w Zakopanem. Wyskakali nam je Dawid Kubacki, który na igrzyska w ogóle nie pojechał, i nastolatek Kacper Tomasiak, nasza nadzieja na przyszłość, lider kadry narodowej, obecnie regularnie meldujący się w pierwszej piętnastce skoczków, ale smaku seniorskiego podium wciąż nieznający.

Próżno pokładać wiarę w szczęśliwe wiatry, które przed z górą półwieczem porwały Wojciecha Fortunę w Sapporo i dały mu złoty medal, bo w dobie precyzyjnych przeliczników punktowych fuksiarskich zwycięzców już prawie nie ma.

Skoki w tym roku zdominowała bezprzykładnie słoweńska rodzina Prevców – wśród pań Nika, wśród panów Domen, młodszy brat niegdysiejszego medalisty Petera, przeskakuje skocznie bez względu na ich rozmiar, w pucharze świata wypracował już sobie rekordową przewagę i jest murowanym faworytem do złota na dużej skoczni, a także jako lider reprezentacji Słowenii w konkursie drużynowym. Domen to miłośnik skoczni mamucich, wygrywa idealną pozycją w locie, kładzie się na nartach najodważniej, ale siła wybicia, która decyduje o sukcesach na skoczni normalnej, nie jest jego najmocniejszą stroną.

Teoretycznie to właśnie na obiekcie K-107 jesteśmy najbliżej miejsc medalowych, w czwartkowych treningach Tomasiak był piątym skoczkiem po podsumowaniu trzech serii, ale nadal do podium brakuje sporo; szanse medalowe na skoczniach mamy zatem iluzoryczne.

Nasza najdłuższa przerwa medalowa trwała aż 30 lat, od Fortuny '72 do Małysza '02, potem nasi sportowcy stali się gwiazdami światowego formatu również w dyscyplinach biegowych (niezapomniana Justyna Kowalczyk, multimedalistka z Turynu, Vancouver i Soczi) oraz łyżwiarskich (sensacyjne mistrzostwo Zbigniewa Bródki na dystansie 1500 m w Soczi) i trudno nam sobie wyobrazić kolejną imprezę, z której nie przywozimy ani jednego krążka.

Najpewniej z naszymi ambicjami medalowymi zostaniemy na lodzie, co jednak wcale nas z szans na triumfy nie odziera, przeciwnie, to wśród panczenistów mamy najsilniejsze ogniwa naszej kadry olimpijskiej. Lodowi sprinterzy, zarówno Damian Żurek, jak i Kaja Ziomek-Nogal, to aktualni wiceliderzy pucharu świata, a długodystansowiec Władimir Semirunnij w ciągu ostatniego roku przywiózł z mistrzostw świata, a potem Europy cztery medale. Rosjanin po inwazji Putina na Ukrainę natychmiast wyemigrował do Polski, przed rokiem przyjął nasze obywatelstwo i jest przykładem sportowca, który bez względu na konsekwencje, również dla rodziny, która pozostała w ojczyźnie, postanowił odciąć się od reżimu. Także nasza mieszana sztafeta w short tracku, najmłodszej łyżwiarskiej dyscyplinie olimpijskiej, w ostatnich latach nie schodzi z podiów imprez mistrzowskich, brak medalu w Mediolanie byłby więc przykrą niespodzianką.

Starzy mistrzowie, choć dzielnie zmagają się z peselozą, nie są już w stanie walczyć o najwyższe cele.

eprasa.pl 4e1e01459e





Klaudia Adamek to pierwsza nasza sportsmenka w historii, która po występach na igrzyskach letnich (lekkoatletyka) weźmie udział także w zimowych (bobsleje).

Na śniegu nasi narciarze wypadają ostatnio bladziej od snowboardzistów, przeto śnieżną szansę medalową mamy dzięki Aleksandrze Walas-Król, która po powrocie z urlopu macierzyńskiego w wieku 35 lat wróciła do olimpijskiej formy. Kiedy państwo czytacie te słowa, jest już po niedzielnych zawodach, wiadomo zatem, czy pierwsza z naszych medalowych nadziei znalazła spełnienie.

Wyjątkową postacią w polskiej ekipie jest Klaudia Adamek, pierwsza nasza sportsmenka w historii, która po występach na igrzyskach letnich (sztafeta sprinterek w Tokio 2021) weźmie też udział w olimpiadzie zimowej w zawodach bobslejowych.

Jeśli chodzi o największe gwiazdy igrzysk, bez wątpienia szczególne emocje wzbudzi turniej hokejowy. Nasi hokeiści nie biorą udziału w zmaganiach olimpijskich już od 34 lat, toteż miłośnicy tego sportu mogą wygodnie i bezstresowo rozsiąść się w fotelach, aby oglądać gwiazdy NHL, które stawią się na igrzyskach po raz pierwszy od turnieju w Soczi. Trzymać kciuki będę za Kanadyjczyków z fenomenalnym Connorem McDavidem w składzie, bo to oni mają najbardziej realne szanse utrzeć nosa Amerykanom, wyczekującym złotego medalu już od 1980 r.

Lindsey Vonn jest jak Cristiano Ronaldo narciarstwa alpejskiego, 41-letnia legenda swojej dyscypliny, wielokrotna medalistka igrzysk i mistrzostw, tuż przed wyjazdem do Cortiny zerwała więzadła krzyżowe w kolanie. Dla piłkarzy to najgorsza, bo wymagająca najdłuższej rehabilitacji kontuzja, zawodnicy wracają do gry najwcześniej po wielu miesiącach. Vonn postanowiła startować z nogą w ortezie i nie przestaje marzyć o kolejnym medalu. Trzymam kciuki, by ten heroizm przysporzył jej więcej radości niż bólu.

W Cortinie zadebiutuje narciarstwo wysokogórskie – pierwsza nowa dyscyplina od 24 lat, przy czym od prawdziwego skialpinizmu wersja olimpijska różni się przede wszystkim postawieniem na szybkość kosztem wytrzymałości. Nie będzie długich podbiegów na skitourowych fokach w scenerii alpejskiej, będą za to zawody sprinterskie na specjalnie przygotowanej trasie – jeden z odcinków uczestnicy przebiegną z nartami na plecach. Tegoroczna zima akurat upodobniła się do tych sprzed zaawansowanych skutków efektu cieplarnianego, ale co do przyszłości sportów zimowych można mieć sporo obaw. Już dziś większość zawodów rozgrywa się dzięki sztucznemu naśnieżaniu stoków i skoczni, w wersji dystopijnej zatem bieganie z nartami na plecach jest całkiem przydatną umiejętnością – może się okazać, że śniegu nie wystarczy na pokrycie pełnych tras.

Tymczasem jednak moszczę się w fotelu i nałogowo pochłaniam wszystkie transmisje finałów, jak w dzieciństwie, kiedy nawet z siermiężnego ruskiego Rubina chłonąłem kolory na kaskach, błyski na lodowej gładzi i barwy obcisłych kombinezonów. W zaokiennej szarzyźnie niekoniecznie lutych zim PRL ta feeria estetyki zachodniego sprzętu była dodatkową atrakcją; na stokach, wyrwirączkach i orczykach pomykaliśmy przyodziani byle jak i podpięci do tandetnych Polsportów, a na igrzyskach można sobie było popatrzeć, na czym tam za żelazną kurtyną akurat zjeżdżają. ■

FOT. PAWEŁ SKARBA/SUPEREXPRESS/EAST NEWS, MALTE OSSOWSKI/SVEN SIMON/IMAGO SPORT/FORUM

eprasa.pl 4e1e01459e

Po ludzku trzeba żyć

Wielokulturowość Podlasia to slogan. Tu wszędzie rozmawiało się po swojemu

Rozmawia Anna Wyrwik



Sam wykonałem remont synagogi, z jednym pracownikiem wyremontowaliśmy dach i resztę. Wszystko zgodnie z projektem i jak najtaniej – mówi sołtys.

MAREK CHMIELEWSKI
– sołtys podlaskiej wsi Orla, działacz samorządowy i aktywista w Sieci Forum Dialogu. W 2025 r. za działalność na rzecz przywracania pamięci o lokalnej społeczności żydowskiej został laureatem Nagrody POLIN przyznawanej przez Muzeum Historii Żydów Polskich od 2015 r.

Mówisz o sobie „jestem Europejczykiem". Co to znaczy?

– Jestem Polakiem, z pochodzenia Rusinem, ale jestem też Europejczykiem, a to znaczy, że jestem otwarty i wyzwoliłem się z tych wszystkich nacjonalizmów, ksenofobii, rasizmów.

Jak to zrobiłeś?

– Pod koniec lat 80. jeździliśmy na Białoruś spekulować, a jak się spekulowało, to poznawało się ludzi i nawiązywało przyjaźnie. Zaprzyjaźniłem się z parą równolatków, Żanną i Tonikiem. Jak spekulujesz, to zajedziesz, sprzedasz spodnie i tydzień po knajpach chodzisz. Chodziliśmy więc po knajpach. Tu waliło mi się świat, trudno było w tym wszystkim się odnaleźć i nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale za wszystko winiłem Żydów, jak u Brauna. Pojechałem do Żanny i Tonika ponownie po jakichś dwóch latach. Gdy Żanna mnie zobaczyła, wybiegła przed dom i krzyczy: „Marek, nie mów nic o Żydach, bo mój papa z mamą przyjechali!". „Ona to Żydówka", pomyślałem. Nie wiem, gdzie tym nasiąknąłem, ale okazałem się wielkim idiotą.

Dziś ze swoją otwartością idziesz mocno pod prąd. Czy wielokulturowość Podlasia wpłynęła na twoją postawę?

– Wielokulturowość Podlasia to slogan. Miałem szczęście lub nieszczęście urodzić się tutaj i do końca podstawówki nie wiedziałem nawet, kim są katolicy, bo moi rodzice byli prawosławni. Tu wszędzie rozmawiało się po swojemu. Mój dziadek był pisarzem i chłopi przyjeżdżali do niego furmankami. Petent szedł po ćwiartkę, pili ćwiartkę, petent opowiadał, a dziadek podanie pisał, tyle że już po polsku „zgodnie z powyższym, jak i poniższym". Produkował te podania masowo. Później ojciec to samo robił.

A ty?

– A dla mnie to był parterowy świat i marzyłem, by w piętrowym budynku zjechać na poręczy. Gdy byłem mały, mama powiedziała: „Na kolonię cię zapisałam". Nie wiedziałem, co to kolonia, ale powiedziałem: „Dobrze, pojadę na tę kolonię, ale czy ona będzie piętrowa? Ma być piętrowa i ma być poręcz, bym mógł zjechać". Mimo że byłem w przedszkolu i w szkole, nie umiałem mówić dobrze po polsku. Raz zima była, to słomę omłóconą wynosili, dzieci się pałętały i kumpel mówi: „Będzie ognisko". Ognisko? Nowe słowo. Podpalili słomę, ale dorośli szybko zareagowali, ugasili, oczywiście dostaliśmy łupcowanie konkretne. Jakiś czas później pani z wiejskiej szkoły wysłała uczennice popytać po wsi, czy ktoś chce chodzić do ogniska. Gdy to usłyszałem, wbiłem się ze strachu pod łóżko. Nie wiedziałem, że chodzi o ognisko szkolne. Tak rozumiałem polski. Innym razem pani powiedziała do koleżanki: „Jakie ty masz ładne warkocze". Wszyscy się śmiali. Kosy to tak, ale warkocze to jak coś warczy. Wyobraź sobie, w jakiej my tu enklawie żyliśmy!

eprasa.pl 4e1e01459e

Jak się z niej wyrwałeś?

– Chciałem iść do technikum w Białymstoku, ale posłali mnie do rolniczówki w Rudce koło Brańska, gdzie już są lewosławni, bo my tak mówimy, że S19 dzieli Podlasie na prawosławnych i lewosławnych. Potem trafiłem do wojska, do Hajnówki, co było dziwne, bo wszyscy gdzieś daleko, a ja do Hajnówki. Okazało się, że mnie namierzyli, bo szukali muzykantów. Grałem wtedy na basie i słuchałem rocka. Najbardziej lubiłem Dżem, ale słuchałem też TSA, Martyny Jakubowicz i Oddziału Zamkniętego. To były moje klimaty. Jak wszyscy słuchałem również Maanamu czy Perfectu, choć jako człowiek jeżdżący do Jarocina w którymś momencie uznałem Perfect za obciach. W wojsku robiliśmy wszystko, co z wojskiem niezwiązane, czyli koncerty, teatry, kabarety. Ludziom się podobało. Dopiero jak z tej enklawy się wyrwałem, zobaczyłem różnicę. Świat jest inny.

Potem wróciłeś do Orli i zostałeś sołtysem.

– Nie od razu, ale mnie zawsze nosiło. Już w szkole miałem jakby indywidualny tok nauczania. Pani dawała mi dodatkowe zadania i pierwsze lata nauki dobrze szły. Potem zacząłem olewać i kombinować. Ale też zawsze lubiłem chadzać swoimi ścieżkami. Całe życie jestem niespokojną duszą. Zawsze coś chciałem robić, zmieniać świat, ale robiąc to z boku, napotykałem przeszkody i byłem traktowany jak ktoś, kto tylko czyha na czyjś stołek. A ja po prostu robiłem fajne rzeczy, jak ratowanie starorzecza Orlanki, bo wszedłem z koparką, wyczyściłem i pogłębiłem. Tylko ile można było robić tak oddolnie i chodzić od Annasza do Kajfasza? Gmina Orla liczy 2,5 tys. mieszkańców, wieś ok. 800 i trzeba brać sprawy w swoje ręce. Pojechałem na zebranie, wstałem i powiedziałem, co chcę zrobić. Wygrałem i jestem sołtysem od 2014 r., czyli już trzecią kadencję.

Dlaczego pamięć jest ważna?

– Jeśli nie masz uporządkowanej przeszłości, nie możesz budować przyszłości. Upamiętnienie i pielęgnowanie pamięci trwa u nas cały czas. Historią lokalną zajmuję się od pradziejów. Kilkanaście lat temu robiłem akcję: chodziłem od domu do domu, brałem od ludzi fotografie i dokumenty, skanowaliśmy je i zrobiliśmy z kolegą archiwum. Na bazie tego wydaliśmy album „Orla – historia zapisana obrazem". Wśród niemal pół tysiąca fotografii były też zdjęcia ludzi, których już tu nie ma, czyli żydowskich mieszkańców.

Często mówię, że nasza Orla leży w „trójkącie bermudzkim", bo wszystkie drogi są wokół niej: Bielsk Podlaski – Hajnówka – Kleszczele. Można jeździć wokół Orli i w ogóle nie wiedzieć, że ona tu istnieje. Zastanawiałem się więc, czym zareklamować Orlę, bo każdy szuka swojego produktu i czegoś wyjątkowego. Jak wspominałem, gdy byłem mały, świat był parterowy, ale obok stał potężny budynek i chcesz czy nie, nosem w to wbijałeś. Dlatego nie wyobrażam sobie budowania czegoś wyjątkowego w Orli, nie opierając się na synagodze. Skoro mamy taki skarb, to trzeba być ślepym, by tego nie widzieć, i na tym można budować. Po co przybliżać jakieś rzeczy sprowadzone z Białorusi? To nie jest dla mnie autentyczne, a poza tym każdy to robi.

Jak się zaczęło z synagogą?

– Synagoga była remontowana w latach 80. z przeznaczeniem na dom kultury. Skończył się miniony ustrój i przeszła do gminy, ale była kulą u nogi, bo bida z każdej strony i zero pomysłu. Zabytek odzyskała dla społeczności żydowskiej Fundacja Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego. Jednak gdy ktoś jest w Warszawie, potrzebuje partnera na miejscu, a był nim wójt, który miał klucz, więc nic nie można było tam zrobić. Gdy dyrektorem fundacji został Piotr Puchta, zadzwoniłem do niego, spotkaliśmy się i powiedziałem: „Daj nam podziałać". Po latach dowiedziałem się, że dzień przed moim telefonem Puchta spotkał Mariana Turskiego, który powiedział mu: „Pojedź do Orli". Zaczęliśmy działać. Zorganizowaliśmy cykl wydarzeń „Cafe pod Menorą", były wystawy, zaczęli się pojawiać artyści. Organizowaliśmy w synagodze koncerty, spotkania, w sezonie co tydzień coś się działo. Chcieliśmy, by świat o synagodze usłyszał.

Nauczyliśmy się patrzeć na Podlasie jednostronnie: bieda, wyludnienie, tragedia. A tu jest inaczej, jakie przestrzenie, jak cicho.

Byliśmy tak otwarci, że ludzie zaczęli przyjeżdżać, interesować się, zebraliśmy wokół tego parę fajnych osób. Udało się nawiązać współpracę z Uniwersytetem Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu i cały desant artystyczny stamtąd przyjechał. Tworzyli prace, wystawili je, nasi się kręcili, trochę szumu już było, działo się!

Gdy jednak przyjechałam tu w 2023 r., synagoga była zamknięta.

– Widocznie komuś to wszystko przeszkadzało, bo przyjechała inspekcja budowlana i nakazała remont. Nie mogliśmy wpuszczać ludzi, więc jednocześnie szukaliśmy pieniędzy na remont i, by ludzie się nie rozpierzchli, zorganizowaliśmy na zewnątrz festiwal „Mimo wszystko – Szalom", na przekór losowi i na zasadzie „nie poddajemy się i robimy swoje!".

Dziś synagoga jest już po remoncie i ponownie otwarta.

– Sam wykonałem ten remont. Założyłem firmę i z jednym pracownikiem w koszulce z napisem „Buddach" wyremontowaliśmy dach i resztę. Wszystko zgodnie z projektem i jak najtaniej. Dofinansowanie dostaliśmy dopiero później.

Wróćmy do „Mimo wszystko – Szalom". Kiedy odbędzie się kolejna edycja festiwalu?

Nagroda POLIN „to wyróżnienie dla osób i organizacji, które często po cichu, z dala od świateł reflektorów, ocalają od zapomnienia historie, miejsca i ludzi. Przywracają pamięć, edukują, budują mosty między przeszłością a teraźniejszością, między społecznościami, między ludźmi".

FOT. MAREK JAZWIECKI, ANNA WYRWIK

eprasa.pl 4e1e01459e



Synagoga to skarb Orli, a Marek Chmielewski docenił jej potencjał.

– Zapraszamy w tym roku od 21 do 25 lipca. Będzie bardowska środa – wystąpią gitarzyści z Francji, Ukrainy i Polski. Będzie filmowy czwartek, bo okazało się, że w Orli mieszkała w dzieciństwie i młodości Miriam Kressin, pierwsza dama filmu jidysz, urodzona w Białymstoku. Pokażemy więc dwa filmy z jej udziałem. Połączymy to ze wspomnieniem Mikołaja Nestorowicza, urodzonego w Orli operatora filmowego. Przyjadą ludzie z Wrocławia, m.in. profesor historii i literatury żydowskiej, kierownik Katedry Judaistyki Uniwersytetu Wrocławskiego Marcin Wodziński, który wraz z Wojciechem Tworkiem opracował książkę „Opowieści chasydzkie. Antologia". Do tego dojdą spotkania i panele dyskusyjne, spektakl, koncert. Cały czas pracujemy nad programem.

Polacy często powtarzają, że się nie da albo że „oni" czegoś nie zrobili i zawalili, podczas gdy ty pokazujesz, że nie ma „oni", tylko jesteśmy „my" i że się da jak najbardziej.

– Jestem z tego pokolenia, że by pograć, musiałem sobie to zorganizować. Już jako 17-latek miałem klucze do tutejszego domu kultury, bo mi dali, by im głowy nie zawracać. Szliśmy się wykąpać nad rzekę, a w południe robiliśmy próbę w domu kultury. Później była przerwa i wieczorem organizowaliśmy dyskotekę. O północy nikt nie wychodził, tylko wszyscy zostawali, brali miotły, szmaty, z powrotem stoliki ustawione, wszystko ma być ładnie, pięknie poukładane. I zamykaliśmy. Tak samo było z pomnikiem na cmentarzu żydowskim. Tyle lat o nim gadano, że w końcu ufundowałem i postawiłem go sam z pomocą kilku osób. Ktoś zespawał, ktoś wypiaskował nazwy, ktoś zawiózł, postawiliśmy i stoi. Jest na nim jedno słowo: „Sąsiadom". Da się.

Jak widzisz przyszłość Orli i części Podlasia na prawo od S19? Wielu źle wam wróży, bo region się wyludnia.

– Nauczyliśmy się patrzeć jednostronnie, że jest bieda, wyludnienie, tragedia. Tu jest inaczej. Popatrz, jakie tu przestrzenie są, jak tu fajnie, jak cicho. Ja na to tak patrzę. Powymierali mi sąsiedzi, wiele lat nikt nie mieszkał, teraz się zjawił sąsiad i mi przeszkadza. Pierwsze, co zrobił, to tych tui nasadził. Co tu dużo mówić… Discopolowe mózgi ludzie mają, to z tui się wyrwą? Nie wyrwą się.

Cała Polska w tujach teraz.

– Zatujowiony świat do tui nędzy! Ale bywa, że młodzi wracają. Moje dzieci, które się powyprowadzały, już zaczęły krążyć nade mną jak bociany i w końcu pewnie tu osiądą.

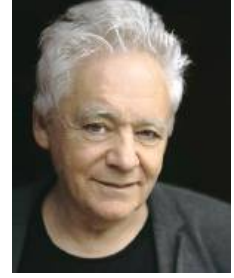
Zaczęliśmy od Europejczyka, a skończymy na człowieku. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" powiedziałeś: „Przede wszystkim jestem człowiekiem i to wynika z człowieczeństwa". Czym jest człowieczeństwo?

– Sam szukam definicji, by sobie to wytłumaczyć. Po ludzku trzeba żyć. „Nic, co ludzkie, nie jest mi obce". Nie mówię o 10 przykazaniach, bo bliżej mi do ateizmu, ale by zabijać, to chyba nigdzie nie jest napisane. Każdego traktujmy jak człowieka, zwierzę też traktujmy jak człowieka i to wszystko. „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe".

Nie chodzi też o to, by komuś narzucać swoje poglądy. Ja szanuję ludzi, którzy mnie szanują, ale potrafię też być radykalny. Jak można tańczyć na cudzych grobach czy szydzić z kogoś, że ma inny kolor skóry, inaczej wygląda czy w coś innego wierzy? Dla mnie to, wiesz… Nie chcę już ratować świata, nie chcę nikogo uczyć, bo szkoda mi czasu. Trzeba się edukować, by widzieć, że te wszystkie głupoty to głupoty, a jak jesteś już bałwan, nie chcesz czytać, nie chcesz się uczyć, to zdechniesz bałwanem, przepraszam…

Anna Wyrwik

eprasa.pl 4e1e01459e



Oko w oko Tomasz Jastrun

Autostrady do raju

Czytam swoje dzienniki. Tyle było tego życia, a teraz ocalało jedynie kilkanaście zeszytów zaczernionych moim szpetnym pismem. Kiepsko pisałem te dzienniki i będę musiał je spalić, zanim mnie spalą, chociaż trochę żal – nie mnie, ale tych dzienników. Z rzadka znajduję coś zabawnego. Oto scena sklepowa z 1975 r., zwraca uwagę w puencie odwołanie się do XXI w. „Jest 4 lipiec. Słońce pali niemiłosiernie. Śmierdzi spalinami. Powietrze jest naelektryzowane. Tłum bab stoi w kolejce, która coraz grubsza, aż nie wiedzieć kiedy zmienia się w tłum. Ten tłum faluje jak zboże na łagodnym wietrze. Nagle szaleństwo głów i rąk. Przywieźli mięso. Z tej kotłowaniny wyrywa się niewielki, łysawy człowieczek z brzuchem. Zamiast piłki trzyma połeć mięsa. Za nim gonią baby nadspodziewanie szybkie i zręczne. Jedna błyskawicznym ruchem wyrywa mu połeć mięsa, jakby wyrywała wątrobę z boku. Ten pada, po czym się podnosi i nienormalnie spokojny, jak odurzony, staje na końcu kolejki, która się z przodu nadal kłębi i burzy. Czytelniku z przyszłego wieku, zadumaj się, jaka osobliwa była Polska w 1975 r.”.

Zadumałem się. W jednym z zeszytów znajduję kilka kartek na żywność, na benzynę, na buty, na alkohol, na produkty czekoladopodobne (było coś takiego!). Młodzi tego nie rozumieją, ale ja nadal, jak wchodzę do dobrego sklepu, trochę się wzruszam.

•

W naszym Międzylesiu – w końcu administracyjnie to Warszawa – bardzo żeśmy zdziczeli. Stada dorodnych dzików wałęsają się po okolicy i coraz ich więcej. Wczoraj pchały się do naszego ogrodu. Latem w nocy zżarły nam potajemnie cebulki kwiatowe. Teraz o zmroku wielki, czarny odyniec stanął na progu i wahał się, za nim stado w oczekiwaniu na jego decyzję. Brama była otwarta, bo zamarzła i nie daje się zamknąć. Żona próbowała przez okno przepłoszyć je krzykiem, boi się dzików; o wiele bardziej myszy, ale dzików też. Tym razem dziki nas oszczędziły i pobiegły truchcikiem do sąsiadów. A mnie się podoba, że mamy takie towarzystwo, trochę dzikości w naszej cywilizacji to atrakcja. Jest portal, gdzie ludzie z naszej okolicy notują, na jakich ulicach szwendają się zwierzaki. Wielki tam ruch.

•

Prezes coraz wyraźniej skłania się do tego, by wyrwać Polskę z Unii Europejskiej, z korzonkiem, jaki w Europę już zapuściła. Entuzjazm Polaków do Unii nieco osłabł, więc prezes się ośmiela. Konfederacja i Braun są entuzjastami polexitu. Jakby Brytyjczycy nie wyszli na tym jak Zabłocki na narodowym mydle. Tam jest katastrofa. A my przecież mamy małą granicę z Rosją, a możemy mieć dużą. Są wielkie korzyści ekonomiczne z Unii, nie ma nawet o czym dyskutować. Cud gospodarczy w Polsce stał się zarówno dzięki Unii, jak i pracowitości Polaków. I było to wielkie marzenie Polaków w poprzednich wiekach, aby być jak najbliżej Europy, a nawet wtulić się w nią.

•

Tydzień po tygodniu umiera we mnie mit Ameryki. Trump pracuje nad tym w pocie czoła. Podróżowałem po Stanach w 1985 r., wiele rzeczy mnie zaniepokoiło, ale te lata to był najlepszy okres w historii kraju. Ci, którzy teraz podróżują po Ameryce, mówią, że wszystko spsiało. Narosło poczucie zagrożenia, sypie się infrastruktura, łapanki na ulicach. Uświadamiam sobie, że mit amerykański był karmiony kinem, nawet jak pokazywano ciemne strony, to imponowała dynamika i te autostrady do raju. Autostrady są, ale raju nie ma.

Kończy się jakiś etap w kulturze, przyszli barbarzyńcy.

•

W naszej maleńkiej bibliotece osiedlowej, po remoncie ładnej i przytulnej, pożyczam nową biografię Tadeusza Borowskiego, autora „Kamiennego świata”. Moja mama, znana kiedyś poetka Mieczysława Buczkówna, przyjaźniła się z Borowskim. Ze zgrozą czytam, że mama występuje w tej książce jako Wanda Buczkówna. Grzech autorki jest mniejszy, też jestem gapa, autorka jest młoda, duży za to grzech redaktora i wydawcy. Z nazwiskami jest katastrofa, choćby w czytanych książkach – młodzi lektorzy haniebnie przekręcają nazwiska słynnych artystów. Po prostu ich nie znają. I jak to możliwe, że lektor, kiedy nie jest pewien, jak czytać nazwisko, nie zapyta choćby Al! Kończy się jakiś etap w kulturze, przyszli barbarzyńcy. Bardzo to smutne. Bywają barbarzyńcy mili i łagodni – przecież to także nasze dzieci i wnuki – trzeba na to liczyć.

•

Pedofilska baśniowa wysepka Jeffreya Epsteina pełna młodych kobiecych ciał. Ujawniono miliony dowodów i świadectw. Kto tam nie bywał! A jesteśmy na początku drogi. Wyspa dla mężczyzn. Nie do pomyślenia jest taka wyspa z chłopcami dla kobiet. Jednak różnimy się. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e1e01459e



Małgorzata Gorol w serialu „Klangor”.

AKTORSKI KAMELEON

Twoja pasja ma cię napełniać, a nie zżerać od środka

Rozmawia Jan Tracz

MAŁGORZATA GOROL
– aktorka filmowa, teatralna i telewizyjna. Na koncie ma m.in. role w filmach „Twarz”, „Plan B” oraz „Śubuk”, za który otrzymała nominację do Orłów w kategorii Najlepsza główna rola kobieca. Grała również w serialach „Odwilż”, „The Office PL” i „Klangor”.

Co wyróżnia świat przedstawiony w serialu „Klangor” na tle innych polskich produkcji kryminalnych?

– Przede wszystkim surowość opowieści, trudna do rozwiązania intryga i wyjątkowa obsada.

Potrafisz sobie wyobrazić, że otrzymujesz informację o zaginięciu najbliższej ci osoby? W drugim sezonie twoja bohaterka Hela przeżywa taki dramat.

– Skoro to gram, to znaczy, że na dobrą sprawę wyobrażam to sobie. Ale jest to jednak wycieczka wyłącznie na poziomie imaginacji. Odkąd jestem mamą, bardzo uważam na to, aby nie zapraszać tej fikcji do mojego własnego życia. Nieraz grałam już matki, które przeżywają prywatne dramaty, i staram się nie identyfikować z tymi historiami. Nigdy nie używam własnej rodziny, by poczuć emocje wymagane od roli. Przeciwnie – pragnę, by nie dotykało to mojego osobistego pola. Zatem inspiracji szukam w wyobraźni, a nie w rzeczywistości.

To pomaga?

– W aktorstwie mamy przeróżne techniki uruchamiania emocji. Niektóre metody polegają na tym, by wyobrazić sobie coś innego ze swojego życia, niekoniecznie związanego z tematyką serialowej fabuły. Sama nie musiałam się do tego uciekać. Mnie moja bohaterka dotykała już na poziomie czytania scenariusza. To mnie uruchamiało i nie potrzebowałam dodatkowych bodźców.

I wystarczyło?

– Ten proces przygotowawczy zawsze jest inny. W tym wypadku scenariusz faktycznie wystarczył. Często na różne sposoby jako aktorzy dochodzimy do finalnej wersji naszych postaci. Ale tutaj naprawdę nie potrzebowałam wiele. Bywa tak, że gram role, z którymi się zmagam jeszcze na planie i w trakcie realizacji danego projektu. Po prostu coś nie gra, a ja nie potrafię zrozumieć do końca, czemu tak topornie idzie mi wcielanie się w postać mojej bohaterki. W tym przypadku w ogóle z niczym się nie zmagałam. Na pewno bardzo pomógł sam kostium. Jako aktorka zwracam szczególną uwagę na wizerunek mojej postaci i to także mnie naprowadziło. Czasami kostium może mi też przeszkadzać – zdarzają się momenty, kiedy kompletnie go nie czuję i bardzo mnie to wytrąca. Ale tu nawet sam makijaż wiele mówi o Heli. Niektóre aktorki mają bardzo wyraziste rysy twarzy (np. Tilda Swinton). Ja nie jestem aż tak charakterystyczna. Moją ekranową personę często definiuje kostium lub to, czy w danym filmie się pomaluję, czy nie skorzystam z tej opcji. Charakteryzatorki często chwalą plastyczność mojej urody. Dzięki temu mogę grać szerokie spektrum postaci.

Uważam na to, aby nie zapraszać fikcji do mojego życia.

Określiłabyś się mianem aktorskiego kameleona?

– Bardzo możliwe. Dążę właśnie do tego, aby za każdym razem na ekranie zaprezentować coś innego, nowego. Mam nadzieję (albo i życzenie właśnie), że nadal będę mogła rozwijać się w tym kierunku.

Czy wraz z reżyserem Łukaszem Kośmickim rozmawialiście o tzw. prawdzie pozaekranowej?

eprasa.pl 4e1e01459e

Czy są sekrety lub zdarzenia, których nie będzie nam dane zobaczyć, a które konstytuują bohaterkę i wpływają na jej decyzje?

– Tego typu sekrety mojej postaci pozostawiam dla siebie. Nie byłoby frajdy dla widzów, gdybym zaczęła je zdradzać. Co do przeszłości Heli – bardzo dużo dowiadujemy się o niej w ciągu całego serialu. Te migawki z jej młodości pomagają nam lepiej ją zrozumieć. Wiele rozmawialiśmy z Łukaszem o tym, co i kiedy wydarzyło się w jej życiu. Musieliśmy mieć rozpisany jej życiorys, by później konsekwentnie zdradzać widzom nieznane wcześniej fakty. Jako aktorka nie potrzebuję zbyt wielu informacji z życia postaci, które nie mają związku z samą akcją. Najefektywniej pracuję, używając intuicji.

Czy poza scenariuszem i wyobraźnią potrzebujesz jeszcze czegoś, by móc zbudować rolę?

– Pracując na planie, nieustannie buduję rolę i czerpię z wielu źródeł. Liczy się także „tu i teraz" w trakcie realizacji produkcji. Nie możemy też zapomnieć o spotkaniu z ekranowym partnerem czy z całą ekipą filmową. U mnie często rola robi się sama, przychodzi organicznie i te puzzle powoli układają się same. Moja wyobraźnia koncentruje się na danej postaci i robi wszystko, by osiągnąć obrane przeze mnie cele. Jeśli w czymś jestem, to inaczej zerkam na rzeczywistość. I w tej mojej codzienności zaczynam dostrzegać zupełnie nowe rzeczy, które nieraz mi coś podpowiadają. To prawdopodobnie jakiś rodzaj bezpieczniej manii; wystarczy być otwartym i zobaczyć, czym akurat dzisiaj możesz się zaskoczyć.

Kiedy byłaś na planie, to jak inaczej patrzyłaś na rzeczywistość? Czułaś, że widzisz coś więcej?

– Nie ukrywam, że naprawdę mało pracowałam nad moją rolą. A co za tym idzie, na rzeczywistość raczej patrzyłam w podobny sposób jak zazwyczaj. Ta higiena „niepracowania" nad naszą serialową historią była mi naprawdę potrzebna. Dlaczego? Bo byłam świeżo upieczoną mamą i ciągle coś mnie odrzucało od tego procesu. Miałam ochotę pracować przy tym projekcie, a scenariusz już na początku mnie zachwycił. Ale jakoś ciągle to wypierałam. Co ciekawe, Hela jest takim jednym wielkim wyparciem. Czyli niechcący dotknęłam clou postaci. Ona całą sobą wyparła przeszłość, zacisnęła pięści, wyjechała do Berlina i zaczęła życie od nowa.

Jest jakiś aspekt, z którego jesteś naprawdę dumna?

– Dumna jestem z tego, jak higienicznie podeszłam do tej roli i jak mało jest w niej mnie i moich własnych doświadczeń. W żaden sposób nie raniłam siebie, co początkowo nie było takie oczywiste.

Dużo czasu zajęło ci wypracowanie tej higieny pracy?

– Tak, właściwie cały czas eksperymentuję. Przede wszystkim otwieram się bardziej na atmosferę, która występuje w trakcie tworzenia danej produkcji. Bywałam ponura lub melancholijna podczas zdjęć lub prób do trudnej premiery. Z doświadczeniem i biegiem lat nauczyłam się, w jaki sposób mogę kontrolować własne samopoczucie, kiedy zaczynam pracę nad nową rolą. Dziś pragnę, aby to moje aktorstwo dawało mi radość, a nie wysysało ze mnie energii przy każdej możliwej okazji. Zmieniłam podejście do mojego zawodu – i od razu zobaczyłam efekt. Twoja pasja ma cię napełniać, a nie zżerać od środka. Wydaje mi się, że sama dużo daję, i dlatego chciałabym też coś dostawać.

Czyli przestałaś się zadręczać? Być perfekcjonistką?

– Kiedyś ciągle się zamartwiałam, jeśli w moim poczuciu coś źle zagrałam. Nie potrafiłam złapać w tym dystansu i pewnie ciągnęłam siebie w dół. Aktualnie jeśli nie zagram świetnie lub na najwyższym poziomie (na jakim bym sobie życzyła), to potrafię pochylić się nad tym i zadać sobie pytanie, dlaczego tak się stało. I nieraz widzę, że może nie jestem w najlepszej dyspozycji, a może to w ogóle nie jest moja wina. Czasem scenariusz nie będzie idealny, a kiedy indziej wpłyną na to inne czynniki zewnętrzne. Może scena jest słabo napisana? Albo nie możemy dogadać się z reżyserem?

A więc przy „Klangorze" było inaczej? Lżej?

– Jak najbardziej – właściwie każdego dnia czerpałam przyjemność z grania i wchodzenia na plan. Pewnie dlatego ta Hela tak naturalnie do mnie przyszła i już ze mną została.

Często walczysz o swoją rację na planie?

– Nie. Wręcz przeciwnie: ja nieraz się zamykam i nie rozpycham się łokciami. Znam swoją wartość i nie potrzebuję walczyć o każdy gest lub drobny element. Takie „konkury" na planie mnie w ogóle nie interesują.

Masz problem z żegnaniem się ze swoimi bohaterkami?

– Nad tym również pracuję. Z jednej strony robię jakieś rytuały pożegnalne: np. kiedy skończyliśmy zdjęcia do „Klangoru", kupiłam sobie różową bluzkę z wielkim napisem „Versace". W ten sposób mogłam odciąć pępowinę i zostawić za sobą Helę. Ale to, czy naprawdę ją zostawiłam, okazało się dopiero niedawno, kiedy po dwóch latach od skończenia zdjęć zobaczyłam ją na ekranie.

I co?

– Nic już nie dodam, nie zmienię. I zgoda, lubię Helę – niech tam sobie hula na małym ekranie. To chyba jest jak z dziećmi – rodzisz je, następnie się nimi opiekujesz, ale jednak po jakimś czasie stają się już osobnymi bytami. W pewnym momencie wyprowadzają się i na tym kończy się twoje zadanie.

Czyli puszczasz dziecko, które samo zaczyna jechać na rowerze. Chcesz je jeszcze trzymać, ale ono już samo musi sobie poradzić.

– Właśnie nie chcę trzymać! Niech robi to, czego pragnie. Tak jak ten nasz drugi „Klangor", który niedawno miał premierę i został wystawiony na ocenę widzów. Od teraz musi radzić sobie sam. Ale ja jestem o niego spokojna. ■

Nie potrzebuję walczyć o każdy gest lub drobny element. Takie „konkury" na planie mnie nie interesują.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4e1e01459e

Zęby, zabójczy kartridż i samotność

„Niewyczerpany żart”, czyli toniemy, ale jest wesoło

Tomasz Miłkowski


Niewyczerpany żart

1. Łatwo zagubić się w tej powieści. Autor przyrównywał ją do „przepięknej szklanej szyby, którą zrzucono z 20. piętra”. Nietrudno sobie wyobrazić, ile wysiłku wymaga złożenie w całość tak zdemolowanych puzzli. „Niewyczerpany żart” Davida Fostera Wallace’a już na poziomie konstrukcji stanowi nie lada żart autora, aż pęka od dramatycznych i komicznych fragmentów, wypełnionych dziesiątkami epizodycznych postaci, z których niejedna mogłaby się stać bohaterem odrębnego utworu. Każda z nich niesie swój ból. I swoją historię.

2. Kamil Białaszek, reżyser i adaptator powieści, nie pozwala widzowi na chwilę wytchnienia, wciąż atakuje go nowymi bodźcami, czasem nawet ponad miarę. Zaczyna już w holu teatralnym, gdzie aktorzy w strojach tenisowych i z umieszczonymi na piersi ekranami rozdają widzom pakuneczki z ukrytymi w nich ciastkami z wróżbą.

Reżyser Kamil Białaszek wciąż atakuje widza nowymi bodźcami, czasem nawet ponad miarę.

3. Zęby. Wszędzie zęby. Wyszczerbione. Poczerniałe od próchnicy. Sfatygowane. Niedomyte. Zanim rozpocznie się spektakl, widz wpada w objęcia monstrualnej szczęki, która tworzy horyzont sceny. Wrażenie, jakie odnosi publiczność, mógłby opisać Hamlet: Źle się dzieje w jamie ustnej.

Zęby to obsesja Hala Incandenzy – nowego wcielenia Hamleta, który zmaga się z podstawowymi pytaniami dotyczącymi sensu egzystencji. Miewa koszmary senne, w których śni o swoich (domniemanych) spróchniałych zębach, skarży się na to matce. Prześladuje go powracający koszmar, w którym jego zęby kruszeją jak łupki. Cierpi na bóle zębów, ciągle czeka go jakaś wizyta u dentysty albo właśnie się skończyła. Niemal cała jego rodzina ma problemy z zębami, ojciec ma słabe zęby i może dlatego wyreżyserował film „Zęby na wesoło”, matka postukuje długopisem o zęby, a brat Mario jest homodontem – jego zęby to przedtrzonowce równej wielkości.

4. Białaszek z pulsującego energią dzieła Wallace’a wyłuskuje trzy główne tory narracji. Opowiada w zarysie losy rodziny Incandenzów związanej z Enfieldzką Akademią Tenisową, towarzyszy wychodzącym z nałogu rezydentom domu przejściowego dla narkomanów Ennet House, sąsiadującego z akademią, i podpatruje grę toczoną między asami wywiadu amerykańskiego i quebeckiego w poszukiwaniu zaginionej taśmy matki filmu Jamesa Incandenzy „Niewyczerpany żart”. Tak uporządkowana narracja wedle zamierzeń reżysera ukazuje, że „marzenie, by stać się kimś wielkim, doprowadza wielu ludzi do upadku i ucieczki w uzależnienia i przemoc”,

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

eprasa.pl 4e1e01459e

jak mówił w wywiadzie dla „Przeglądu”. Najwyraźniej uskromnił wymowę swojego spektaklu, który jest namiętną krytyką jałowości kapitalizmu, oferującego ludziom wyścig donikąd.

5. Wielu bohaterów „Niewyczerpanego żartu” sprawia wrażenie krewnych Hamleta. Historia dorastającego młodego Hala to opowieść o rozterkach wieku dojrzewania (choć bez burzy hormonów). Jego cierpienia budzi morderczy trening, mający zapewnić miejsce wśród najlepszych w rankingu młodych tenisistów, osładzany coraz silniejszym uzależnieniem od narkotyków, i niedostatek więzi emocjonalnych z rodziną. Fakt, że w roli Hala obsadzony został Hugo Tarres, grający w Narodowym tytułową rolę w „Hamlecie” Jana Englerta, dodatkowo podkreśla hamletyczny rodowód tej postaci.

Ojciec Hala, James Incandenza (Henryk Simon), wybitny optyk i wynalazca, założył EAT, nim wybrał drogę filmowca amatora rewolucjonizującego formę rozrywki kartridżowej. Nakręcił dziesiątki filmów, które pasjami ogląda jego syn. Synowie nazywają go Jegomościem, co trafnie określa dzielący ich dystans.

6. Po śmierci Jegomościa EAT rządzi matka Hala, Avril Incandenza. Sławomira Łozińska jako wszechwładna pani dziekan porusza się z gracją, promienieje uśmiechem, zanurzona w papierach i studiach semantycznych oraz oddana cielesnym przygodom z osobnikami płci odmiennej, często o wiele od niej młodszymi, ze swoimi synami, nazywającymi ją Mamuś, pozostaje w stosunkach kwaśno-ciepłych. Romans Mamuś z czołowym zawodnikiem akademii Johnem Wayne’em budzi niechęć Hala, ale przedstawia się zabawnie, bo zamiast zawodnika krąży po scenie adorujący Avril przysadzisty robot.

7. Znajduje to uzasadnienie w utworze Wallace’a, będącym powieścią futurystyczną. Jej akcja toczy się (najczęściej) w Roku Pieluchomajtek Depend dla Dorosłych, bo w obliczu rewolucji reklamowej poszczególne lata w świecie „Niewyczerpanego żartu” biorą nazwy od firm sponsorujących dany rok. Obliczenia sugerują, że w przekładzie na kalendarz gregoriański to mniej więcej rok 2018, czyli nasza współczesność. Nie była to więc przyszłość odległa, ale bardzo odmienna od roku 1994, kiedy powieść opublikowano. Z USA, Kanady i Meksyku powstała federacja ONAN, w której Kanada stała się składowiskiem toksycznych odpadów. Życie ogniskowało się wokół rozrywki kartridżowej (w naszym świecie byłyby to streamingi), kontakty społeczne zamierały z wyjątkiem klubów AA i innych kół ludzi zmagających się z uzależnieniami, a największym zagrożeniem stał się wspomniany film Incandenzy.

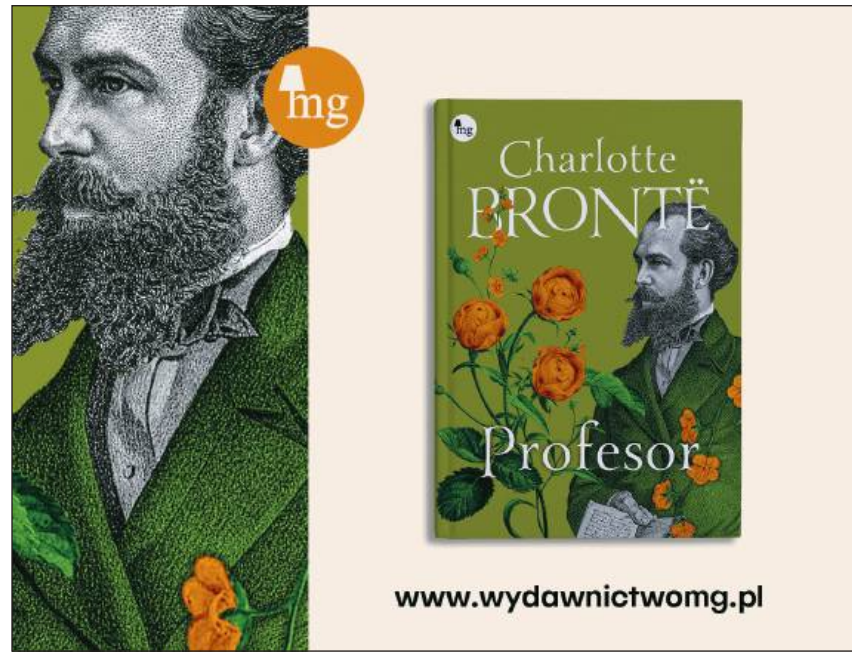
8. Obok akademii toczy się życie w Ennet House, w którym aniołem opiekuńczym jest Don Gately (sugestywna rola Roberta Czerwińskiego), olbrzym o gołębim sercu. Gately nie hamletyzuje, nie lituje się nad sobą, bo sobie zawdzięcza wyzwolenie i ocalenie. Próbuje zaszczepić to rezydentom Ennet House, mającym za sobą udręki uzależnienia. To tutaj odnajdzie miłość życia, Joelle van Dyne (Hanna Wojtóściszyn).

9. Nieco powietrza do tej zagęszczonej atmosfery życiowych upadków i niepokojów przed przyszłością wpuszczają pogwarki szpiegów, Steeply’ego udającego ponętną kobietę (Bartłomiej Bobrowski) i pochodzącego z Kanady Marathe’a (Grzegorz Kwiecień). Spotykają się oni zwykle na jakiejś skalnej półce. Rzecz o tyle zdumiewająca, że szpieg kanadyjski (kilkakrotnie odwrócony) jest beznogi, na wózku, i trudno sobie wyobrazić, jakim cudem znalazł się na takiej wysokości. Panowie próbują się przechytrzyć, ale co chwilę wychodzi szydło z worka – sami nie są w stanie się połapać, w jaki sposób zdobyć film matkę i uchronić ludzkość przed zbiorowym samobójstwem.

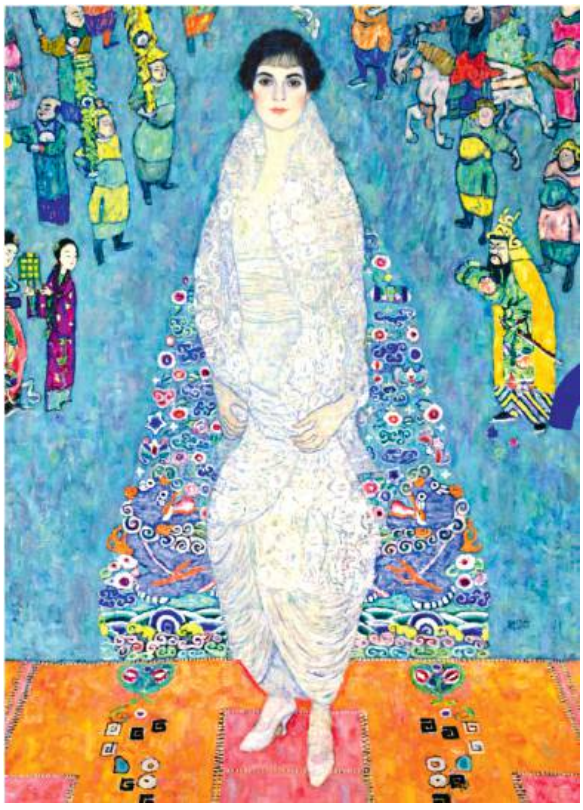
10. „Niewyczerpany żart” w lekturze i na scenie przypomina reportaż z „Titanica”. Toniemy, ale przecież jest wesoło.

David Foster Wallace, „Niewyczerpany żart”, tłumaczenie Jolanta Kozak, reżyseria i adaptacja Kamil Białaszek, Teatr Narodowy, premiera 13 grudnia 2025

Wielu bohaterów „Niewyczerpanego żartu” sprawia wrażenie, że są krewnymi Hamleta.



eprasa.pl 4e1e01459e



Gustav Klimt, Portret Elisabeth Lederer, 1914-1916, sprzedany za 236,4 mln dol.



Gustav Klimt, Blumenwiese, 1908, sprzedany za 86 mln dol.

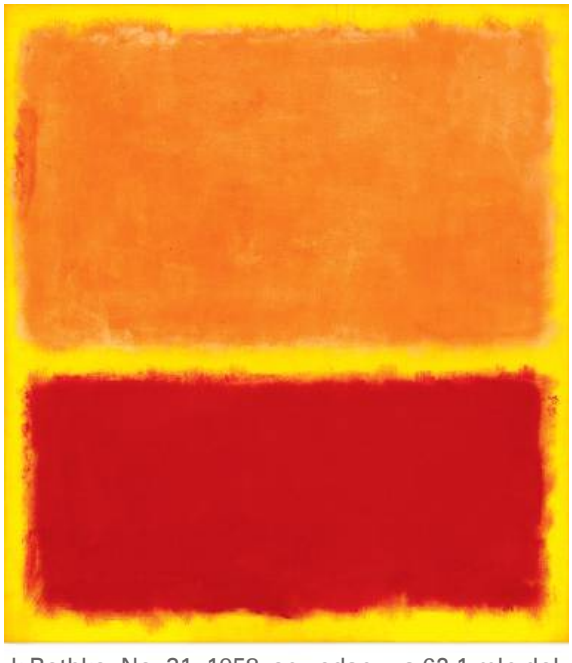


Ubiegły rok na rynku sztuki potwierdził, że mimo ostrożnych nastrojów globalnych najwyższy segment aukcyjny pozostaje odporny na wahania. Zestawienie najdrożej sprzedanych obrazów zdominowały klasyczne nazwiska modernizmu i sztuki XX w. Absolutnym rekordzistą okazał się Gustav Klimt –

Miliony na płótnie
Najdroższe obrazy roku 2025



Frida Kahlo, El Sueño, 1940, sprzedany za 54,7 mln dol.



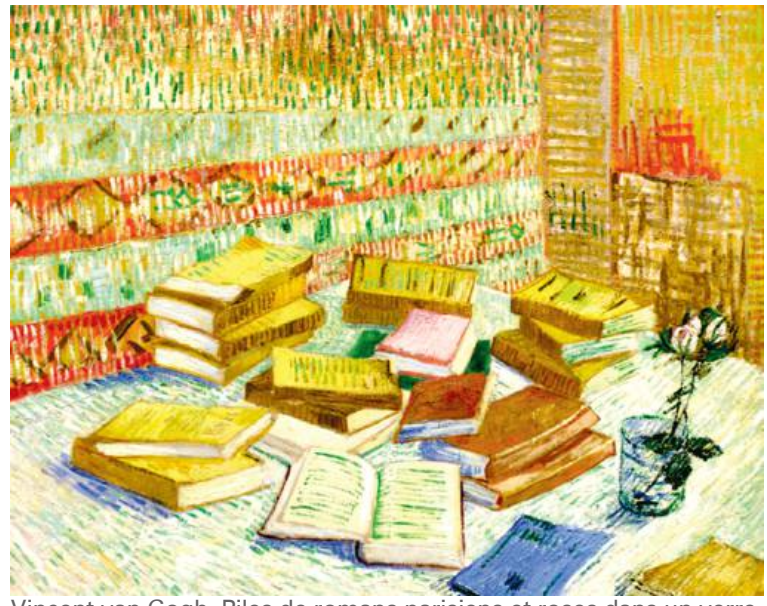
Mark Rothko, No. 31, 1958, sprzedany za 62,1 mln dol.

eprasa.pl 4e1e01459e



Gustav Klimt, Waldabhang bei Unterach am Attersee, 1916, sprzedany za 70,8 mln dol.

jego „Portret Elisabeth Lederer" stał się najdroższym obiektem aukcyjnym roku, ale też inne prace austriackiego artysty uzyskały wysokie ceny, podobnie jak dzieła van Gogha, Fridy Kahlo, Mondriana, Moneta, Picassa i Hockneya. Rekord aukcyjny Kahlo, 54,7 mln dol., ustanowił nowe maksimum dla dzieła autorstwa kobiety. Wyniki te pokazują, że kolekcjonerzy konsekwentnie wybierają obiekty o muzealnej randze i ikonicznym statusie.



Vincent van Gogh, Piles de romans parisiens et roses dans un verre, 1887 sprzedany za 62,7 mln dol.



David Hockney, Christopher Isherwood i Don Bachardy, 1968, sprzedany za 44,3 mln dol.



Claude Monet, Nymphéas, 1907, sprzedany za 45,48 mln dol.



Pablo Picasso, La lecture, 1932, sprzedany za 45,48 mln dol.

eprasa.pl 4e1e01459e

NA EKRANACH



„Wielki Marty”,

reż. Josh Safdie, prod. USA, już w kinach

30-letni Timothée Chalamet, uznawany za symbol nowego mężczyzny – wrażliwego i nieskrywającego uczuć, gra tu zaprzeczenie tych cech. Jego Marty jest dupkiem opętanym tenisem stołowym, świata nie widzi poza paletką i piłeczką. Żeby pojechać na mistrzostwa do Japonii i odegrać się za upokarzającą przegraną w meczu z Koto Endo, największym rywalem, nie cofnie się przed niczym i poświęci nawet zakochaną w nim, ciężarną dziewczynę. Stawka jest wystarczająco wysoka, a Chalamet – dość przekonujący, żeby za nim iść, ale im dalej w scenariusz, tym szybciej wychodzą na wierzch problemy z „Wielkim Martym”, który nie może się zdecydować, czy jest filmem o makiawelicznej obsesji, czy komiksową zgrywą, w której niemoralność bohatera musi w końcu zostać uleczona po jego przebudzeniu. W efekcie film stoi w rozkroku – także politycznym, bo choć rozgrywa się w czasie, gdy Japończycy byli wrogami numer jeden Amerykanów po Pearl Harbor, jakby w obawie przed poprawnością polityczną ucieka od tego, że pojedynek Endo-Marty jest symboliczną kontynuacją wojennego napięcia. Realny konflikt epoki zamienia się w wygładzone widowisko pozbawione ideologicznego znaczenia.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

Jakie dziedzictwo?

Jakie to dziedzictwo, jak głębokie to korzenie i jakie przemiany nastąpiły w czasach, kiedy świat ortodoksyjnych Żydów polskich coraz bardziej ulegał wpływom nowoczesności i do jego wnętrza przenikały nowe idee i wyzwania? Te pytania zawsze przewijały się w prozie Icchoka Baszewisa Singera.

Staje przed tymi pytaniami bohater jego powieści Kalman Jakobi, patriarcha rodu z Jampola, który, obejmując dzierżawę majątku Jampolskich po powstaniu styczniowym, zderza się z obowiązkami biznesmena, producenta, obracającego wielkim kapitałem, a jednocześnie stara się sprawować pieczę nad czterema córkami na wydaniu. Losy Jakobich i ich najbliższych stanowią kanwę opowieści, choć w spektaklu Roberta Talarczyka to losy przywoływane z pamięci, aby przeżyć je na nowo i zrozumieć przeznaczenie. Nad tym światem, uwznioślonym monumentalną scenografią, unoszą się słowa cadyków i Pisma, tajemne wezwania dybuków. Ucieleśnia je w finale spektaklu Gołda Tencer, wzywając czas przeszły i tych, których już nie ma, na świadków dziedzictwa.

Postacią spajającą całość wydarzeń jest Kalman, grany w premierowym spektaklu przez Roberta Talarczyka – zapewne Jerzy Walczak w tej samej roli (a grają na zmianę) tworzy zupełnie inną kreację. To ciekawy zabieg, pozwalający podążać różnymi ścieżkami rozwoju postaci. Liczą się tu też inni protagoniści, a przede wszystkim druga żona Kalmana Klara (Małgorzata Trybalska) i młody lekarz Azriel (Daniel „Czacza” Antoniewicz).

Premiera „Dziedzictwa” zwieńczyła 75-lecie Teatru Żydowskiego, potwierdzając silne więzi łączące ten teatr (dość przypomnieć festiwal Warszawa Singera) z twórczością noblisty. Piękne dziedzictwo.

Tomasz Miłkowski



Icchok Baszewis Singer, „Dziedzictwo”, scenariusz oparty na pomyśle Krzysztofa Teodora Toeplitza, reżyseria Robert Talarczyk, Teatr Żydowski im. Estery Rachel i Idy Kamińskich, premiera w Klubie Dowództwa Garnizonu Warszawskiego, 30 stycznia 2026

MIĘDZY OKŁADKAMI



Ana María Matute

Pierwsze wspomnienie

tłum. Ewa Zaleska
Cyranka, Warszawa 2026

Osadzona w realiach hiszpańskiej wojny domowej historia 14-letniej Matii, wysłanej po rodzinnej tragedii na Majorkę, nie jest klasyczną narracją wojenną. Wojna pozostaje tu tłem – cichym, lecz wszechobecnym – dla rozpadu relacji międzyludzkich, brutalizacji codzienności i utraty niewinności. Zamknięta przestrzeń wyspy, zdominowana przez surową Donnę Priscilię i niejednoznaczną postać kuzyna, Borji, działa jak soczewka skupiająca napięcia społeczne. Dziecięcy świat, obserwowany z wrażliwością i bez złudzeń, staje się metaforą społeczeństwa opartego na przemocy, hipokryzji i strachu. Matute z precyzją oddaje atmosferę duchoty – moralnej i fizycznej – w której każde spojrzenie i gest niosą znaczenia. Siła tej prozy tkwi w języku: gęstym, poetyckim, a zarazem bezlitosnym w diagnozach. To literatura wymagająca, lecz olśniewająca – światło, które nie rozprasza ciemności, ale pozwala ją zobaczyć w całej prawdzie.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MONOLITH FILMS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4e1e01459e

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Zwabiony talentem popularyzatorskim autora sięgnąłem po „Quo vAldis" Andrzeja Dragana. Ale zostałem też sprowokowany narastającym zafrapowaniem sztuczną inteligencją, a zwłaszcza tempem jej samodzielnego rozwoju, na które człowiek już nie ma wpływu. W słowie wstępnym prof. Dragan wyraża życzenie: „…oby ta książka do momentu wydania nie zdążyła się nadmiernie zdezaktualizować". Od wydania minęło już trochę czasu, co w przypadku rozwoju AI może oznaczać szmat czasu. Kiedy książka powstawała, nie istniał jeszcze np. Moltbook – portal społecznościowy dla robotów, a ściślej „agentów AI", gdzie boty same dyskutują między sobą, także na temat ludzi i charakterów ich relacji.

Przez szczeliny

Im dłużej jestem w lekturze tej arcyświeckiej książki napisanej przez człowieka nauk ścisłych, tym bardziej, paradoksalnie, osuwam się w myślenie metafizyczne. No bo skoro taka przywra, której przykład podaje autor, w ogóle nie ma mózgu, a działa precyzyjnie, by nie rzec zmyślnie, a jej cykl życiowy, czyli pasożytowanie na ślimaku, potem na ptaku, jest diablo (bosko?) precyzyjny? Ja wiem, to wszystko tylko mechanizmy ewolucyjne, czyli, jak mawiał mój ojciec rozpięty do granic między bogobojnością i racjonalnością, „genialna natura to wymyśliła". A jednak mój robotniczo-chłopski rozum czuje pokusę pójścia na łatwiznę i uznania, że to robota jakiegoś Demiurga, Wielkiego Przedwiecznego Programisty, który stworzył wszechświat. Jeśli więc chciałbym zadać Draganowi jakieś pytanie, to o to, czy przez szczeliny w twardej wiedzy przenika czasem coś irracjonalnego, czy jest jakaś mikra chociaż szansa na to, że Bóg istnieje? Wszak na przykładzie elektronu autor sam pisze, że „fundamentalne prawo fizyki" oznacza po prostu, że nie mamy pojęcia, skąd ono się wzięło.

Tu zatem dochodzimy do granic poznania – i ja, człowiek utraconej wiary w Kościół, ale wciąż drzemiącej gdzieś pod lodem wiary w Stworzyciela, pytam: kto za tymi granicami się kryje? Człek się łapie w obliczu światowego obłędu, który zdaje się zmierzać do ostatecznej zagłady, że właściwie nie byłoby najgorzej, gdyby taki Bóg sobie istniał – a właściwie nie sobie, lecz tym, którzy go potrzebują zamiast sumienia.

Jako nieuleczalny katastrofista po lekturze Dragana mam dodatkowy dylemat – wybór „między kiłą a rzeżączką", czy wolałbym, żeby wykończyła nas sztuczna inteligencja (kiedy już wyrozumuje, że największym zagrożeniem dla życia planety Ziemia jest rasa ludzka), czy żebyśmy sami się wyrżnęli w pień. Młodzi jakimś sposobem wydają się impregnowani na te lęki, a przecież Wielka Wojna najprędzej dotknie tę część społeczeństwa, która życia poza miastem sobie nie wyobraża, tę, dla której blackout będzie śmiertelnym zagrożeniem. „Wojny nie wybuchają – poprawia mnie znajomy – wojny są realizowane według długotrwale i precyzyjnie przygotowywanych planów; często ich początki są tak nieoczywiste, że łatwo je przeoczyć".

Owóż, generacja płatków śniegu przepadnie błyskawicznie ze swoim całkowitym brakiem naskórka. Dowiaduję się ze zdumieniem i zgrozą o nowej interpunkcji internetowej pokolenia Z. Nie wolno stawiać kropki na końcu zdania, bo to „znak nienawiści". Brak serduszka za każdym komunikatem już jest wyrazem chłodu. Kciuk uniesiony w górę to emotka *passive aggressive*. Usuwanie z grona znajomych osób, które nie lajkują posta lub rolki, jest na porządku dziennym. Lajk i hejt – obrzydliwe anglicyzmy, niestety już najwyraźniej niezastąpione – „w jednym stały domu": brak lajka to już hejt. To pokolenie nieodporne już nawet nie na słowa krytyki, ale na brak pochwał – wietrzące najmniejsze oznaki braku akceptacji we wszystkim wokół. Nie robi sobie profilaktycznych ćwiczeń z bycia niezalogowanym, strefy komfortu ma ciaśniuteńkie. Trudno mi sobie wyobrazić zetki w konfrontacji z dziką naturą.

Ostatni weekend znowu spędziłem z dala od cywilizacji, w chatce bez prądu, wody i zasięgu, w ten sposób wracając do rytmu rudymentarnych potrzeb, od świtu do zmierzchu: narąbać drew, rozpalić w piecu, zjeść, pójść do głębokiej szczeliny jaskiniowej (ale każdy może znaleźć swój odpowiednik kontaktu z naturą, może to być zwykły spacer w dziczy, w krainie pozbawionej odgłosów cywilizacji). W sąsiedztwie stoi speleobaza, gdzie odwiedziłem kilkunastoosobową grupę samców w wieku reprodukcyjnym. Poziom testosteronu buzował tam jak w okopach, siekiera wisiała w powietrzu – elementami „męskiej przyjaźni" są tu także wódczane waśnie i pogodzenia, typowo pijackie mordobicia przechodzące we wzajemne przytulenia. Śnieżynki by tego napięcia znieść nie mogły, a mnie się od razu pomyślało, że wystarczy zgromadzić mężczyzn w pokaźne stado, aby samoistnie wzajem stymulowali instynkty drapieżców: jednopłciowa grupa to już potencjalny oddział niewyładowanych seksualnie buhajów, którzy muszą znaleźć sublimację w przemocy wobec kozła ofiarnego. Wojna nie jest anomalią, ona leży w dzikiej ludzkiej naturze. ■

eprasa.pl 4e1e01459e



Z początkiem lat 90. Kanczendzonga zabrała całą ówczesną światową, kobiecą elitę wysokościowej wspinaczki.

OSTATNI SZCZYT WANDY RUTKIEWICZ

Jak Polki zdobywały Himalaje

Piotr Trybalski

W 1990 r. Wanda Rutkiewicz ma 47 lat, sześć ośmiotysięczników na koncie i pomysł, by do 1991 r. zdobyć pozostałych osiem. Jeśli jej się uda, nie będzie trzecia – po Messnerze i Kukuczce. Będzie wielka i pierwsza. Będzie pierwszą z pań, która zdobędzie Koronę Himalajów i Karakorum. Będzie pierwsza – jak po Evereście, jak na K2. Znów zrobi coś, co pozwoli jej zapisać się w historii. (…)

Zarzuciła swój ideał ambitnych wejść. Tłumaczyła się, że gdyby chciała wejść na wszystkie ośmiotysięczniki w dotychczasowym stylu, ambitnie, trwałoby to zbyt długo. „Odkryłam, że może być wyzwaniem dla mnie samej, jeśli pójdę własną drogą", tłumaczyła w wywiadzie. Wejść na wszystkie ośmiotysięczniki, ale w rekordowo krótkim czasie. Ścigać się, ale – jak twierdziła – z samą sobą.

– „Po co ty z nią jeździsz, ona w końcu cię kiedyś upierdoli!" – Ewa Panejko-Pankiewicz wspomina słowa Anny Czerwińskiej, zaskoczonej tym, że Ewa planuje pomoc Wandzie w realizacji pomysłu, że będzie jej górską partnerką na ośmiu brakujących do Korony ośmiotysięcznikach.

– Za to, co zrobiła Wanda dla naszego środowiska, czapki z głów – tłumaczyła Krystyna Palmowska. – Wandzie trzeba oddać to, co się jej należy. Bez jej zaangażowania nie doszłybyśmy tak daleko.

Ale faktycznie, miała problem z prawidłową oceną swoich partnerów, tym samym narażała ich na niebezpieczeństwo w górach. Ale było coś jeszcze – na dużych wysokościach, powyżej 8000 m, w strefie śmierci, która nie bez powodu jest tak nazwana, Wanda chodziła tak wolno, że zagrażało to życiu. Co w przyszłości mogło zaowocować sytuacją ostateczną – któraś z jej partnerek będzie musiała albo ją ratować, narażając własne życie, albo ratować siebie, gdy Wanda przeszarżuje i zostanie w górach. Bo Wanda tego nie widziała. Cóż, zapach śmierci ciągnął się za nią już od jakiegoś czasu. Wyliczano jej wyprawy i śmierci bliskich jej uczestników wspólnych wyjazdów. A sam pomysł Karawany (Karawana do marzeń – program zdobycia szczytów Wandy Rutkiewicz – przyp. red.) w swojej prostocie był równie odważny, co niebezpieczny. W skrajnym przypadku mógł zakończyć się tragicznie.

– Wanda planowała permanentną akcję górską, tak by na stałej aklimatyzacji zdobywać szczyt za szczytem – opowiada Panejko-Pankiewicz.

Pomysł błyskotliwy – bo taniej, szybciej, bez potrzeby powrotu do Polski. Było w tym nieco romantyzmu, a ten dobrze się sprzedawał. (…) W sukces oprócz samej zainteresowanej wierzyła jej menedżerka, Austriaczka Marion Feik, która załatwiła możnych sponsorów. Wierzyła też Ewa Panejko-Pankiewicz. Wanda nie zważała na to, że już na K2 w 1986 r. czuła się źle, że była coraz słabsza. Chodziła wolno. Wysoka na 152 cm Panejko-Pankiewicz, przy 168 cm Wandy, parła przed siebie niczym lokomotywa. Na Gaszerbrumie I zostawiała Wandę daleko w tyle.

– To Ewa poprowadziła największe trudności, ale mówiło się jedynie o kolejnym sukcesie Wandy – wspomina Danuta Wach.

W to, że Wandzie uda się ukończyć Karawanę, nie wierzyła większość polskiego środowiska wspinaczkowego. Gadali za plecami.

– Jest zbyt stara, za słaba.

– Pomysł błyskotliwy, ale do zrobienia z pomocą Szerpów, na tlenie, a nie na szybko.

– To jest nierealne.

– To się skończy źle.

eprasa.pl 4e1e01459e

Gdy jesienią 1991 r. dołączyła do wyprawy Krzysztofa Wielickiego na Annapurnę, na szczyt weszła samotnie. Bo nie miał kto z nią iść, mimo że posiadała dobrą aklimatyzację po zdobyciu Czo Oju. Była zbyt wolna, by dotrzymać kroku któremuś z kolegów. Zresztą tak samo zdarzyło się w 1987 r., gdy wspinała się na wyprawie Jerzego Kukuczki na Annapurnę. Wówczas wszyscy byli pod wrażeniem jej wejścia na K2 i jednocześnie zaskoczeni tym, jak wolno chodzi na wysokościach. W 1991 r. stanęła na szczycie Annapurny, ale Ewy Panejko-Pankiewicz już z nią tam nie było.

– Musiałam zrezygnować, zdrowie i troska o dom, interesy handlowe nie pozwoliły mi kontynuować udziału w jej programie – tłumaczy.

Gdy Wanda wróciła do Polski, musiała zmierzyć się z problemem, który wprawdzie nie był niczym nowym we wspinaczkowym światku, ale dla niej stanowił policzek wymierzony ze strony, której się nie spodziewała. Musiała udowodnić, że… weszła na szczyt Annapurny. (…)

Na szczyt szła sama, niedaleko wierzchołka spotkała schodzącego ze szczytu Ryszarda Pawłowskiego. Gdy zapytała go o kierunek, ten zawahał się, nim odpowiedział. Wanda tłumaczyła to potem faktem, że tak zdobyta wiedza mogłaby zostać wykorzystana w przewrotny sposób. Mogła powiedzieć, że weszła, opisać drogę, ale nie podejmować wysiłku zdobycia szczytu. Taki właśnie scenariusz brał pod uwagę Pawłowski. Gdy zeszła do bazy z wierzchołka, radości kolegów nie było. Wątpili w jej sukces, wątpił kierownik, Krzysztof Wielicki, mimo to w protokole wyprawy zapisał, że weszli wszyscy uczestnicy.

Podejrzenia o kłamstwo były dla Wandy niczym siarczysty policzek wymierzony przez tych, którzy powinni ją wspierać. W 1991 r. Rutkiewicz i Wielicki szli łeb w łeb. Mieli po osiem ośmiotysięczników na koncie. I jeśli Wielicki nie miał wielkich szans, by stanąć jako trzeci na pudle, to Wanda tak naprawdę nie miała z kim konkurować o palmę pierwszeństwa. Była niekwestionowaną liderką.

Na odlew, w twarz, dostała po powrocie do Polski. Ktoś doniósł do mediów. Zastała gorącą atmosferę i mnóstwo medialnych spekulacji. Rutkiewicz – oszustka.

– Alpinizm to jest męski sport, trzeba o tym jasno powiedzieć. Jeśli pojawią się tam jakieś kobiety, to są od razu oceniane – tłumaczy Ewa Panejko-Pankiewicz. – Jak się wspinają, jak wyglądają? Przede wszystkim: jak się zachowują?



Wanda Rutkiewicz podczas wyprawy na Mount Everest. Nepal, Himalaje, październik 1978 r.

Jak się zachowała Wanda na Annapurnie? Jej była górska partnerka wspomina, że nim Wanda wróciła do Polski, telefony się urywały. Dzwonili dziennikarze, drążyli, szukali dziur, czerpali dziwną, niezrozumiałą satysfakcję z samego faktu, że może być z tego afera. Karawana trwała, Rutkiewicz wciąż była w górach, nie mogła się bronić. Środowisko chciało sprawę jak najszybciej wyjaśnić. Oczyścić Wandę z podejrzeń? Ewa uważa dziś, że konflikt ze środowiskiem miał damsko-męski, a nie górski charakter.

– Niektórych bolało to, że dobrze się wspinała, że była świetną organizatorką, niezależną, i na dodatek miała marzenia i pomysły – tłumaczy Ewa. (…) Uważa, że Wandę krytykowano za wszystko: za to, że nie ma dzieci, za wygórowane ambicje, za to, że jest kolorowym ptakiem, który wyłamuje się z ram roli Matki Polki. „Problemem" zajęła się specjalna komisja powołana przez Polski Związek Alpinizmu. Wanda dostarczyła lichej jakości fotografie ze szczytu – było dość ciemno, gdy fotografowała – a komisja uznała, że na szczycie była. Pawłowski ją przeprosił. Temat został zamknięty. Ale gorzki smak pozostał.

Pech, złość i rosnąca determinacja. Te siły napędzały początek Karawany. Tuż po sukcesie na Annapurnie, okupionym odmrożeniami palców, Wanda pojechała pod Dhaulagiri. Znalazła sposób na wyprawy – stawiała na młodych, silnych, ale i niezagrażających jej w parciu na szczyt. Zrzucała na nich organizację wyprawy, a sama dołączała na gotowe. Kimś takim był na Gaszerbrumach w 1990 r. Piotr Pustelnik, a rok później pod Dhaulagiri Arkadiusz Gąsienica-Józkowy. (…)

I jechała tam jak na gotowe, po sukces („Naszym zadaniem było wykonanie czarnej roboty" – to Pustelnik), tak samo miało być pod Dhaulagiri. Miała stać gotowa baza, mieli czekać koledzy – w międzyczasie wspinając się, podciągając liny poręczowe, zakładając obozy. Wanda, zaaklimatyzowana, miała przyjechać, odpocząć, wejść, zejść i jechać dalej, na Manaslu. Proste. Nie czekali. Spotkała ich schodzących, ze zwiniętą bazą. Twierdzili, że pogoda nie dawała szans na akcję górską. Że to bez sensu.

Z Manaslu też nic nie wyszło. Zła passa zaczęła się już wcześniej, na wyprawie z Japończykami na Makalu w 1990 r. i Słoweńcami na Kanczendzondze rok później. Wanda nie miała szczęścia, rozpoczynając pogoń za Koroną. I chociaż nie liczyła na to, że ktoś jej pomoże, poda rękę, ułatwi, to jednak na własnej skórze odczuła, co znaczy męska siła w górach.

W pierwszym przypadku było to ego samuraja – kierownik wyprawy na Makalu, Makoto Hara, po udanym wejściu kolegów Japończyków i nieudanej z powodu załamania pogody próbie pań, po prostu zamknął

FOT. PAP/REPRODUKCJA, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4e1e01459e

wyprawę. I nie miała dla niego znaczenia umowa ani fakt, że kolejna próba pań nie wiązała się z żadnymi dodatkowymi nakładami czy problemami. Na szczyt miała szansę wejść i Wanda, i Ewa Panejko-Pankiewicz, byłyby pierwszymi kobietami na wierzchołku. Gdy Wanda, w złości, ruszyła samotnie – została zatrzymana. Hara zaszantażował ją, że doniesie Ministerstwu Turystyki Nepalu, w efekcie czego Wanda dostanie zakaz wjazdu do Nepalu. Rutkiewicz zawróciła z 7900 m. Emocje opadły, zastanawiała się, czy Hara, reagując tak zdecydowanie i radykalnie, nie obawiał się tego, że wejście pań obniży wartość wejścia japońskiego, poprowadzonego na dopingu – dodatkowym tlenie, z pomocą Szerpów.

– Była zawiedziona i trochę bezradna, bo okazało się, że żaden pomysł na organizację wypraw nie działa – tłumaczy Ewa.

Traciła szanse na zdobycie szczytu nie dlatego, że wyzwanie ją przerastało, ale z powodu osób trzecich.

Ów schemat powtórzył się na Kanczendzondze w 1991 r. Do wyprawy słoweńskiej na trzeci co do wysokości szczyt Ziemi dołączyły z Ewą, za co zapłaciły 8 tys. dol. Teraz to one były dewizowcami, którzy gwarantowali 15-osobowej wyprawie dolarowe status quo. Miały działać samodzielnie, nikomu nie wchodzić w drogę. Czuły jednak zarówno niechęć uczestników wyprawy, jak i oddech na plecach Mariji Frantar, która pretendowała do tytułu pierwszej kobiety w historii na tym szczycie. Marija pozostawała pod ogromnym wpływem Toniego Škarji, kierownika wyprawy i legendy słoweńskiego alpinizmu i himalaizmu. Sterował nią niczym marionetką, ustalając szczegółowe scenariusze działania. Jednocześnie ją chwalił i uznawał za alpinistkę wszech czasów swojego kraju, jak i pozbawiał prawa do decyzji. Na efekt nie trzeba było długo czekać, Marija nie wytrzymała. Przeciwstawiła się, do samowolnego ataku szczytowego wyszła z obozu czwartego z partnerem. Niestety, byli zbyt wolni, obóz był za nisko. Ich ciała dwa dni później odnalazła podczas samotnej próby wejścia na szczyt Wanda. Planowała lekki biwak na 8000 m i wejście na szczyt. Na prośbę kierownika ruszyła w poszukiwaniu słoweńskiej dwójki. Złe wieści, które przekazała do bazy, przyniosły efekt, którego się nie spodziewała. Śmierć Mariji i wcześniejsze sukcesy męskiej części ekipy, która zdobyła wierzchołek, sprawiły, że Škarja zarządził koniec wyprawy i odwrót.

W to, że Wandzie uda się ukończyć Karawanę, nie wierzyła większość polskiego środowiska wspinaczkowego. Gadali za plecami.

Na nic zdały się prośby Ewy i Wandy o pozostawienie Szerpów i części wyposażenia bazy. Kierownik z nikim niczego nie konsultował, był nieubłagany, po prostu powiedział „nie". I już.

– Byłyśmy załamane, na dodatek Wanda zostawiła w trzecim obozie cały sprzęt filmowy – wspomina Ewa.

•

Czerwiec 1991 r., Komarno w Karkonoszach. Drugie spotkanie Byłych Uczestników Byłych Wrocławskich Wypraw w Góry Najwyższe – towarzyski zjazd, na którym nie zabrakło Ewy Panejko-Pankiewicz i Wandy Rutkiewicz. Marian Sajnóg, z mikrofonem w dłoni, prowadzi wywiad, jeszcze nie wie, że będzie to ostatni wywiad z Wandą. Pyta o przyczynę upadku polskiego himalaizmu. „Młodzi ludzie stają przed wyborem, co będą robić dalej. Kiedyś, wspinając się, chodząc po górach, traciliśmy mniej. Teraz być może tracimy okazję zapewnienia sobie przyszłości", odpowiada Rutkiewicz.

Rok później, ponownie otwierając projekt Karawany, pojechała w marcu na Kanczendzongę – jeden z dwóch, obok Lhotse, niezdobytych dotąd przez kobiety ośmiotysięczników. Dalej miało być Dhaulagiri, Manaslu, Broad Peak. Wszystko w jednym ciągu. „A potem się zobaczy", tłumaczyła.

Koledzy i koleżanki ze środowiska kręcili głowami.

„Opracowany harmonogram nie uwzględniał warunków pogodowych i czegoś takiego jak wyczerpanie się sił organizmu, czego już wcześniej doświadczyło kilku realizujących podobne pomysły panów – twierdził Józef Nyka. – Plan był od początku nierealny".

„Widziałem w jej oczach smutek", wspominał Tadeusz Hudowski, alpinista i wydawca książek górskich.

„[Na Annapurnie – przyp. aut.] zobaczyłem w Wandzie autodestrukcję", tłumaczył Bogdan Stefko, himalaista, uczestnik wyprawy na Annapurnę.

„Kiedy usłyszałam o Karawanie, pomyślałam, że Wanda się zabije, i nawet wydawało mi się, że może taki ma cel", wspominała Anna Czerwińska.

– Wanda już od K2 balansowała na cienkiej czerwonej linii, na szczyt weszła na rzęsach – tłumaczyła Krystyna Palmowska. – Nie podobało mi się jej działanie na zasadzie „przeżyję – nie przeżyję".

– Jechała chora, nie docierało do niej, że nie ma już zdrowia. Nikt nie dawał jej szans, że wejdzie – dodaje Danuta Wach.

Wanda dość nonszalancko podchodziła do zdrowia, „z buta" traktowała swój organizm, tak jakby zapominała, że czas jest nieubłagany. A najgorsze to, że tego samego wymagała od innych. „Ona wciąż była przekonana, iż góry najwyższe to sposób na życie, ja – że sposób na śmierć", pisała dziennikarka, biografka Wandy, Ewa Matuszewska, która wyliczyła, że góry zabrały prawie czterdzieścioro przyjaciół Rutkiewicz.

Wanda się zmieniła. Widzieli to wszyscy, którym pozwoliła być bliżej, z którymi nie dzieliły jej jedynie oficjalne relacje zawodowe. I chociaż w oczy rzucał się smutek, zmienione rysy twarzy i ogromne zmęczenie, największa zmiana kryła się w jej głowie.

– Była przerażająco samotna – tłumaczyła Krystyna Palmowska.

I jeśli najprościej odnieść ten stan do stylu, w jakim wchodziła na ostatnie w swojej karierze ośmiotysięczniki, to nie mniej trafnie

eprasa.pl 4e1e01459e

można go odnieść do stanu jej ducha. Niby tuż obok była matka, grono zaufanych przyjaciół, menedżerka, ale w tym wszystkim Wanda wciąż czuła się samotna. Niezrozumiana w tym, co robi, do czego dąży. Zagubiona w tym, co kiedyś stanowiło wartość jej życia, a dziś zamieniło się w pogoń za niedosięgniętym. Samotna w swoim stylu wspinania: wolnym, obarczonym wielkim ryzykiem.

Samotna, bo już nikt nie chciał się z nią wspinać, także mężczyźni – ryzyko było zbyt wielkie, sam układ z natury skazany był na niepowodzenie. Z kobietami można się wspinać, ale nie z nią. Wanda miała swoje ambicje, faceci swoje. Ich zetknięcie na jednej wyprawie mogło zaowocować tym, czym zaowocowało na Makalu z Japończykami czy Annapurnie z Wielickim: konfliktem interesów. Sukces Wandy uwłaczał sukcesowi panów. Sukces panów i porażka Wandy stawiały ją, królową Himalajów, w złym świetle. Bo cokolwiek by mówić – Wanda konkurowała z mężczyznami. Jeśli jechała na wyprawę, to sukces musiał należeć albo do niej, albo do nikogo innego. Znamienne było to, że w 1991 r. konkurowała już wyłącznie z samą sobą.

Na Kanczendzongę pojechała z Arkiem Gąsienicą-Józkowym, 24-letnim alpinistą z Krakowa, ratownikiem TOPR. Był młody, silny, nie zagrażał Wandzie. Dołączyli do meksykańskiej ekspedycji Carlosa Carsolia, który miał ambicje wytyczyć nową drogę na szczyt. Wanda opłaciła wyjazd partnera, ten miał jedno zadanie – dotrzymać jej towarzystwa w drodze na szczyt, torować i nosić sprzęt. Pomagać w razie potrzeby.

Już na początku wyprawy spuchnięta i zmęczona, z niemocą, której przyczyny sama nie rozumiała, 49-letnia Wanda Rutkiewicz napisała do swojej menedżerki Marion Feik, że „nie przygotowała się dobrze do tej wyprawy". Musiała zejść poniżej bazy, faszerować się lekami. Arek ofiarnie działał z ekipą meksykańską, przygotowywali drogę, Wanda miała się wykurować, a potem przyjść na gotowe. Kolejne dni to mozolne wnoszenie sprzętu, torowanie, skręcona noga Carlosa, w zasadzie eliminująca go z akcji górskiej, i ciągłe „w pół drogi" Wandy. Co rusz nie dochodzi do obozów, musi biwakować, na lekko, w płachcie, w jamach śnieżnych. Trzy godziny do obozu? Wandzie potrzeba drugie tyle. Znosi to godnie, z pełną świadomością, że jest bardzo wolna. Tak bardzo, że nawet Elsa Avila, która po wypadku partnera, Carlosa, nie ma z kim się wspinać, przy całej sympatii do Wandy i wspólnej historii z Sziszapangmy nie decyduje się na duet. (…)

Na drodze do wierzchołka pozostali Wanda i Carlos. Ten ostatni, nafaszerowany lekami, z bolącą nogą, uparty. Każde z nich chciało wejść we własnym stylu: Wanda powoli, z biwakami po drodze, Carlos szybko, bo pogoda niepewna, no i strach przed odmrożeniami. Mijali się po drodze. Ruszyła śladem wytyczonym przez Carlosa. Wszystkie namioty w wysokich obozach były zniszczone, ciągle musieli je odkopywać.

W czwórce na wysokości 8000 m Carlos czekał na Wandę 12 godzin. Dotarła zmęczona, odwodniona, bo nie miała jak nagotować wody. Krótki odpoczynek. Do ataku szczytowego wyszli tuż przed północą, 12 maja. Wanda wymiotowała. W podejściu Carlos odstawił ją tak bardzo, że gdy o godz. 17 stanął na szczycie, a potem, w zejściu, ok. 20 ją spotkał, znajdowała się jakieś 300 m od miejsca biwaku. Musiała być niezwykle wolna. Teraz leżała w jamie śnieżnej: bez śpiwora, maszynki gazowej, bez wody i bez jedzenia. W płachcie biwakowej, z zapasowymi rękawiczkami i czapką. Planowała odpocząć i zawalczyć o szczyt. Jutro. Carlos widział, że jest zdesperowana, więc nie zachęcał jej do odpuszczenia i zejścia do bazy. Wprawdzie był kierownikiem, mógł to zrobić, ale i tak nic by to nie dało.

Wanda, pomna doświadczeń z wypraw z Japończykami i Słoweńcami, wreszcie mogła zrobić to, za co zapłaciła mnóstwo dolarów i na czym zawsze jej zależało. Mogła się wspinać na własnych zasadach. Carlos nie wypowiedział więc ani słowa, które mogłoby zachęcić ją do rezygnacji. Oprócz tego, że będzie na nią czekał w drugim obozie. Nie doczekał się Wandy. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Tuż po feralnej wyprawie Carlos Carsolio zorganizował w Katmandu bankiet na cześć swojego sukcesu na Kanczendzondze.

O zaginięciu Wandy Rutkiewicz krążyły potem legendy. Jedyną, która wierzyła, że Wanda żyje, że zeszła na południową stronę Kanczendzongi, że jest gdzieś tam, w buddyjskim klasztorze, była matka, Maria. W 1992 r. miała 82 lata i aż do śmierci w 2013 r. będzie oczekiwała powrotu córki. W 2024 r. Eliza Kubarska wyreżyserowała film dokumentalny „Ostatnia wyprawa", w którym utrwala narrację o zaginięciu Wandy i jakoby jej przebywaniu w którymś z tybetańskich klasztorów.

Alpinizm to jest męski sport, trzeba o tym jasno powiedzieć. Jeśli pojawią się tam jakieś kobiety, to są od razu oceniane.

Nie wiadomo, czy Wanda Rutkiewicz zdobyła swój dziewiąty ośmiotysięcznik. W 1993 r. planowała wejść na wszystkie pięć pozostałych gór wchodzących w skład Korony Himalajów i Karakorum.

Z początkiem lat 90. Kanczendzonga zabrała całą ówczesną światową, kobiecą elitę wysokościowej wspinaczki. Oprócz Wandy Rutkiewicz – Słowenkę Mariję Frantar w 1991, a w 1994 r. Bułgarkę Jordankę Dymitrową i Rosjankę Jekaterinę Iwanową.

Wanda twierdziła, że śmierć w górach nie sprawia, że boi się jej bardziej. „W gruncie rzeczy nie jest to śmierć moja, tylko tych, którzy odeszli", mówiła.

Fragmenty książki Piotra Trybalskiego *Bunt. O Polkach, które zdobywały Himalaje*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025



eprasa.pl 4e1e01459e



W krainie baribali

Zwierzęta znad Wielkiego Jeziora Niewolniczego

Michał Łukaszewicz

Czerwiec to miesiąc, w którym goście z całego świata odpowiadają na zaproszenie wysłane z Północy. Nad Wielkie Jezioro Niewolnicze w Kanadzie przylatują, jako jedne z pierwszych, rybitwy popielate (*Sterna paradisaea*) z dalekiej Antarktydy. To smukłe ptaki, wyglądem przypominające mewy. Białe upierzenie elegancko zdobią czerwone nogi, czarna czapka i dziób w kolorze wina nalanego do kieliszka w słoneczny dzień. Determinacją i charakterem nie mają sobie równych w ptasim świecie. To do nich należy rekord najdłuższych migracji. Co roku odbywają pielgrzymkę, której trasa niejako wiedzie od bieguna do bieguna. Podążają za suto zastawionym przez naturę stołem, nigdy nie doświadczając surowej zimy i ciemności.

Być może rybitwy popielate zdradzają swoim aktywnym trybem życia przepis na długowieczność. Dożywają czwartej dekady, co w świecie ptaków nie zdarza się często. W ciągu swojego szalonego życia pokonują ponad milion kilometrów i dosłownie nie potrafią usiedzieć w miejscu. Niczym sportowcy trenujący do olimpiady, rybitwy popielate muszą zadbać o dietę bogatą w kalorie i składniki mineralne. Jest to szczególnie istotne w okresie lęgowym i to właśnie dlatego ptaki te poświęcają prawie dwa miesiące życia na spożywanie rybnych kalorii, których nigdy nie zabraknie i można je zdobyć z wyjątkową łatwością.

Do ucztujących dołączają uhle garbonose (*Melanitta deglandi*) – stadne kaczki morskie, które przybywają nad jezioro z wód Pacyfiku. Wyglądem przypominają zmęczonego malarza. Na czarnym, aksamitnym upierzeniu odznaczają się białe worki pod oczami. Krańce ich drugorzędnych lotek umoczone są w białej farbie, a garbaty dziób to paleta, na której miesza się żółty z czerwonym, jakby to one miały odpowiadać za naniesienie pomarańczowych licheni na otaczające granitowe skały. Nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym zmieniają swoją dietę z małży Pacyfiku na skorupiaki i owady wodne, nurkując w ich poszukiwaniu przez ponad minutę.

Baribale dość często wdają się w konflikt z ludźmi.

Co ciekawe, samice uhli przejawiają tzw. filopatię. Oznacza to, że wracają gniazdować w okolice własnych narodzin, gdyż czują niezwykłe przywiązanie do ziemi, na której złapały pierwszy oddech. Podobnie czynili nasi przodkowie w Afryce, opierając na doświadczeniu ewolucyjnym decyzję o osiedleniu się w okolicach narodzin. (…)

Swoją obecność potwierdzają też siewki szare, które dolatują z oddalonego o 12 tys. km Urugwaju. Dystans nie jest im straszny. To wyborni lotnicy, którzy w czasie przelotów nad oceanem rozwijają prędkości dochodzące do 120 km/godz. Mimo że biesiada, która sprowadziła je nad jezioro, odbywa się przy niezachodzącym słońcu, siewki wystrojone są jak na wieczorny bal królewski. Samce wybrały na tę okazję czarno-biały smoking gustownie nakrapiany złotem, z błyszczącymi skrzydłami.

Nie powinna nikogo zatem dziwić ich skłonność do tańca. Podczas godów wzlatują i opadają z lekkością motyla, przesuwają się w powietrzu jak po wiedeńskim parkiecie. Skomplikowanemu pokazowi akompaniują rytmicznym śpiewem. Nawet technika zdobywania pokarmu na Północy czyniona jest z charakterystyczną dla nich finezją. Siewki wzbijają się do lotu, a po chwili zatrzymują się raptownie i łapią nieczujne owady. Rodzicielstwo przychodzi im trudno. W połowie letniej uczty odlatują na Południe, jakby przeszkadzał im ton sierpniowej szaty Północy. Zostawiają za sobą młode, którym

eprasa.pl 4e1e01459e



Baribale występują od Meksyku po Kanadę.

Nad jezioro przylatują ikony Północy, bieliki amerykańskie.

Brodziec żółtonogi przybywa z delty Orinoko w Wenezueli.



na własną rękę przyjdzie znaleźć drogę do Ameryki Południowej.

Kilkadziesiąt innych gatunków ptaków również pojawia się przy stole zastawionym milionami ryb i miliardami owadów. Brodziec żółtonogi (*Tringa flavipes*) przybywa z delty Orinoko w Wenezueli. To delikatny i czujny ptak brodzący, który broni gniazda z takim zacięciem, jakby bezpieczeństwo całego wszechświata zależało od ilości hałasu, jaki wytwarza. Przylatują również ikony Północy – bieliki amerykańskie (*Haliaeetus leucocephalus*), które zimowały we wspólnotach przy ujściach termalnych rzek uchodzących do Pacyfiku w Kolumbii Brytyjskiej. Teraz nadszedł czas zaklepania sobie świerka do budowy gniazda i całodobowego rybobrania. Podobną motywację wykazują rybołowy przybyłe z Gwatemali, pelikany dzioborogie (*Pelecanus erythrorhynchos*) z Meksyku i sieweczki skąpopłetwe (*Charadrius semipalmatus*) z Kuby.

Wśród 26 tys. gatunków insektów również pojawiają się ucztujący. Prym wśród nich wiodą ważki, które dopiero w ostatnim czasie zostały zauważone przez naukowców jako gatunki migrujące. Dla nich jedno danie wyróżnia się w menu niczym schabowy z ziemniakami. To komary, których inwazja wzbogaca dietę setek gatunków ptaków, ryb i owadów. Ale dla ludzi odwiedzających latem Północ są one zmorą i postrachem. Armia komarzych pułków wydawała się szarżować prosto na plażę w Hay River w dniu naszego wypłynięcia. (...)

•

Jak powstaje tak wielkie jezioro jak Niewolnicze? Jezioro tak duże, że bez trudu wypełniłoby wodą każdą wannę na świecie? Czy to rewolta atomów tlenu i wodoru? Czy to może lodowiec, który stopił się ze wstydu pod przenikającym go spojrzeniem Słońca? I kto tu jest niewolnikiem? Ziemia, którą nadzoruje woda, czy woda, którą kontroluje ziemia?

10 tys. lat temu kończyła się epoka lodowcowa znana jako Zlodowacenie Wisconsin. Grube na kilka kilometrów lodowce sięgały swoimi językami daleko na południe, lizały aż do dzisiejszej granicy stanów Montana i Nebraska. Topniejąc, zostawiły za sobą wiele śladów, które ukształtowały geografię znanej nam dziś Kanady.

Topnienie lodowców odbywa się na największą skalę pod ich powierzchnią, w miejscu styku z ziemią. Cofające się lodowce kruszą pod sobą skały w wyniku nacisku i kumulującego się od spodu osadu. Przychodzi moment, w którym lodowiec, choć dalej gruby na kilkaset metrów, kryje pod sobą cały system rzek rwących w lodowych ciemnościach. Podziemne rzeki tworzą pod lodowcem charakterystyczne wcięcia, które, przesuwając się, gromadzą hałdy piasku. Te niezwykłe formacje znane są pod nazwą ozów. Ozy można zaobserwować w Polsce na terenie Mazur, jednak te pozostawione przez Zlodowacenie Wisconsin należą do najbardziej spektakularnych. Patrząc na północną Kanadę na zdjęciach satelitarnych, z łatwością można zaobserwować, w która stronę przemieszczały się cofające się lodowce.

Erozja skał i baśniowe ozy to tylko produkty uboczne końca epoki lodowcowej. Lodowce przede wszystkim zostawiły po sobie wodę. Ogrom wody, który musiał znaleźć gdzieś ujście. I znalazł, m.in. na granicy uskoku tektonicznego, gdzie

eprasa.pl 4e1e01459e



Wielkie Jezioro Niewolnicze w Kanadzie jest siedliskiem wielu gatunków zwierząt.

liczące sobie dwa i pół miliarda lat skały metamorficzne z kratonu Slave spotykają się z młodymi skałami granitowymi liczącymi ok. 350 mln lat. W tym właśnie miejscu, na obrzeżach tego, co geologom znane jest jako Tarcza Kanadyjska, znajdowała się głęboka na 600 m niecka, którą w całości wypełniła polodowcowa woda.

Dziś ten fragment Wielkiego Jeziora Niewolniczego znany jest jako Christie Bay. Do tej pory nikt nie prowadził misji naukowej, która zbadałaby najciemniejsze głębiny jeziora.

Lodowce wywierają ogromny nacisk na elastyczną część płaszcza skorupy ziemskiej, znaną jako Moho. Warstwa ta delikatnie ugina się pod ciężarem lodowców, podobnie jak napięcie powierzchniowe wody ugina się pod ciężarem spadającej kropli deszczu. W tej mikroskali, tuż po tym jak kropla rozpłynie się w wodzie, napięcie powierzchniowe zaczyna się uwypuklać. Podobnie zachowuje się skórzany fotel, którego obicie wgnieciemy mocno palcem. W geologicznej makroskali lodowce stopniały z prędkością światła, jednak gęsty płaszcz skorupy ziemskiej potrzebuje więcej czasu na reakcję. Dlatego właśnie na północy Kanady, na obszarze, który zajmowały niegdyś lodowce, możemy zaobserwować tzw. odwet polodowcowy. W konsekwencji każdego roku tereny te rosną o kilka centymetrów. (…)

•

Tego wieczoru nasz namiot rozbiliśmy raptem metr od rzeki, na niewielkim placku zieleni otoczonym z każdej strony świerkami. Wąska ścieżka prowadziła w głąb lasu i zapraszała do wieczornego spaceru. (…) Nie uszliśmy nawet 100 m, kiedy nad naszymi głowami przeleciał piszczący pterodaktyl. Usiadł na gałęzi, pochwycił ją szponami wielkości moich palców i krzywił białą głowę z masywnym, żółtym dziobem. Zupełnie niechcący wkroczyliśmy na teren gniazdującej pary bielików amerykańskich. Pewnym krokiem ruszyliśmy przed siebie, starając się zaoszczędzić orlim rodzicom stresu wynikającego z naszej obecności.

Las zaczął się przerzedzać, a wąska, leśna ścieżka szybko zamieniła się w szutrową drogę z widokiem na przebiegające tędy słupy sieci elektrycznej. Na jednym z pali wypatrzyłem koronę z chrustu przypominającą gniazdo. Chwyciłem lornetkę, a moim oczom ukazała się głowa drapieżcy w masce Zorro. Była to samica rybołowa czekająca w gnieździe, aż jej partner wróci z rybobrania. Te fantastyczne ptaki migrujące, które spotkamy na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy, żywią się wyłącznie rybami.

Chcieliśmy wyczekać z Karoliną moment, w którym samiec wróci do gniazda z soczystym pstrągiem. Zamieniliśmy się na stanowisku lornetką, a samica rybołowa wyraźnie zaczynała się niecierpliwić. Karolina podała mi lornetkę akurat w momencie, kiedy pani rybołów zatrzepotała skrzydłami i stanęła na brzegu gniazda. Byłem pewien, że samiec zjawi się lada moment. Wtedy kątem oka odnotowałem ruch na peryferiach wzroku. Głowa pomyślała najpierw, że to pewnie ludzie spacerujący po okolicy. Ale zaraz – jacy ludzie? Tu nie ma ludzi. Spojrzałem w prawo. Karolina dalej oglądała rybołowy, a ja, bez odwracania głowy w jej kierunku, wyszeptałem: – Choćby nie wiem co, zachowaj spokój, ale jak spojrzysz teraz w prawo, zobaczysz dwa czarne niedźwiedzie idące prosto w naszą stronę.

– Żartujesz?

Nasze dłonie momentalnie powędrowały na wiszące na naszych paskach od spodni zawleczki od sprejów na niedźwiedzie. Jednym ślizgiem kciuka odbezpieczyliśmy je. Wyciągnąłem z kieszeni race hukowe. Karolina podała naboje. Niedźwiedzie, oba podobnych rozmiarów – wielkości Fiata 125p – dalej maszerowały w naszą stronę. Były jakieś 30 m od nas i żaden nie przejawiał oznak agresji. Wydawało nam się,

FOT. SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl 4e1e01459e

że wciąż nas nie widzą. Głowy miały skierowane do ziemi, a ich nosy wydawały się ciężko pracować, jednak nie mogły łatwo nas wyczuć, jako że wiatr powiewał od nich w naszą stronę. Zaczęliśmy cofać się tyłem, nie spuszczając baribali z oczu. One dalej człapały w naszym kierunku, zmniejszając dystans do kilkunastu metrów.

Załadowałem racę hukową i odpaliłem ją w stronę nieba, zwalniając sprężynę w wyrzutni przypominającej zwykły długopis. Nabój leciał przez kilka sekund, po czym huknął, rodząc niebywałe echo. Niedźwiedzie stanęły w miejscu. Jeden zwrócił głowę ku drugiemu, jakby pytał o poradę. Wyraźnie potrzebowały pomocy w decyzji. Załadowałem drugi nabój. To samo. Strzał w górę, huk, echo. Tym razem jednak doczekaliśmy się spodziewanej reakcji. Niedźwiedzie odwróciły się na pięcie, mało nie uderzając w siebie głowami, i pognały przed siebie, ile sił w nogach. (…)

Na Północy występują trzy gatunki niedźwiedzi: polarne, grizzly i baribale. Te ostatnie nazywane są też niedźwiedziami czarnymi, choć przymiotnik ten potrafi być mylący. Kolor ich futra przybiera wszystkie odcienie czerni i brązów. Niezwykle rzadkie baribale, nazywane niedźwiedziami duchami, kolor futra mają tak biały jak niedźwiedzie polarne. To wina zastąpienia pojedynczego genu, który powoduje wytwarzanie adeniny, a nie guaniny. Kiedy oboje rodzice wnoszą ten recesywny gen, efektem jest białe futro.

Baribale występują od Meksyku po Kanadę, a ich północny limit terytorium wyznacza granica występowania drzew. Te wszystkożerne ssaki dość często wdają się w konflikt z ludźmi. Z punktu widzenia baribala człowiek jest zbyt mały, żeby stanowić dla niego zagrożenie, jednocześnie zbyt duży, żeby uważać go za potencjalną ofiarę. Dlatego właśnie baribale przejawiają „przyjacielskie" zachowanie względem ludzi i niechętnie schodzą z drogi.

W przypadku napotkania agresywnego baribala człowiek musi jasno zaznaczyć swoją dominację. Najlepiej racą hukową. W drugiej kolejności – jeśli zajdzie potrzeba – należy użyć spreju zawierającego duże ilości kapsaicyny, działającego podobnie do gazu pieprzowego. W ostatniej instancji, kiedy kontakt jest nieunikniony, z baribalem trzeba próbować walczyć wręcz. Śmiertelne wypadki zdarzają się niezwykle rzadko. W czasie wypraw zawsze uważam, że najlepsze niedźwiedzie to te, których nie widać. I faktycznie, większość niedźwiedzi ucieka w dal, jak tylko wyczuje swoim superczułym nosem obecność człowieka.

Protokół względem spotkania z niedźwiedziem grizzly jest nieco inny. Grizzly są dużo większe i dużo bardziej nieprzewidywalne od swoich czarnych kuzynów. One także mają tendencję do schodzenia ludziom z drogi, jednak wypadki z ich udziałem zdarzają się częściej, szczególnie w miejscach, gdzie ich terytorium za bardzo pokrywa się z działalnością człowieka. Przykładem jest tu Park Narodowy Banff, który rok w rok odwiedzają tysiące turystów, a który stanowi dom dla prawie 700 niedźwiedzi grizzly. W przypadku bezpośredniego kontaktu człowiek nie ma szans z ważącym blisko pół tony niedźwiedziem. Jeśli zawiodą race i spreje, co zdarza się niezwykle rzadko, pozostaje jedynie położyć się na ziemi na brzuchu z rękami i nogami rozłożonymi jak gwiazda, aby uniknąć bycia obróconym przez niedźwiedzia.

Ostoją grizzly jest dziś pas biegnący od Alaski po Zatokę Hudsona. Niedźwiedzie te straciły już większość swojego byłego terytorium na południe od granicy Kanady. W Kalifornii, która na swojej fladze ma wizerunek grizzly, żywego niedźwiedzia nie widziano od 1924 r. Wystarczyło 200 lat, by wyginęły całkowicie na skutek polowań organizowanych przez kolonialnych osadników. Historycznie niedźwiedzie grizzly występowały nawet w Meksyku. Dziś, najdalej na południe, populacje grizzly znajdziemy w Parku Narodowym Yellowstone.

Ostatnie z niedźwiedzi Północy to wielbiciele lodu i foczego tłuszczu, czyli niedźwiedzie polarne. Terytorium, jakie zajmują niedźwiedzie polarne, nigdy nie pokrywało się z geografią żadnej z naszych wypraw. To celowy zabieg, z niedźwiedziami polarnymi bowiem nie ma żartów i ich obecność wymaga całkowicie innych przygotowań i zachowań. Pośród sprzętu wyprawowego pojawia się broń, noce przerywać trzeba wartami, a w wypadku konfrontacji niedźwiedź rzadko kiedy uchodzi z życiem.

Należy pamiętać, że ten największy z lądowych drapieżników jest pod ogromnym środowiskowym naciskiem wywołanym przez zmiany klimatyczne. Lodu na morskich wodach Arktyki jest coraz mniej, a bez lodu niedźwiedzie polarne nie są w stanie polować na foki. Naukowcy zauważają wśród nich tendencje adaptacyjne. Niedźwiedzie polarne wykształciły nowe techniki polowań na białuchy – niewielkie wieloryby, które rozmnażają się w okolicach ujść arktycznych rzek. Każdego roku odnotowuje się też przesunięcie granicy w głębi lądu, gdzie zapuszczają się niedźwiedzie polarne w poszukiwaniu pożywienia.

Prowadzi to nie tylko do konfliktów z ludźmi, ale też z niedźwiedziami grizzly, które zaciekle bronią swoich terytoriów. Co ciekawe, wypatrzono w naturze już kilka osobników niedźwiedzi grolarnych, czyli hybryd powstałych w wyniku mieszania się niedźwiedzi grizzly z polarnymi.

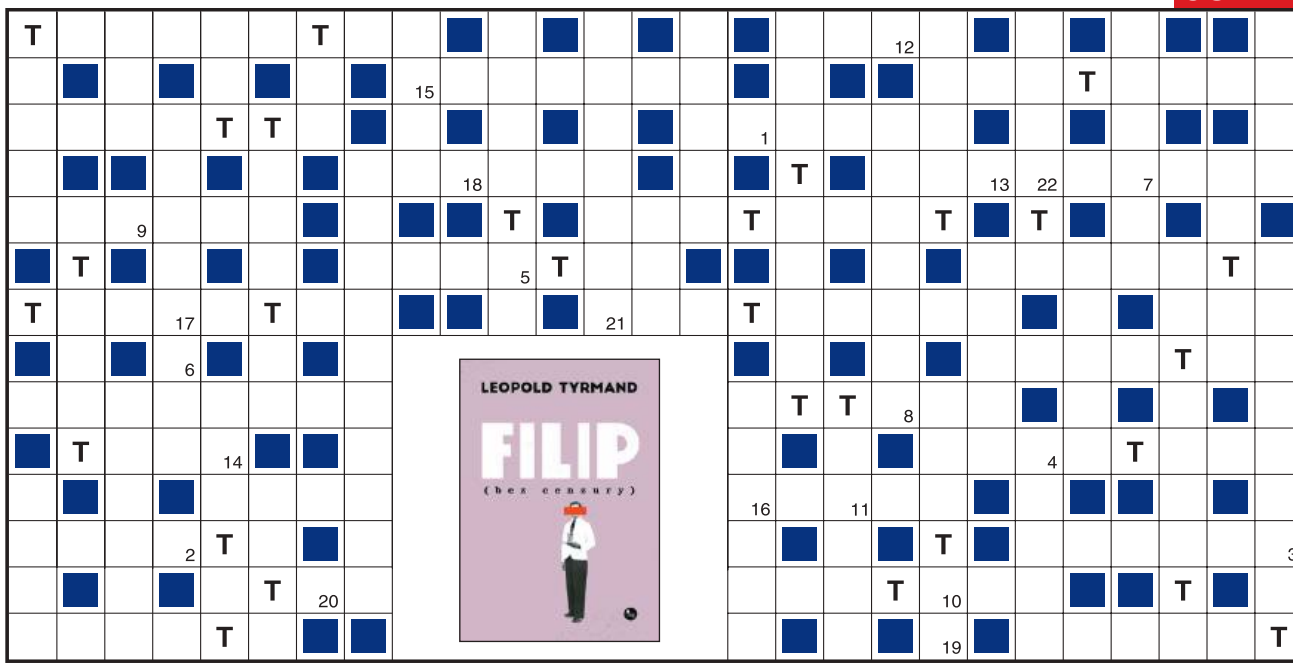
Dla baribala człowiek jest zbyt mały, żeby stanowić zagrożenie, zarazem zbyt duży, żeby uważać go za potencjalną ofiarę.



Fragmenty książki Michała Łukaszewicza *Międzyświaty. Z nurtem rzek przez bezludzia Kanady*, Oficyna Wydawnicza Kontynenty, Zielonka 2026

eprasa.pl 4e1e01459e

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- opłata za radio i telewizor
- gotów do poświęceń dla innych
- ...Gostomski od „Gospodarstwa”, pierwszego polskiego podręcznika rolniczego
- jeden wśród wikingów w „Trzynastym wojowniku”
- konstrukcja podtrzymująca elementy rzeźby
- ażurowa ścianka kryjąca dach
- po pracy magisterskiej pisze kolejną
- wygodny, dwuczęściowy strój sportowy
- wyraz określający rzeczownik
- piąta litera alfabetu greckiego
- nasza – liczona od narodzin Chrystusa
- filozof, naukowiec od systemów moralnych
- na dwa można grać, walczyć
- sport, sweter lub Volkswagen
- pianista Dawit Chrikuli z pochodzenia
- forma rozliczeń bankowych
- kraj ajatollahów
- …ciernisty o jadalnych pąkach kwiatowych
- pustelnik z zakonu o surowej regule
- stereotypy, utrwalone sformułowania
- intensywny, ciemnoniebieski kolor
- sala lub pokój mieszkalny w zamku, pałacu
- naczynie do pojenia i karmienia zwierząt
- sprawuje dozór nad skazanym, nieletnim
- kurs języka obcego
- coś do czytania
- rudy ogon to jego spadek u Brzechwy
- przerzucenie piłki, lotki wysokim łukiem
- w rodzinie z koczkodanem
- nierówność na trasie narciarskiej
- futro z szafy nią wonieje
- do wyciągania gwoździ, cięcia drutu
- substancja do usuwania środków trujących
- przeciwieństwo dwóch pojęć, idei
- trasa obiektu kosmicznego
- układ nitek biegnący wzdłuż tkaniny
- zbłąkana... – grzesznik, odstępca
- skromny, lichy płaszczyk
- …Metheny, gitarzysta jazzowy i kompozytor
- Kujawski lub Trybunalski
- pstrąga można w nim złowić
- pojazd przystosowany do ciągnięcia go przez inny
- o szczeniaku i grzybku
- na nie – w pewnych odstępach, stopniowo
- tekst spod pióra
- włoska potrawa z ryżu
- w niej beszamel na stół podany
- z rury wydechowej
- czarny… – wyścigi motocyklowe na żużlu
- ktoś bardzo ruchliwy i energiczny to żywe…
- dźwięk obcasów, kopyt, klawiatury
- sproszkowany tytoń wciągany do nosa
- rybie gody
- odbiór myśli na odległość
- dalszy plan obrazu
- gruba podeszwa buta
- do wchodzenia z nabrzeża na statek
- amatorka zwiedzania
- do gwoździ młotek, on do śrub
- bezprawne zajęcie obcego terytorium

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1260”. Do rozlosowania książki „Filip (bez cenzury)” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 lutego 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1257” z nr. 4: *Poezja to poszukiwanie blasku.*
Nagrody otrzymują: Iwona Aftewicz z Kobyłki, Jarosław Biernat z Warszawy, Kazimierz Szulowski z Lesznowoli oraz Elżbieta Dziekuć-Malej z Gdańska.

eprasa.pl 4e1e01459e

Jedni się boją, drudzy nie

Polska ma kłopot z ambasadorem USA Thomasem Rose'em, który zaczął przybierać pozę namiestnika. I to, jak Polska będzie sobie z tą sytuacją radzić, wiele nam o niej powie.

Miejmy świadomość, że nie jest to jakaś nadzwyczajna sprawa. Amerykańscy ambasadorowie mają skłonność do prób dyrygowania miejscowym rządem. Poprzednicy Rose'a, Mark Brzezinski i Georgette Mosbacher, też nie byli od tych inklinacji wolni, choć zachowywali więcej zręczności.

Hm… To nie jest wzór, ale dobrze o tym wiedzieć. Otóż kilka wojen z ambasadorami USA przetrenował… Viktor Orbán. Jedna zaowocowała nawet książką. Nosi ona tytuł „Madam Ambassador", a jej autorką jest Eleni Kounalakis, która w latach 2010-2013 była ambasadorem USA w Budapeszcie. Wcześniej była prezesem jednej z największych kalifornijskich firm zajmujących się zagospodarowaniem przestrzennym, AKT Development Corporation. A jednocześnie liczącą się działaczką Partii Demokratycznej. Była więc, jeśli chodzi o dyplomację, absolutną amatorką i jako taka wysłana została na Węgry.

W recenzji jej książki o Węgrzech zamieszczonej w „Washington Post" możemy przeczytać: „Kounalakis była świadkiem upadku tego, co niegdyś było najbardziej obiecującą nową demokracją w byłym bloku sowieckim. Neofaszyści zostali wybrani do parlamentu. Premier Viktor Orbán przewodniczył pracom nad nową konstytucją i uchwaleniem setek ustaw podważających niezależność sądownictwa, służby cywilnej i mediów. Antysemityzm narastał. W swoich wspomnieniach »Madam Ambassador« Kounalakis opisuje staczanie się Węgier w stan, który sam Orbán określił mianem »nieliberalnej demokracji«, inspirowanej Rosją Władimira Putina".

Kounalakis szybko weszła w spór z Orbánem. I po kilku incydentach została przez tamtejszą ekipę zupełnie zmarginalizowana, odcięta od kontaktów. Niby więc była w Budapeszcie, ale gdzieś z boku. Potem, gdy wróciła do Ameryki, Stany Zjednoczone przez wiele miesięcy nie mogły uzgodnić z Orbánem jej następcy. Ambasadą kierował więc chargé d'affaires André Goodfriend. I otwarcie krytykował niektóre działania Viktora Orbána wobec Rosji, takie jak wsparcie dla gazociągu South Stream czy przyznanie Rosji kontraktu na rozbudowę węgierskiej elektrowni jądrowej Paks. Goodfriend alarmował, że Węgry stają się miejscem, w którym rządy prawa słabną, a społeczeństwo obywatelskie jest atakowane.

Nic z tego nie wynikało. Ba! Departament Stanu wysłał do Budapesztu ambasador Colleen Bell, zastrzegając, że Goodfriend będzie jej zastępcą. Nie był, szybko się okazało, że wraca do USA „z przyczyn ściśle rodzinnych". I wrócił. A przez najbliższe dwa lata ambasadorem USA na Węgrzech była Bell, absolutna dyletantka w świecie dyplomacji, producentka seriali.

Co nie znaczy, że utrzymywała z ekipą Orbána bliskie kontakty. Tak nie było. Też go krytykowała, podobnie jak jej następcy. Ostatnim, w latach 2022-2025, był David Pressman, który w grudniu 2024 r. mówił, że „Węgry nadal uważane są za najbardziej skorumpowany kraj w Europie". Na ekipie Orbána nie zrobiło to wielkiego wrażenia. Oni stawiali twardo na Trumpa i swoich czasów doczekali.

Czyli strach ma wielkie oczy. Ale nie w Budapeszcie, lecz w Warszawie.

Attaché



W takim tradycyjnym stroju Johanne Bech, maszerka i hodowczyni psów zaprzęgowych, prowadzi psie zaprzęgi. Sisimiut na Grenlandii, 2 lutego 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4e1e01459e









PENETRACJE

Monde diplomatique

FRANCESCA BRIA,
EKONOMISTKA

Armia amerykańska po cichu poświęciła istotną część swojej suwerenności pod pozorem racjonalizacji administracyjnej. Umowa o wartości 10 mld dol. podpisana z Palantir Technologies, obejmująca 75 odrębnych kontraktów, jest jedną z najbardziej oszałamiających w historii Departamentu Obrony. Transakcja ta potwierdza przeniesienie kluczowych funkcji wojskowych do prywatnej firmy, której założyciel, Peter Thiel, otwarcie deklaruje, że „wolność i demokracja nie są już ze sobą zgodne". Decyzje dotyczące wyznaczania celów, przemieszczania oddziałów i analizy danych wywiadowczych będą zatem coraz częściej podejmowane przy pomocy algorytmów, którymi kieruje nie dowództwo wojskowe, ale rada nadzorcza odpowiedzialna przed akcjonariuszami. Armia oddaje swoją autonomię operacyjną platformie, bez której nie będzie mogła już się obejść.

Twój STYL

GRZEGORZ TURNAU,
WOKALISTA, KOMPOZYTOR, POETA

Gdy się budzę, nie mówię sobie: „No jak tam dziś u pana z przemijaniem?". Czesław Miłosz sprawę zamknął, bo na ryzykowne pytanie dziennikarza: „Co pan sądzi o przemijaniu?", odpowiedział: „Jestem przeciw". Myślę jednak, że nie ma się jednego przez całe życie, do końca ustalonego stosunku do przemijania. (…) Myślę, że warto przestać traktować sprawy takie jak przemijanie, załamania, choroby i różne inne nieprzyjemności, które są częścią życia – zbyt dosłownie. Ratuje nas sztuka. W Piwnicy pod Baranami prof. Goślicki występował z ekscentrycznymi monologami, jeden z nich zawierał frazę: „Sztuka to forma zorganizowanej rozpaczy". Warto rozpacz w jakiejś formie sobie zorganizować, bo inaczej oszalejemy. Moje piosenki trochę po to są.

PANI

AGNIESZKA GROCHOWSKA,
AKTORKA

Zawsze, już od dziecka, wierzyłam w to, że świat jest lepszy niż gorszy. I nawet jeśli się bałam, że coś strasznego czai się za drzwiami, to mówiłam: „Dobra, otwieram, sprawdzam". I okazywało się, że nic tam nie ma. Do dzisiaj staram się tak robić i przełamywać lęki. (…) Zrozumiałam, że bycie dobrą dla samej siebie nie oznacza bycia egoistką. Mojemu pokoleniu przez lata wkładano w głowę, że myślenie w pierwszej kolejności o sobie jest samolubne, ale to nieprawda. Tylko człowiek, który umie stawiać własne granice, nie przekroczy granic drugiego człowieka. Dlatego zanim zawalczy się o innych, trzeba walczyć o siebie.

TYGODNIK ANGORA

KLAUDIA ADAMEK,
OLIMPIJKA, LEKKOATLETKA, BOBSLEISTKA

Bobslej rozpędza się do 140 km/godz., ale zależy na jakim torze startujemy, jaka jest pogoda, jakość lodu. Miejsca nie ma za dużo, ale jest bardzo wygodnie. Siedzę w złożonej pozycji, dłonie mam na wysokości stóp, nogi są delikatnie ugięte, zaparte o cienką, specjalnie zamontowaną rureczkę, głowa schowana między kolanami. W odróżnieniu od pilota nie mam specjalnego siedzonka. Na starcie stoję z tyłu, Linda po lewej stronie z boku. Wypycham boba, biegniemy szybko, Linda wskakuje, a ja robię jeszcze cztery-pięć mocnych kroków, całym swoim ciałem pcham, ile tylko mogę. Wskakuję i zastygam w bobie, dopiero kiedy poczuję klepnięcie pilotki w mój kask, wiem, że minęłyśmy metę, Zaciągam wtedy hamulec, który mam między nogami.

FOT. AMEM (3), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 4e1e01459e

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



					Ę

* mała świeczka

	L				

* nazywa towary w sklepie

					P			

* pałka wodna z angielska

ROZWIĄZANIA: JAGNIĘ, KLIENT, WATERPOLO



Aby język giętki…

PŁK KRZYSZTOF PRZEPIÓRKA (GROM) DO KAROLA NAWROCKIEGO

Kiedy żołnierze ginęli w Iraku, Pan się nawalał z kibolami po lasach, więc myślę, że trochę szacunku dla polskiego żołnierza.

PROF. KRYSTYNA SKARŻYŃSKA O SZYMONIE HOŁOWNI

Osoby narcystyczne lubią być na scenie i na jakiś czas potrafią zdobywać sympatię widzów. Gdy są krytykowane i przestają być podziwiane, popełniają błędy i stają się agresywne.

MAREK KONDRAT O MEDIACH

Skraca się liczba słów, dewaluuje się ich znaczenie, a zwycięża hasłowość podszyta bieżączką.

ANDRZEJ STANKIEWICZ O ADAMIE BOROWSKIM

Za rządów PiS doił państwo, jak się dało, korzystając ze znajomości w rządzie.

ANNA LEWANDOWSKA O MĘŻU ROBERCIE

Nie jest wylewny. Rzadko powie, że ktoś coś dobrze zrobił. Ale jak już mówi, czujesz się, jakbyś dostała Oscara.

AGATA PASSENT O ZAPOMNIANYCH SŁOWACH

Biorę sobie te klejnoty i rozszerzam słownik: „galanteria, flakon, sprawunki, perkal, aktyw, garmaż".

LIDIA POPIEL O FOTOGRAFII

Jest językiem zachwytu. Dzięki światłu może pięknie przemówić.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 4e1e01459e

Oblicza wody w kulturach Azji i Oceanii



Kobieta z dzbanem, Indie



Kryszna kradnący ubrania pasterkom kąpiącym się w rzece, Indie



Rodzinne łowienie ryb, Papua-Nowa Gwinea

Woda, jeden z najważniejszych i najbardziej uniwersalnych żywiołów, została tu ukazana w perspektywie mitologicznej, religijnej, społecznej i artystycznej. Ekspozycja przybliża znaczenia wody w kulturach Azji i Oceanii, m.in. Iranu, Indii, Indonezji, Mongolii, Chin i Japonii, zwracając uwagę zarówno na jej symboliczny wymiar, jak i na zastosowanie w codziennej egzystencji. Postrzegana jako źródło życia, siła natury i czynnik przemiany, woda od wieków kształtowała cywilizacje regionu. Sekcje tematyczne obejmują rozwój cywilizacji wielkich rzek, rytuały i wierzenia, codzienne praktyki, środki przetrwania, sport i rozrywkę, a także obecność wodnych zwierząt i roślin w sztuce.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



Płytka ceramiczna z motywem ryb, Iran



Krokodyl – lalka teatru cieni wayang kulit, Jawa

Muzeum Azji i Pacyfiku
Warszawa, ul. Solec 24
do 31 maja

eprasa.pl 4e1e01459e



Pomóż Lekarzom bez Granic ratować zdrowie i życie

Temperatury spadają nawet do -20 stopni Celsjusza. W tym czasie rosyjskie siły zbrojne kontynuują bombardowanie ukraińskiej infrastruktury energetycznej, pozbawiając miliony ludzi dostępu do elektryczności, ogrzewania i bieżącej wody. Nasze zespoły na miejscu przyjmują pacjentów z hipotermią i odwodnieniem. Stan osób z chorobami przewlekłymi pogarsza się. Wpłać darowiznę na stronie internetowej Lekarzy bez Granic lub wesprzyj zbiórkę na Pomagam.pl. Dziękujemy!

www.lekarze-bez-granic.pl ● **pomagam.pl/zima-w-ukrainie**

eprasa.pl 4e1e01459e

TEATR rampa NA TARGÓWKU



PIPPI

NA PODSTAWIE ASTRID LINDGREN

REŻYSERIA **Aga Błaszczak** · ADAPTACJA **Zdzisław Jaskuła**
TEKSTY PIOSENEK, DRAMATURGIA **Joanna Kowalska** · MUZYKA **Michał Lazar**
SCENOGRAFIA, KOSTIUMY **Marta Kodeniec** · CHOREOGRAFIA **Alisa Makarenko**

PREMIERA 20 LUTEGO 2026

PATRONI MEDIALNI

PARTNERZY

HONOROWY PATRONAT

Teatr Rampa na Targówku, ul. Kołowa 20, Warszawa, teatr-rampa.pl ,
Dział Sprzedaży i Obsługi Widzów / Kasa biletowa, tel.: (22) 679 89 76, +48 573 801 004, Sprzedaż biletów online: bilety.teatr-rampa.pl, ebilet.pl, kicket.com

eprasa.pl 4e1e01459e